ROGATA DUSZA.

JULIAN ŁĘTOWSKI

ROGATA DUSZA

POWIEŚĆ

WARSZAWA
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA
Nowy-Świat Nr. 41.

Дозволено Цензурою.
Варшава, Мая 25 дня 1893 года.

I.

Ach, ta nowa numeracya! Co ona kłopotów, trosk, zmartwień, ba! nawet dziejów całych, przysporzyła téj cichéj dotąd ulicy, a zwłaszcza jednemu jéj, siódmemu zrzędu, domowi!

Zanosiło się na to wprawdzie już od lat dwóch, a właściwie od chwili, gdy ten stary hrabia sprzedał swój plac, przytykający do narożnéj fabryki Rosengartena. Bo ten krętacz Rosengarten, choć to niby plac kupował tylko dla rozszerzenia swojéj fabryki guzików metalowych, przeniósł ją zaraz gdzieś aż na Pragę, a na jéj miejscu i na zakupionym placu wzniósł w ciągu jednego roku trzy okazałe kamienice. Ani się obejrzano, jak już karty, oznajmiające o wynajmie mieszkań, wywieszono, rusztowania zaczęto usuwać i do nieobeschłych jeszcze po otynkowaniu sklepów i sklepików parterowych jęli się sprowadzać kupcy z przeróżnemi towarami.

Ulica, aczkolwiek pokaźna, równiutka i czysta,

ale mało dotąd ruchliwa, niestanowiąca bowiem niezbędnéj arteryi komunikacyjnéj w mieście, zmieniła naraz, od owéj chwili, swoją fizyognomię. Dawniéj, zaledwie czasami, zabłąkała się tu jakaś dorożka, a kroki rzadkich przechodniów, zwłaszcza pod wieczór, roznosił gładki asfalt echem szerokiém po całéj ulicy; teraz nie było prawie godziny, aby nie skrzypiały tu ciężkie wozy nalewkowskie, zwożące do świeżo powstałych sklepów stosy pak, poznaczonych zagadkowemi cyframi i literami, z wieczora zaś potoki światła poczęły zalewać chodniki i niewyjeżdżony dotąd, choć niezbyt misternie brukowany, środek ulicy.

Rosengarten dobrze widocznie wszystko obmyślił, na wyścigi bowiem dobijano się o pobudowane, a rzadkie dotąd w téj dzielnicy sklepy.

Na rogu pomieścił się cukiernik, daléj wielki skład wódek, potém aż dwa mniejsze sklepiki bławatne, jeden obok drugiego; następny posterunek, w drugiéj z rzędu kamienicy, zajął składnik mąki, daléj felczer wywiesił swoje trzy blachy mosiężne, a nocami począł palić zieloną latarnię z czerwonym krzyżem; resztę miejsc rozchwytali: młody korzennik Pawłowski, żydek z tytuniem i papierosami, wreszcie jeden jeszcze bławatnik i jeden składnik wszelkich towarów, począwszy od papierosów i kaloszy, a skończywszy na niciach, zabawkach, krawatach,

guzikach, markach listowych i innych tego rodzaju drobiazgach.

Ulica zawrzała życiem, które jednak miało w sobie coś anormalnego, nie mogło bowiem przeniknąć jéj wawskróś i rozszerzyć się na całą jéj długość, lecz skupiało się wyłącznie w jednym końcu: w owym narożniku, zajętym pod trzy świeżo przez Rosengartena wzniesione domy. Resztę zalegał dawny spokój, cisza i powaga, których nie mąciły tu dotąd ani skromna i przez spokojnych gości nawiedzana „traktyernia" Kapuścińskiego, ani téż sklepik z pieczywem staréj Feliksowéj,—jedyni tu dotychczas, od niepamiętnych lat, reprezentanci handlu na całéj ulicy.

Mniejsza o ten rozgardyasz, jaki tu z sobą te nagłe zmiany sprowadziły; owszem, kupcy byli jacyś zgodni i nie drożyli się na początek, a składnik wódek, w dzień otwarcia swego interesu suto uczęstował stróżów z całéj prawie ulicy, prosząc, aby w czasie „stójki" nocnéj baczenie na sklep dawali. Całe nieszczęście tkwiło w tém, że w ślad za owem pobudowaniem domów Rosengartena musiała pójść zmiana numerów na całéj ulicy i domowi numer 5-ty, należącemu do wdowy po głośnym mecenasie, pani Kamilli Trzcińskiéj, dostać się miała wskutek tego fatalna „trzynastka."

Mówiono wprawdzie, że i tak dom ten nie byłby się długo przy swoim dotychczasowym numerze

utrzymał, choćby nawet Rosengarten swych kamienic nie był pobudował. „Trzecich" numerów było tu bowiem aż dwa, a „piątych" trzy, odróżniały się zaś między sobą tylko literami *A*, *B*, *C*, co zarząd miasta oddawna już podobno postanowił znieść i uprościć. Ale zawsze żeby nie Rosengarten, domowi pani Trzcińskiéj dostałaby się była może, conajwyżéj, „dziewiątka", albo „jedenastka", nigdy zaś ten fatalny numer.

Najwięcéj dotknęło to stróża Wincentego, obsługującego dom numer 5-y już od lat dziesięciu.

Przesądny, jak prawdziwy Mazur, był z tego powodu niepocieszonym. Fatalna „trzynastka" zaćmiła w jego wspomnieniach nawet ów hojny poczęstunek. Już bowiem podczas téj przygodnéj uczty poczęto mu tłómaczyć, że siódmy dom od rogu ulicy, po lewéj „nieparzystéj" stronie, musi nosić numer trzynasty i że na to nawet sam cesarz nie mógłby nic poradzić. Sąsiad Hieronim przypomniał mu nawet, jak to on sam nieraz narzekał, gdy do jego kamienicy przychodzono pytać o lokatorów z pod numerów 5 *A*, a nawet i 5 *C*. Ale to była mała pociecha! Wincenty uszom swoim wierzyć nie chciał, spodziewając się, że przecie to jakoś, przy Bożéj pomocy, będzie się można się z tego wykupić.

— Nie bójcie się! — mówił do Hieronima — moja pani gospodyni nie byle kto! Choć ona słabowita i mało wychodzi teraz, ale zna się z całém

miastem. Ona tam pewnikiem tego dyablego numeru nie przyjmie!

Kiedy też Hieronim odparł mu na to hardo: „Baj baju, kiedy taki je przepis warszawski“ — wówczas Wincenty serdecznie się na niego obraził.

Tego téż jeszcze wieczora, zrozpaczony owym argumentem o przepisach, pobiegł do „pani gospodyni“, która zajmowała frontową część pierwszego piętra, złożoną z kilku najładniejszych w całym domu pokojów, z prawdziwym gustem przez nieboszczyka męża urządzonych. Wprawdzie książki meldunkowe i wszelkie urzędowe funkcye rządcy téj kamienicy prowadził oddawna stary emeryt, Dąbrowski, zajmujący za to umeblowany pokoik w lewéj oficynie na trzeciém piętrze; ale Wincenty niebardzo gderliwego staruszka lubił i w ważniejszych sprawach zwykł był zawsze odnosić się wprost do właścicielki, jak dawniéj odnosił się do „samego pana.“

Tym razem nie miał jednak szczęścia. Zaszedłszy bowiem do kuchni, dowiedział się, że pani nie będzie mógł w téj chwili zobaczyć, gdyż w salonie są jakieś trzy damy z wizytą, pani więc od nich odejść nie może.

— A bo ja tu wedle téj przeklętéj trzynastki! — dodał z ciężkiém westchnieniem.

— Wiem, wiem! — pochwyciła stara kucharka, która tu, podobnie jak on, od lat wielu miejsce swe

zajmowała i znaną mu była dobrze. Toć to podobno już nas nie minie? — dodała w rodzaju zapytania.

— Bodaj to!... — zaczął, kończąc niedomówioną klątwę nowém westchnieniem i zamaszystym ruchem ręki.

Widoczne w całéj jego postaci ciężkie zmartwienie zainteresowało lubiącą pogawędzić starą sługę. Miała właśnie wolną zupełnie od zajęć godzinę.

— No, siadajcie! — rzekła. — Może goście zaraz się wybiorą, to się pani doczekacie...

Siadł więc na ławce, koło pieca, ale długo jeszcze nie mógł się zdobyć na słowa i dopiero po chwili począł rozwodzić swe żale.

Nie umiał wprawdzie przytoczyć żadnych argumentów przeciw owéj oczekiwanéj trzynastce, tém bardziéj jednak wystarczało mu to, że ludzie źle o niéj gadają i że nikt tego numeru nie lubi. Musi w tém coś być. Ktoś, gdzieś, kiedyś dobrze pewnie na tém się sparzył, nic bowiem przecie bez racyi się nie dzieje. Każdy ze znajomych zaczepia go teraz tém jednóm: „A to wam się dostanie trzynastka?” — i każdy urywa, jakby nie chciał dokończyć, co ma na myśli. Skaranie Boże!... Właśnie zaś ta tajemniczość złego, jakie numer ten mógł z sobą przynieść, napełniała go zabobonnym strachem, który w ciągu pogawędki, aczkolwiek w znacznie mniejszym stopniu, począł się udzielać staréj słudze, i ona bowiem odezwała się także:

— Pewnie, że z tego nic dobrego być nie może!

Tymczasem wbiegła „młodsza”, oświadczając, że kazano podać herbatę do salonu. Wizyta więc przeciągnęła się na cały wieczór i naradę z panią trzeba było odłożyć do jutra.

— Dobréj nocy, pani Jakóbowa! — rzekł Wincenty do kucharki, rejterując z nieukojonym żalem. — Przyjdę raniutko.

— Czekajcież! — zwróciła go już od progu Jakubowa, szukając czegoś na półkach kuchennych. — Weźcie to... dla dzieci... — dodała, wsuwając mu w rękę kawałek zawiniętéj w papier leguminy z obiadu.

Każdym innym razem byłby jéj za taki dar podziękownł goręcéj, wymowniéj, nadmieniając coś o uciesze dzieci, a zwłaszcza pieszczochy Antosi, dziś zaś rzekł tylko krótko, płaczliwie:

— Bóg zapłać!

— A przyjdźcie rano, to ja panią uprzedzę.

Wyszedł, raz jeszcze w sieni ciężko wzdychając.

Na dobitkę, przed zamknięciem bramy wieczorem, zetknął się znów z Hieronimem, który mu powtórzył swoją zwrotkę o przepisach. Zepsuło mu to humor do reszty. To też na żonę i dzieci zrzędził bez powodu, póki nie posnęły, sam zaś spał téj nocy jaknajgorzéj i nie mógł się ranka doczekać.

Zaraz też po ósméj stawił się znów w kuchni z żądaniem widzenia się z panią.

Tym razem czekał tylko małą chwilkę, tyle właśnie, ile pani potrzebowała na ostateczne wyekspedyowanie do gimnazyum, śpieszącego się już i tak z konieczności, swego trzynastoletniego synka, zuchowatego Zdzisia.

Uprzedzona, że Wincenty czeka, a ubrana w ładny niebieski szlafroczek ranny, wyszła téż niebawem do niego z dalszych pokojów.

Była to dziś jeszcze, mimo czterdziestu trzech lat, wcale ładna kobieta. Drobniutkich rysów, niewielka wzrostem, ale wdzięczna i zgrabniutka w każdym ruchu, musiała kiedyś czynić wrażenie tych postaci niewieścich, dla których ktoś obmyślił nazwę „laleczka.” I dziś nawet dobrze się nazwa ta do niéj stosowała. Twarz jéj, nieco zbytecznie pozbawioną wybitniejszéj charakterystyki, okraszał zjawiający się chwilami, czasem najniespodzianiéj, łagodny rumieniec, jakby umyślnie na zawołanie malowany; stanowił on téż istną sprzeczność z niezwykłą w tym wieku białością jéj cery, a czarne oczki, którym brak było żywszego naturalnego połysku, uzupełniały wrażenie „porcelanowéj figurki.”

Ale, jak wszystkie ryczałtowe określenia, tak i to w części tylko odpowiadało istocie rzeczy. Niesłusznie bowiem spodziewałby się kto po tych zewnętrznych cechach znaleźć w pani Trzcińskiéj naturę chłodną, wyziębioną lub mało wrażliwą. Owszem, całe skarby niezmiernéj tkliwości i pra-

wdziwie niewieściéj miękkości spoczywały dotąd w téj kobiecie, jakby nietknięte i nienaruszone.

Jedynaczka, z możnéj niegdyś, lecz zubożałéj rodziny ziemiańskiéj, kochała się w dzieciństwie w bogatym kuzynie Zdzisławie, z którym się razem wychowywała. Młodzieniec ten odpłacał jéj uczucie najczulszą miłością, wszelkim jednak planom, przez całą rodzinę pochwalanym i upragnionym, położyła tamę nagła prawie śmierć ukochanego. Pewnego razu spadł z konia tak nieszczęśliwie, że żadne wysiłki lekarzy nie zdołały mu już przywrócić zdrowia i uratować życia. Wegetował rok cały, otoczony najtkliwszą opieką ukochanéj, czekając wyzdrowienia i spełnienia upragnionych nadziei, które jednak na zawsze w granicach marzeń miały pozostać.

Po jego zgonie bliższa rodzina, przyjaźnie dotąd dla rodziców Kamilki usposobiona, rozdrapała ostatecznie cały majątek Zdzisława, pozostawiając uboższych i dalszych krewniaków na łasce losu. Biedy wprawdzie i wówczas jeszcze rodzice Kamilki zaznać nie potrzebowali, ale rodzinne gniazdo trzeba było opuścić i przenieść się do poblizkiego Włocławka, gdzie ojciec Kamilki prędzéj mógł się spodziewać jakiegoś zajęcia.

Rzeczywiście też stanął niebawem na czele małego przedsiębiorstwa, które nieźle poczęło się opłacać. Panna, jedynaczka, śliczna zawsze, miała znów sporo starających się o jéj rękę, ale miłość do

zmarłego narzeczonego nie pozwalała rozgościć się w jéj sercu żadnemu innemu uczuciu. Nie pomogły prośby i perswazye. Jaki taki więc, pokręciwszy się przez czas pewien około ładnéj panienki, odchodził z kwitkiem, a niejeden i z serdecznym żalem. Przyśpieszyło to nawet, jak mówiono, zgon matki; mimo to, uporu córki nie można było przełamać.

— Bóg nie chciał mnie widzieć żoną niczyją, jeśli zabrał mi jego! — powtarzała, mając na myśli ukochanego pierwszą, dziecięcą prawie miłością, Zdzisława.

Tak téż było z początku i z późniejszym jéj mężem, mecenasem Trzcińskim. Był to już człowiek dojrzały, czterdziestoletni, a rozkochał się w smutnéj zawsze i w żałobę przybranéj panience na zabój. Odprawiony raz z niczém, wrócił po pewnym czasie, aby znów z niczém odejść. Mimo to, po roku, wrócił po raz trzeci, bez żalu i wymówek, ten sam, rozkochany, stateczny, podbijający tą swoją cichą, spokojną stałością, która zakrawała na jakiś fatalizm, na niecofnioną niczém konieczność.

I po raz trzeci się oświadczył.

Czy tym razem przemogła już litość, czy namowy ojca, który Trzcińskiego pokochał, jak syna: dość, że niebawem Włocławek był świadkiem wystawnego ślubu. Dwudziestoczteroletnia, choć zawsze jeszcze na dziewczątko wyglądająca, panna Kamilla oddała

wówczas rękę swą przystojnemu a rozgłośnemu już mecenasowi.

Państwo młodzi przenieśli się zaraz do Warszawy, gdzie pana Trzcińskiego powoływały obowiązki, i żyli w najprzykładniejszéj zgodzie przez lat piętnaście. Wprawdzie pani mecenasowa miała zawsze minę ofiary, tém więcej, że istotnie, w krótki czas po ślubie, poczęła ciągle niedomagać, ale mecenas promieniał szczęściem, szedł coraz wyżéj, zabiegał około przysporzenia majątku, kochał nad wyraz dwoje swych dzieci, starszą Maniusię i młodszego o lat pięć Zdzisława, które się czerstwo i zdrowo chowały, a umierając przed czterema laty na zapalenie płuc, wskutek zaziębienia na jakiémś większém polowaniu pod Siedlcami, powiedział do żony, na parę chwil przed śmiercią: „Byłem najszczęśliwszym pod słońcem człowiekiem, a wszystko to tylko tobie zawdzięczam, moja najdroższa...”

Interesa majątkowe zostały w najzupełniejszym porządku. Spory dom, z pięknemi oficynami, o dwóch podwórzach, ten właśnie, który teraz dostać miał fatalną trzynastkę, dwa obszerne place nad Wisłą, rentujące się, bo wynajmowane na składy drzewa, trochę dobrze zabezpieczonéj i ulokowanéj gotowizny, wreszcie śliczna willa w jednéj z modniejszych kolonij pod Warszawą: oto co mecenas zostawił. Nawet służba, począwszy od lokaja, staréj

kucharki i stróża Wincentego, była dobrana, wierna, stateczna i wypróbowana.

Wdowa, jak to dość często bywa w małżeństwach z rozsądku, zrozumiała wartość męża dopiero wtedy, gdy go już zabrakło. Uczuła też nawet coś w rodzaju żalu do saméj siebie za to, że tak mało dotąd oceniała tego najzacniejszego człowieka, a uczucie to sprawiało jéj ból niewysłowiony i przyprawiło ją wreszcie o ciężką niemoc. Przez parę miesięcy nie mogła się podnieść z łóżka i tylko troskliwym staraniom jednego z najpierwszych lekarzy, serdecznego przyjaciela nieboszczyka męża, udało się znów postawić ją na nogi.

— Trzeba żyć dla tych ślicznych dzieci — mawiał ustawicznie ten stary przyjaciel męża, pielęgnując ją podczas owéj choroby. — Cóżby z niemi się stało?

Dzieci!... Kochała je zawsze, kochała najczuléj, Bóg świadkiem; ale dopiero teraz, z udzielającą się zwykle słabym naturom skwapliwością, uchwyciła się silnie podsuniętéj sobie myśli, o którą znów mogła życie zahaczyć. Maniusia, wyrastająca na śliczną szatyneczkę, z niebieskiemi oczyma, i czerstwy, złotowłosy Zdziś, stali się teraz celem jéj zajęcia, wyłącznym przedmiotem wszystkich jéj myśli i bodaj, że ich widok więcéj dopomógł jéj do odzyskania zdrowia, niźli wszystkie recepty i zalecenia słynnego lekarza.

I tak minęło znów lat cztery w niezamąconym spokoju, a chociaż i dziś jeszcze powszechnie uznawano panią Kamillę za mającą „słabe zdrowie”, przecież było już w tém, o ile się zdaje, więcéj imaginacyi, niż rzeczywistości. Te kolory, ta śliczna cera, ta zgrabność i wdzięk w ruchach, przeczyły temu dość wymownie.

Stary doktor, sam ojciec kilkorga dzieci, który tu stale jeszcze zaglądał, jak i dawniéj za życia nieboszczyka mecenasa, podtrzymywał jednak umyślnie mniemanie pani Trzcińskiéj o jéj słabowitości, a czynił to w tém wyrachowaniu, że uchroni to niebrzydką jeszcze wdowę po przyjacielu od wielu „niepotrzebnych”, jak mawiał, zachceń jéj własnych i zabiegów ludzkich. I bodaj, że się nie mylił ten bystry psycholog, choć pani Kamilla nigdy pono nie miała się dowiedzieć o tym podstępie, któremu zawdzięczała względny swój spokój dzisiejszy, oraz szczere oddanie się szczęściu ukochanéj córki i wychowaniu więcéj jeszcze ukochanego Zdzisia.

Przed taką-to „panią gospodynią” stanął owego ranka, zmartwiony nad wszelki wyraz, Wincenty.

— Cóż tam, mój Wincenty? — zapytała, gdy stróż, po zwyczaju, ucałował jéj rękę.

— A to, proszę łaski pani — zaczął bez omówień — wszyscy gadają dokoła, co nam ma się oto dostać na kamienicę trzynasty, z przeproszeniem, numer...

Pani Trzcińska uśmiechnęła się dobrotliwie.

— Cóż robić, mój Wincenty! — odparła. — Tak wypadło!... Właśnie chciałam was prosić... bo to pan Dąbrowski już stary i niedomaga... abyście się wywiedzieli, jakie z tém będą zachody.

Wincenty począł tracić fantazyę.

— Przecie pani chyba, proszę łaski pani, nijak na taki numer się nie zgodzi? — zauważył jeszcze.

Pani wzruszyła ramionami.

— A cóż ja na to poradzę?... Przecież nie mogę sobie numeru wybierać do woli. Trzeba, to trzeba!

— Apelować, proszę łaski pani! — podchwycił Wincenty. — Nasz nieboszczyk pan, wieczne odpocznienie, ho, ho! byłby pewnikiem apelował... To był pan! — dodał z zapałem i widocznèm uznaniem.

Pani Kamilla, na wspomnienie męża, westchnęła cicho, powstrzymując widocznie cisnącą się jéj na usta jakąś odpowiedź.

Wincenty skorzystał z tego odrazu.

— Bo to, proszę łaski pani — tłómaczył — taki numer do niczego przecie niepodobny. Jużby nas też Pan Bóg przy nim chyba całkiem opuścił i jeszcze jaką karę na człowieka zesłał.

Pani tymczasem ochłonęła już zupełnie.

— E, nie dziwaczylibyście, mój Wincenty— rzekła. — Taki dobry numer, jak każdy inny. Ja tam wcale przesądna nie jestem... Cóż znowu!

Mówiła to widocznie ze szczerém przekonaniem i zapalając się sama swemi słowami, poczęła Win-

centemu tłómaczyć, że gdyby się chciało zawsze na podobne rzeczy zważać, toby człowiek kroku nieraz zrobić nie mógł i zatrułby sobie życie. Prawie na każdéj większéj ulicy niebrak trzynastego numeru, a nic przecie się nie dzieje. Żeby zawsze takie tylko nieszczęścia ludzi spotykały, świat byłby rajem prawdziwym!

— Idźcie z Bogiem, mój Wincenty — kończyła — i nie zaprzątajcie sobie tém głowy nadaremnie.

I wzruszając raz jeszcze ramionami, dodała znowu, jakby do siebie saméj:

— Głupstwo!

Wincenty znał swoją panią i wiedział, że w pewnych razach nic z nią nie poradzi. Zawsze słodka, dobra, łaskawa, przywykła pozować na ofiarę i kłopocąca się nieraz najmniejszemi drobiazgami, miała jednak czasami własną swą wolę. Nigdy téż dotąd, przez całe dziesięć lat służby, nie wystrofowała go tak jak dzisiaj i nie odprawiła w podobnie stanowczy sposób.

Spokorniał więc i stracił rezon do reszty.

— Bo to ja, proszę pani, ino przez życzliwość— zaczął, postępując nagle krok naprzód i schylając się znów dla ucałowania jéj ręki.

Nie potrzebował jéj o tém zapewniać. Ta jego „życzliwość" patrzyła przecie i teraz z jego poczciwych a zaambarasowanych w téj chwili oczu.

Pani Kamilla uczuła się zupełnie rozbrojoną. Chciała też jeszcze strapionemu słudze powiedzieć, że się już nie gniewa, że skrupuły jego rozumie, ale poradzić nic przecie na to nie może, gdy w przyległym pokoju dało się słyszéć gwałtowne otwarcie drzwi i szybkie czyjeś kroki.

To Zdziś, roztargniony jak zawsze, wracał z drogi po zapomniany a niezbędny mu dziś w szkole sekstern.

Pani Kamilla cofnęła się więc czemprędzéj, zapominając odrazu o Wincentym i jego obawach.

— Aj, Zdzisiu, Zdzisieńku! — słyszeć się dał niebawem z sąsiedniego pokoju jéj troskliwy głos— jakiżeś ty zawsze nieuważny! Teraz już musisz się spóźnić, moje dziecko... Boże, Boże!... Masz tu, masz, weź chyba już dorożkę, bo to kawał drogi, i pędź!

— Eh, co tam!—brzmiała swobodna odpowiedź, zmieszana z dźwiękiem drobnéj monety, poczém rozległ się głośny chłopięcy pocałunek, wyciśnięty widocznie na ręce matki.

Zdziś wybiegł rączo, tym razem już z niezbędnym seksternem, ale wybiegając, trzasnął oszklonemi drzwiami od schodów tak mocno, że aż dom cały zadrżał w posadach.

— Boże, Boże! — westchnęła jeszcze pani Kamilla, biegnąc za synem przez salon. — Pewnie obudził Maniutkę! — dodała, zatrzymując się na

środku pokoju i spoglądając z trwogą na uchylone drzwi do przyległéj komnaty.

Jakby na potwierdzenie tego jéj przypuszczenia, z sypialnego, zaciemnionego zapuszczonemi jeszcze storami pokoju, zabrzmiał srebrny głosik:

— Czy to mamusia?

Pani Trzcińska skierowała tam natychmiast swe kroki, oryentując się wybornie w panującéj tu pomroce i usiadła po chwili na krawędzi łóżka, w którém, poza niebieską, z lekka rozchyloną kotarą, na wysoko wzniesionych poduszkach, spoczywała śliczna siedemnastoletnia dziewczyna, zaróżowiona jeszcze ostatnim, mocnym snem rannym.

— Ja, moje dziecię — rzekła pani Kamilla, siadając. — To ten nieznośny Zdziś... wracał po sekstern... obudził cię... niedobry... niedobry!

— Ach, to nic! — odparło dziewczę i unosząc się z poduszek, zaplotło obnażone ręce w serdecznym uścisku około szyi matki.

Usta ich złączyły się téż zaraz w długim, cichym pocałunku.

A po chwili, z téj ciemni, rozświetlanéj tylko słabą strugą światła, płynącą z uchylonych drzwi do salonu, zabrzmiał znów tenże sam srebrny głosik, pełen tym razem zachwytu i upojenia:

— Ach, mamusiu, droga mamusiu, żebyś ty wiedziała, co mi się śniło!...

Wincenty tymczasem, nie doczekawszy się już pani, schodził ze schodów, strapiony, jak i przedtém, ale już na ową „trzynastkę” zrezygnowany.

— Musi, to musi! Niech ją tam!... — mruczał i wzdychał.

II.

W tydzień później, na miejscu dawniejszéj 5-ki z literą *A.*, zajaśniała z lewéj strony bramy, na świeżem niebieskiem tle, biała, wypukła trzynastka. Na domiar złego, Wincenty musiał ją tam własnoręcznie przymocować.

Był już zrezygnowany, choć nie przekonany wcale i zawsze jeszcze pełen jakiegoś niepokoju, z którego sprawy zdać sobie nie umiał. Klął téż zcicha i pomrukiwał przy téj czynności, a kiedy pan „rewirowy,” doglądający przemiany, zwrócił mu uwagę, iż tablica krzywo została przybitą, Wincenty z lekceważeniem odparł:

— Proszę pana naczelnika, czy tam kto spojrzy nawet na taki numer!

Mimo to korciło go widocznie owe uchybienie przeciw symetryi, bo gdy rewirowy posunął się ku dalszym kamienicom, Wincenty zabrał się zaraz do sprostowania tablicy.

— Jušci—mruczał—cóż kamienica temu winna!
Chodził przez tydzień, jak struty lub złamany, ciężko wzdychając po kątach, zrzędząc na żonę i dzieci, lub wreszcie zaglądając częściéj, niż dawniéj, do narożnego składu wódek, dla zalania robaka.

Zwolna jednak począł przywykać do niecofnionéj konieczności i nawet do saméj trzynastki, w jéj własnéj postaci. Wprawdzie, wychodząc z bramy, spoglądał na nią zawsze jeszcze niechętnie, z pod oka, niebawem jednak zauważył, że ona tak źle nie wygląda. Nowa, gładka, zgrabna, błyszczy w słońcu jak latarnia, a czasami nawet to prawie że się uśmiecha — szelma!

Byłoby się téż może w umyśle Wincentego ułożyło wszystko jaknajskładniéj i zapomnienie przyszło samo z siebie, gdyby pewnego ranka, żona jego, obsługująca pana Dąbrowskiego, nie przybiegła była do izby zdziwiona i przerażona zarazem, mówiąc:

— Stary! Idź-no ty, bo ja nie wiem, co to takiego! Tłukę się i tłukę do rządzcy, i dzwonię, i wołam, nic i nic! Nijak się dostać i butów do oczyszczenia zabrać nie mogę... Chybaby ano nie było go całkiem w domu na noc?

— E! — żachnął się mąż. — Przeciem go wczoraj puszczał po jedenastéj. Mówił nawet, że jutro, to jest niby dziś, poleży sobie dłużéj i cały ranek będzie siedział w domu, bo słaby...

Kobieta uderzyła w dłonie.

— No, to może zasłabł na dobre! Przecie alarmu narobiłam takiego, że niech ręka Boska broni. Gdzieżby zaś nie otworzył na takie wołanie moje? Całe piętro się zbudziło, tak się dobijałam!

— E! gadasz! — odparł sceptycznie Wincenty. — Ostań-no w izbie, pójdę ja sam, obaczę.

I powlókł się na podwórze, a niebawem wydostał się na trzecie piętro, w lewéj oficynie.

W korytarzu, z którego jedne drzwi wiodły do mieszkania pana Dąbrowskiego, zastał całe grono kobiet, złożone ze służących sąsiadów, które, zwabione dobijaniem się Wincentowéj, radziły właśnie teraz nad dziwnym fenomenem.

— A! Wincenty! — zawołano na jego widok. — Wasza kobieta nijak się tu dostać nie może!

Za całą odpowiedź na te kobiece uwagi, Wincenty zbliżył się do drzwi mieszkania staruszka i ujął za dzwonek.

Szarpnął raz i drugi, nasłuchując, czy nie odezwie się jaki znak życia z wewnątrz. Napróżno: nikt się nie ruszał, nic słychać nie było. Echo tylko roznosiło ostry dźwięk dzwonka po całym korytarzu.

— Widzicie, widzicie! Musiało się coś stać! — poczęły wołać kobiety jedna przez drugą, skupiając się obok stróża, a nawet i czepiając się w przestrachu jego ramienia.

— Cichojcie! — oburzył się na natrętne baby i począł szarpać klamką z całéj siły.

Ale i to nic nie pomogło.

Teraz dopiero uczuł coś nakształt zdziwienia i począł tracić pewność siebie.

„Trzynastka,” o któréj już poczynał zapôminać, zjawiała się znów w jego umyśle. Zdawało mu się nawet, że patrzy znów na nią w téj chwili. Oto jedynka wydłuża się okrutnie, od nieba do ziemi, a trójka skręca się coraz bardziéj, rosnąc wpoprzek do niezwykłych rozmiarów. Cała zaś liczba, w téj postaci, zdaje się uśmiechać, a raczéj wyśmiewać się z niego.

— Cóż to takiego? — rzekł już sam teraz, nasłuchując jednak jeszcze.

Naraz wpadł na jakąś myśl. Łóżko rządzcy stoi przy lewéj ścianie, tuż pod oknem; spojrzawszy przez dziurkę od klucza, niepodobna nie dostrzedz pana Dąbrowskiego, jeśli na niem leży.

— Ale ba! — zawołały kobiety, widząc jak się do téj czynności zabierał. — Patrzyłyśmy już same, ale dziurka czemciś zatkana.

Zaambarasowało go to, ale tylko na małą chwilę.

— Dajcie-no szpilki od włosów — rzekł, a po chwili, gdy mu jéj dostarczono, począł dłubać drutem w otworze zamku.

Pokazało się, że był on z wewnątrz zatkany kulką papierową, która po pewnych usiłowaniach wyle-

ciała, i światło, od położonego nawprost drzwi okna, zamigotało w małym otworze.

— Cóż tam? co? — dopytywały ciekawe kobiety, cisnąc się wkoło schylonego Wincentego, który naraz wyprostował się i począł raz jeszcze niemiłosiernie klamką chrobotać.

— Leży, śpi! — szepnął przytem, jakby do siebie.

Cisza atoli była jedyną odpowiedzią na ten nowy atak, przechodzący gwałtownością wszystkie poprzednie.

Wincenty poczekał jeszcze chwilę i dopiero wówczas schwycił się za głowę.

— Juści, że nieszczęście jakieś! — szepnął. — Ani drgnie!

— A co? a co? — podchwyciły kobiety. — Zmarło się starowinie...

— A może zaczadział?—zauważyła któraś z kucharek.

— Ta jakże? — odparła inna. — Przecie ano, Wrzesień dopiero... W piecu jeszcze nikt z kawalerów nie pali.

— Prawda! — zawtórowały chórem wszystkie.

Wincenty tymczasem, nie słuchając już wcale tych uwag i zostawiając miejsce kobietom, które się łakomie do dziurki od klucza rzuciły, puścił się z powrotem ku swemu mieszkaniu.

Nie wątpił już teraz, że z panem Dąbrowskim stało się coś złego.

„Trzynastka" zaczynała swoje panowanie.

— No, co? — zapytała żona, gdy Wincenty wszedł do izby.

Mąż jęknął tylko i zgrzytnął zębami, nie mogąc narazie słowa z siebie wydobyć.

— Źle! — rzekł dopiero po chwili. — Leży, nie rusza się... Idę po rewirowego! Musi tu być gdzie blizko o téj godzinie.

I wybiegł, ścigany cichym lamentem kobiety, zawodzącéj: „Jezus, Marya, Józefie święty!"

Rewirowy stał właśnie opodal, wydając jakieś polecenia stróżowi sąsiedniéj kamienicy.

Zawiadomiony przez Wincentego o wypadku, pośpieszył zaraz, rozpytując po drodze o szczegóły.

— Może-bo śpi? Podpił cokolwiek? Każdemu się zdarzy, wiadomo! — badał.

— Gdzie zaś, panie naczelniku! Toćby już i z letargu musiał się obudzić na takie stukania.

Wszedłszy na górę i sprawdziwszy przez dziurkę od klucza obecność staruszka na łóżku, kazał rewirowy drzwi wyważyć.

Nie siedziały one zbyt mocno; przy pomocy siekiery zdołano je z zawias wysadzić. Czynność ta nie zabrała nawet zbyt wiele czasu.

Staruszek istotnie nie żył.

Leżał spokojnie, jakby spał, bez śladów jakiego-

kolwiek gwałtu lub cierpienia; jedynie tylko sztywność członków i woskowa cera twarzy świadczyły, iż życie uleciało już z tego ciała na zawsze. Żadnéj zresztą poszlaki, żadnego nieładu w mieszkaniu nie było.

Okazało się nawet, po rozejrzeniu się w szczegółach, iż pragnął ratować się, czy też trzeźwić wodą z karafki, która porozlewana była po stole i obu poduszkach pod głową.

Co więcéj, szklanka widocznie wysunęła się już z rąk umierającego, zatrzymując się o brzeg łóżka i rozlewając część nabranéj wody na podłogę. Świeca też wypalona była do szczętu, tak, iż nawet brzeg lichtarza się osmolił; zgasła widocznie dopiero nad ranem, już po zgonie nieboszczyka. Na przystawionym do łóżka stołku, na którym, jak zawsze, złożone było ubranie staruszka w zupełnym porządku, leżała na ciemnym tużurku, kartka papieru, zapisana ołówkiem, z następującemi słowy:

„*Wszystko co mam, należy do jedynego krewnego mojego, bratanka, Konrada Dąbrowskiego.*

„*Ale chyba jeszcze nie umrę...*

Ignacy Dąbrowski."

Nic więcéj.

To jednak wystarczało najzupełniéj do odtworzenia sobie obrazu tego, co tu zaszło téj nocy.

Staruszek czuł się słabym, mówił o tém do stróża,

wracając do domu po jedenastéj wieczorem. Zapalił świecę, wyjął klucz z zamku, jak to zawsze czynił, i również, jak zawsze, zatkał dziurkę od klucza przygotowaną już w tym celu gałką papieru. Ta gałka miała nawet, zdaniem Wincentego, stałe swe miejsce na brzegu staroświeckiéj komody. Staruszek bowiem nie żył z nikim, nie dowierzał ludziom i bał się, aby go kto nie podpatrzył. Dlaczego? — „Może i miał jakie pieniądze?" — twierdził Wincenty.

Ułożywszy się na łóżku, poczuł, iż osłabienie się zwiększa. Trzeźwił się wodą, choć już ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Bał się, że może umrzéć. Skreślił więc wówczas ową kilkuwierszową kartkę, wyciągając ołówek z kieszonki od kamizelki, któréj już zapomniał ułożyć na właściwem miejscu. Spoczywała ona na kołdrze, tuż pod opuszczonemi bezwładnie jego rękami. A kreśląc kartkę, łudził się jednak nadzieją: „Chyba jeszcze nie umrę."

Kobiety, które odstąpiły już były od fatalnych drzwi, wróciły nanowo z przyjściem rewirowego i z otwarciem mieszkania. Zebrało się nawet kilku mężczyzn.

— Biedny radca! — westchnął jeden z sąsiadów, także emeryt, dając nieboszczykowi ten tytuł, przyznawany mu niekiedy w gronie bliższych znajomych, a będący pamiątką dawnéj jego służby urzędowéj.— Biedny radca! Mieliśmy się zejść jutro na partyjkę u Łopatkiewicza!

Rewirowy kazał zamknąć mieszkanie, polecił czuwać nad niem przybitemu tym wypadkiem Wincentemu, spisał nazwiska świadków, którzy wraz z nim najpierw do mieszkania weszli, i przed udaniem się z raportem do władzy, wstąpił do gospodyni domu. Uważał to za akt osobistéj grzeczności, któréj jednak nie chciał w tym razie zaniedbać.

Pani Kamilla czekała już na niego, pełna niepokoju. Sprawa ta zadługo się ciągnęła, aby głucha wieść o wypadku nie była już do niéj doszła za pośrednictwem służby i sąsiadów. Ledwie téż rewirowy drzwi od kuchni otworzył, wybiegła z sąsiedniego pokoju:

— Panie, panie łaskawy!—zaczęła zmieszana.— Więc to... to... prawda?

— Tak, tak! — potwierdził rewirowy.—Zmarło się staremu!

Pani Kamilla załamała ręce.

— Bo to możeby jeszcze próbować... możeby trzeźwić...

— Jakże! — odrzucił rewirowy, nadając głosowi swemu jakąś cechę urzędową, nie dozwalającą na żadne pertraktacye. — Przecie zimny, jak lód, a sztywny gorzéj drewna! Zmarł, zmarł!

W oczach pani Kamilli zaświeciły łzy.

— Boże, Boże! — rzekła.

Drzwi od pokoju uchyliły się znowu i do kuchni, gdzie odbywała się ta rozmowa, wsunęła się śliczna

panienka, ubrana, jak i matka, w ranny szlafroczek, na który, a właściwie na rozplecione do czesania ciemno-blond włosy, narzuciła małą włóczkową chusteczkę. Wyższa od matki prawie o głowę, więcéj téż gibka, z ruchami łaszącéj się kotki, tętniąca młodością i zdrowiem, które przeglądało z niebieskich, uśmiechniętych ocząt, czyniła wrażenie upostaciowanego w ludzkiem ciele wiosennego poranku.

— Więc to prawda, mamusiu? — szepnęła cichutko, z żalem, stając po za matką i broniąc się w ten sposób od wzroku gościa, który przynosił tę smutną nowinę.

Pani Kamilla, miast odpowiedzi, poczęła oczy ocierać cienką, batystową chusteczką.

— No, mamusiu! Przecie się to już na nic nie zda! — mówiło dziewczę, pochylając główkę na ramię pani Kamilli i starając się temi słowami łzy jéj zażegnać.

Sama nie miała łez w oczach, owszem, z za pleców matki patrzyła z pewną dziecięcą jeszcze ciekawością na gońca téj wieści.

Po chwili jednak, mimowolnie jakoś, wyrwało się z ust dziewczęcia:

— Biedny starowina! Tak go lubiłam!... i on mnie lubił... i tatuś, pamiętam przecie, bardzo go lubił... i Zdziś, ach, Zdziś... Strzelali przecie razem tego lata!

Tyle było powściągliwego, trzeźwego uczucia w tych prostych słowach, że nieboszczykowi mogły one były starczyć za najwspanialszy nekrolog.

Niestety, pan Ignacy Dąbrowski nie mógł już ich słyszéć!

Rewirowy tymczasem, nie biorąc udziału w téj cichéj żałobie, która uwidoczniła się tu w łzach matki i słowach córki, począł urzędowym głosem recytować pośpiesznie: co i w jakim stanie znalazł w mieszkaniu nieboszczyka.

Gdy przyszło do opowieści o znalezieniu kartki, pani Kamilla zawołała z zaciekawieniem:

— A! więc jest jakiś testament? Więc biedak wiedział, że umiera?

— Nie jest to testament — odparł gość, — ale zawsze tak, jakby testament.

I spoglądając do swego notatnika, dodał:

— Zapisał wszystko Konradowi Dąbrowskiemu, bratankowi.

Zaledwie ostatnie słowo przebrzmiało, z ust dziewczęcia wyrwał się stłumiony okrzyk:

— Ach, to on!

Trzy te wyrazy zlały się w jedno westchnienie i były wyrzeczone tak cicho, że zaledwie można je było rozeznać. Mimo to, panienka zarumieniła się bardzo i czując potrzebę jakiegokolwiek usprawiedliwienia, poczęła wyraźniéj:

— To ten śliczny... to ten młody student — poprawiła czemprędzéj — co tu raz był, pytając o pana Dąbrowskiego... A potém, mamusiu, potém przechodził przez podwórze, bo mu pan Dąbrowski kazał zaczekać w swojem mieszkaniu i... i... oglądał się na nasze okna...

A zawstydzona jeszcze bardziéj tem bezładnem objaśnieniem, dodała obojętniéj:

— To... to... to z pewnością ten student!

Pani Kamilla spojrzała na córkę zdziwiona.

— Nic mi nie wspominałaś, Maniutko, o tem spotkaniu — odezwała się po francuzku, głosem, w którym obok wrodzonéj łagodności brzmiał przecież odcień lekkiego wyrzutu.

Dziewczyna zaplotła rączki na szyi matki i przytulając rozpaloną główkę do jéj twarzy, odparła cichutko:

— Mamusi wtedy nie było w domu... potém zapomniałam jakoś... Zresztą...

Nie dokończyła, rewirowy bowiem przerwał, mówiąc, że musi się śpieszyć.

— Ja tu jeszcze nieraz dziś wrócę — dodał. — A teraz czas mi już w drogę!

Po jego odejściu, pani Kamilla przeszła do buduaru i zasiadłszy przed toaletą, aby dokończyć przerwanego czesania, odezwała się do córki:

— Nic nie wiedziałam, że nieboszczyk miał krewnych... Przez tyle lat nigdy o nich nie wspomniał.

Maniusia milczała przez chwilę, chodząc po buduarze, jakby starała się zyskać na czasie i zapanować nad sobą.

— I ja téż tylko przypadkiem to odkryłam — odezwała się wreszcie, siadając na kozetce, zupełnie już swobodna. — Było to, widzi mamusia, w Czerwcu, gdyśmy się wybierali na letnie mieszkanie... Pan Dąbrowski szukał w kancelaryi tatusia nieboszczyka jakichś papierów i ja mu pomagałam. Naraz ktoś do drzwi zapukał i zanim odezwaliśmy się z czemkolwiek, drzwi się raptownie otwarły i na progu, w czapce studenckiéj na głowie, stanął młody człowiek. „Przepraszam stryjaszka — zawołał — ale dzisiaj jeszcze wyjeżdżam... Chciałem stryja pożegnać...” Za nim stał właśnie Wincenty, który go tu widać przyprowadził, bo mówił: „A ot, pan rządzca...” Ale pan Dąbrowski, że to zawsze był mrukliwy, odezwał się gniewnie: „Tu nie moje mieszkanie! Ruszaj na górę i czekaj, a jak ci pilno, to się wynoś na złamanie karku...” Tak powiedział, jak mamusię kocham!

Pani Kamilla, nie przerywając czesania, słuchała z widocznem zaciekawieniem.

— I cóż się stało? — spytała.

— Wtedy dopiero — ciągnęła daléj dziewczyna, otulając się chusteczką, jakby odczuwała chłód na samo wspomnienie téj sceny, — wtedy dopiero, mamusiu, student ten mnie zobaczył... „Przepraszam”—

rzekł i cofnął się czemprędzéj. Ale nim drzwi za sobą zamknął, pan Dąbrowski zdołał jeszcze zawołać: „A cóż egzamina?" — On więc znów drzwi uchylił i uśmiechając się, rzekł: „A cóż stryj o tém myśli?..." — „Pewnieś przepadł, ladaco!? — spytał pan Dąbrowski. On znowu się uśmiechnął, a nawet zaśmiał się wesoło: „Ot, będzie stryj miał niespodziankę—rzekł, — bom przeszedł..." I znów, jakby sobie o mnie nanowo przypomniał, ukłonił się, mówiąc: „Przepraszam..."

Zamilkła, a po małéj pauzie dodała ze smutkiem:

— I poszedł...

Pani Kamilla, zasłuchana, odwróciła się od toalety i patrząc przenikliwie na powleczone zadumą oblicze córki, odezwała się po chwili:

— Jak ty to dokładnie pamiętasz, moja Maniutko!

Dziewczę znowu zarumieniło się na tę uwagę.

— Bo, bo... widzi mameczka... to było takie.. takie... zabawne!

Milczenie zaległo przez chwilę buduar. Słychać niemal było nawet przesuwanie się grzebienia wśród zwojów delikatnych włosów pani Kamilli.

— I nie pytałaś późniéj kiedy pana Dąbrowskiego o tego chłopca? — przemówiła znów matka.

— Pytałam... zaraz pytałam... jak tylko wyszedł. Ale pan Dąbrowski nie chciał o nim mówić... „Ot, ladaco, panno Maryo" — rzekł tylko. Wtedy téż i papiery zaraz się znalazły, więc staruszek podziękował mi za pomoc, kazał przeprosić mamę, a raczéj zawiadomić, że wziął jakieś stare akta z kancelaryi, i poszedł do siebie. W kwadrans niecały już obaj wracali i wtedy-to on... ten młody... przechodząc przez podwórze, spoglądał wciąż na nasze okna... A staruszek, jakby zły był na niego, mówił coś przez drogę i machał rękami... Oni nie musieli się bardzo lubić, mamusiu — zakończyła, pogrążając się znów w zadumę.

A zaduma ta tym razem naseryo zaniepokoiła panią Kamillę. Wpiąwszy ostatnią szpilkę we włosy i przyjrzawszy się w lustrze swojemu dziełu, podeszła do kozetki, na któréj siedziała .otulona w chusteczkę córka.

— Ależ ty ten zgon naprawdę odczułaś, Maniutko? — rzekła, wpatrując się w twarz dziewczęcia, rumieniącą się i blednącą naprzemian, widocznie pod wpływem przewijających się przez główkę myśli.

Córka wyciągnęła z pod chusteczki obie dłonie i zaplotła je na ramionach matki, zmuszając ją przez to do zabrania miejsca na téj saméj kozetce.

— Maniutko!

Pocałunek dziewczyny był narazie jedyną odpowiedzią na ten serdeczny okrzyk matczynego serca.

— Tak mi go żal, mamusiu! — rzekła wreszcie cichutko, a łzy zamgliły jéj niebieskie oczy.

I znów mały buduarek zaległa cisza.

Dopiero po chwili dziewczę, zepsute pieszczotami, a mimo to naturalne i przywykłe do bezgranicznéj szczerości, kryjąc twarz na piersiach matki, odezwało się zcicha:

— Ale on... ten student... ten krewny pana Dąbrowskiego... on tu teraz przyjść musi, prawda?

I zanim pani Kamilla mogła cośkolwiek odpowiedzieć, Maniutka zawołała jeszcze:

— Żeby mamusia wiedziała, jaki on śliczny, jaki śliczny!...

Te słowa otwarły ostatecznie oczy pani Kamilli i nadały wyrazistszą cechę jéj zaniepokojeniu.

Tak! Teraz dopiero rozumiała wiele rzeczy, które w swoim czasie, podczas całego niemal tegorocznego pobytu w willi, na letniem mieszkaniu, wydawały jéj się niejasnemi lub dziwacznemi. Tak, ten dzień sprowadzenia się tam, w Czerwcu — a było to niewątpliwie nazajutrz po owém szukaniu papierów z nieboszczykiem Dąbrowskim — dał jéj przecie w swoim czasie tyle do myślenia! Maniutka mniéj, niż corocznie dotąd, cieszyła się tym wyjazdem. I ogródek kwiatowy już nietyle ją zajmował, co zwykle, i tak trudno było namówić ją do wi-

zyt sąsiedzkich, koniecznych przecie wobec trzymiesięcznych prawie stosunków. A kiedy w Lipcu, 18-go, w dzień imienin pani Kamilli, urządzono zabawę i wśród gości pojawiło się trzech, zaproszonych do tańca, studentów, których przyprowadzili państwo Moraczewscy, jako swoich krewnych, Maniutka tak jakoś dziwnie wodziła za nimi oczyma i tak niechętnie z nimi tańczyła, że to aż powszechne niemal obudziło zdziwienie. Ba! prześladowano ją tém nawet przez cały niemal wieczór. — „Panna Marya dziwny ma wstręt do mundurów studenckich" — mówiono. A to biedactwo uczuwało tylko żal do tych młodych, eleganckich ludzi, że żaden z nich nie był podobnym do tamtego, nie był nim samym. Późniéj po paru tygodniach przyszła równowaga, rzec-by można, nawet zupełne zapomnienie. Spokój i dawna swoboda wróciły. Aż oto dziś ten wypadek odświeżył wszystko i odżywił nanowo.

Stało się! Serce w dziewczęciu się zbudziło, to już dla pani Kamilli nie ulegało teraz żadnéj prawie wątpliwości. Mówiła sobie wprawdzie jeszcze, że to może zwykłe rojenia dziewczęce, niejasne, nieokreślone, ot, nic znaczącego! A jednak, patrząc na córkę i mając w myśli jéj ostatnie słowa, czuła sama, iż rzecz ta poważniejszą jest, niż myślała.

I wślad za tém poczęło się w jéj sercu rodzić uczucie żalu i doznanego zawodu. Przeszedłszy sama w życiu swojem tyle cierpień, marzyła, iż kie-

dyś zdoła pokierować krokami tego dziewczęcia, które Bóg jéj dał, jako nagrodę wszystkich doznanych nieszczęść. Myślała, że sama zdoła wybrać dla niéj przedmiot kochania, a co najmniéj sama najpierw odgadnie, kiedy i dla kogo zbudzi się to małe, czyste serduszko. Obiecywała sobie z tego tyle rozkoszy; żyła od roku, od wyjścia Maniutki z pensyi, tą myślą, tą nadzieją, a dziś całe te gmachy szczęścia burzyło jedno, bezwiedne prawie odezwanie się tego dziewczęcia:

— „Jaki on śliczny, mamusiu!"

I kto to był? Ktoś, kogo ona, matka, wcale dotąd nie znała i nigdy nie widziała.

— Boże, Boże! — westchnęła w myśli.

W téj chwili, przez otwarte okna, poczęła z podwórza napływać ludowa piosenka, cichym głosem nucona przez którąś ze służących z prawéj oficyny:

„Oj, dudni woda, dudni,
„W cembrowanéj studni —
„Oj, zakochać się łatwo,
„Odkochać się trudniéj!..."

Słowa te dochodziły tu tak niewyraźnie, że zaledwie rozpoznać je było można. Pani Kamilla jednak, na dźwięk saméj melodyi, którą dobrze znała, uczuła dreszcze na całém ciele i spojrzała z trwogą na siedzącą obok córkę.

„O, odkochać trudniej!..."

Ale Mania, jak gdyby wcale słów téj piosenki nie rozumiała, otulona w chusteczkę, siedziała nieruchomie, rozmarzona, błądząc bezwiednie oczyma po wypukłéj rozecie sufitu.

— Mamusiu! Czy dziś mamy jaką wizytę? — odezwała się naraz, nie zwracając jednak oczu na matkę przy tém zapytaniu.

— Nie, moje dziecko — odparła pani Kamilla.

— Ach, to dobrze!

I znowu zaległa cisza i znowu myśli biednéj matki dawnym pobiegły torem.

Tak! Więc to wszystko pewnie przejdzie, jak przyszło. Może ta mrzonka niejasna, dziewczęca, rozwieje się, jak mgła; może ten niepochwytny sen siedemnastoletniego serduszka minie, śladu za sobą nie zostawiając?... Daj Boże!

Ale zanim się to stanie, serce matki odczuwa jeszcze żal jakiś dziwny, i ból, i niepokój, i przykrość, które uciskają, jak kamień.

I w oczach pobudzonéj tym uciskiem zaświeciły łzy.

— Dziecko moje najdroższe! — rzekła, całując czoło córki, z nagłą, bezmyślną niemal czułością matczyną.

Maniutka poczuła na swéj twarzyczce łzy matki, a tak dalece nie domyślała się całego toku jéj obecnych myśli, że to ją trochę zadziwiło.

— Mamusia płacze? — szepnęła, zbudzona z zadumy.

A nie doczekawszy się zaraz odpowiedzi, dodała po chwili:

— Mamusi także żal tego biednego staruszka?...

Te ostatnie słowa córki, takie naiwne w swojéj prostocie, szczególniéj zaś ta dziwna mieszanina dwojga uczuć i myśli, kołaczących się widocznie w ciągu całego kwadransa po główce biednego dziewczęcia, były dla pani Kamilli kojącym balsamem.

— Ja go przecie także lubiłam! — rzekła głośno.

Równocześnie jednak, natchniona jakimś błyskiem nadziei, pomyślała:

— No, jeszcze nic nie stracone! Jeszcze to może nic poważnego... Zobaczymy, zobaczymy!

A uparta śpiewaczka za oknem, w prawéj oficynie, nuciła daléj, zmieniwszy już jednak melodyę:

„Wspominał ją długo,
„Aż trzy dni bez mała,
„A ona go za to.
„Do śmierci kochała!..."

III.

Tymczasem, około południa, zeszła na miejsce wypadku komisya sądowa, wraz z lekarzem.

Cały dom zawrzał znowu ruchem i życiem, które uwidoczniły się szczególniéj w lewéj oficynie, gdzie było mieszkanie nieboszczyka. Po sieniach, w korytarzach, przed bramą i na podwórzu, poczęły się znów zbierać gromadki ludzi, wśród których, przebiegając od jednego grona do drugiego, réj wodził stary, ubogi szewc z suteryn, dobrze w całym domu znany, a obdzielający swoim zapałem w równym stopniu wszelkie wielkoświatowe wypadki polityczne, jak i ciekawsze zdarzenia rodzinnego miasta.

— To ci jest! A to parada! — słychać było głos jego wśród bab i służby.

Wieczorem, o zmroku, wywieziono zwłoki do kostnicy szpitalnéj. Nikt z krewnych nie zgłosił się wcale do owéj pory. Pani Kamilla, oczekująca lada chwila tego zgłoszenia, poczęła się niecierpliwić.

Wstawszy téż nazajutrz wcześniéj, niż zwykle, podczas gdy Maniusia, o ile się zdawało, spała w najlepsze, zawezwała raz jeszcze rewirowego, prosząc, aby na swoją rękę zechciał się zająć odszukaniem owego bratanka, którego nieboszczyk naznaczał jedynym swoim spadkobiercą.

— No, my go już szukamy — zabrzmiała odpowiedź. — My go znajdziemy! Raport zrobiony, jak należy, i sekcya dziś zrana będzie. Telegramy nasze poszły przytém i na miasto i daléj, gdzie potrzeba... Wszystko w porządku... On się tu zjawi, zjawi z pewnością... Zresztą niech pani będzie spokojna, ja to jeszcze popchnę trochę naprzód...

Pogrzeb naznaczono trzeciego dnia, na popołudniu, a miał się on odbyć z kaplicy szpitala Dzieciątka Jezus, gdzie przeniesiono zwłoki ś. p. Dąbrowskiego.

Pani Kamilla łożyła na wszystko i wszystkiem prawie zajmowała się sama. Nie chcąc jednak zdać sobie sprawy z pobudek tego zajęcia, tłómaczyła je przed sobą i przed córką, długoletnią służbą zmarłego i koleżeństwem, jakie łączyło podobno niegdyś biednego radcę z nieboszczykiem mężem.

— Tak, tak, przypominam sobie — mówiła do córki i Zdzisia, — oni byli kolegami! I dlatego tylko wasz tatuś nieboszczyk dał to miejsce temu biedakowi.

Maniutka, cicha, smutna, ale przecież pełna

jakiegoś tajemniczego oczekiwania, a ztąd nawet uśmiechniona czasami pomimo woli, pochwalała wszystkie zarządzenia, nie słowami jednak, ale częstemi, gorącemi pocałunkami, jakiemi matkę cokrok niemal darzyła.

Raz tylko odezwała się wyraźniéj:

— Jaka mamusia dobra! Jaka mamusia złota!

Tymczasem klepsydry z nazwiskiem ś. p. Ignacego Dąbrowskiego i dawnym jego tytułem: „b. naczelnik wydziału b. Komisyi skarbu," błyszczały po rogach ulic, zwłoki zaś spoczywały już od kilkunastu godzin w skromnéj, ale porządnéj trumnie metalowéj, a nikt się nie zgłaszał.

Bratanka-sukcesora jak nie było, tak nie było.

Dopiero kiedy kondukt miał już wyruszać i pani Kamilla, ubrana w czarną, skromną suknię, wraz z Maniutką, Zdzisiem i trzymającą się opodal, w należytéj odległości, starą kucharką Jakóbową, czekała obok zamkniętéj już trumny, w pustéj i ponuréj kaplicy zrobił się nagły rumor.

Twarze wszystkich obecnych zwróciły się ku wejściu, gdzie naraz pojawiło się trzech studentów. Wchodzili razem, ramię przy ramieniu, śmiało, jakby nie spodziewali się zastać przy téj trumnie nikogo. Dopiero na widok grupy zebranych osób, wśród których wyróżniała się pani Trzcińska z córką, oraz trzesący się od starości emeryt Łopatkiewicz, otoczony kółkiem równie prawie sędziwych panów,

młodzi zatrzymali się we drzwiach, jak wryci lub zawstydzeni niewczesną swoją brawurą.

Dwaj z nich nie ruszyli się téż już od drzwi, aż do nadejścia księdza i wyniesienia trumny, trzeci natomiast, mający dotąd w twarzy prawie samą tylko ciekawość, począł się widocznie mieszać i nie rozejrzawszy się wcale po obecnych, postąpił ku trumnie.

Stał przez chwilę tuż przy niéj, niemy, sztywny, potém mimowoli jakoś ugiął głowę, a wreszcie padł na kolana, jakby mu nogi podcięła jakaś niewidzialna siła.

To był on, pan Konrad Dąbrowski.

Serce Maniutki, już na sam odgłos owych śmiałych kroków, odbijających się tak wyraźném echem pa kamiennéj posadzce, poczęło się trzepotać w piersiach, niby spłoszone ptaszę, które rozbija się bezwiednie o szczeble klatki.

Była pewną tego spotkania i w téj pewności właśnie czerpała cały swój spokój w ciągu owych rozstrajających trzech dni.

Zdawało się jéj nawet, iż tego spokoju nie zdoła się już pozbyć, cokolwiekby się stało. Była cichą, ale i tak smutną zarazem, że najpełniejsze nawet szczęście jużby jéj niezdolne było uradować. Młode serduszko, zbiedzone wciągu tylu miesięcy tajemniczego wyczekiwania, zamknęło się szczelnie, zamarło, skostniało.

A jednak wzruszenie odebrało jéj teraz wszystkie siły.

Przymknęła oczy, jakby przed nagłym blaskiem, i mimowoli oparła się silniéj na ramieniu matki.

Zanadto wiele było już pani Kamilli wiadomém, aby nie miała odczuć tego, co teraz musiało się dziać w sercu Maniutki. Choćby już nic innego, to sam ów ruch, pełen jakiegoś bezwiednego omdlenia, mógł był uwiadomić ją o wszystkiem. Serce jéj chwyciła téż jakaś bezwiedna litość.

Niestety, Zdziś, ciekawy, jak zwykle, zapytał w téj chwili zcicha:

— Kto to, mamusiu?

I wskazał klęczącego studenta, odwracając tym sposobem uwagę matki od oblicza pobladłéj Maniutki.

Zanim jednak można było odpowiedzieć ciekawemu chłopcu, do kaplicy wsunął się cicho kapłan wraz z kościelnym, dla pokropienia zwłok i odprawienia żałobnych egzekwij.

Klęczący u trumny pan Konrad powstał, czyniąc kapłanowi miejsce, i oczom obecnych teraz dopiero przedstawiła się w całéj pełni piękność i siła téj młodzieńczéj postaci.

Wysoki, smukły, ale barczysty i nieźle zbudowany, dosięgał głową najwyższych z zebranych, a piękną twarz swoję, powleczoną przed chwilą szczerym smutkiem, zwrócił teraz nagłym energicz-

nym ruchem w tył, ku zebranym, jakby ich wyzywał samą swoją obecnością.

Człowiek ten przywykł widocznie śmiało ludziom w oczy spoglądać i sam sobie do tego niejakie prawo przyznawał. Była to niewątpliwie jedna z tych natur, które rodzą się już z jakiemś usposobieniem do niepodległości, a życie tak im się składa, że pozwala do pewnego czasu rozwijać w sobie owe skłonności.

Stał oto teraz na oczach wszystkich, wiedząc, że nań patrzą, i wzajem wodząc po nich swym bystrym wzrokiem, z ciekawością i rozwagą zarazem.

A jednak w téj twarzy, prawie już męzkiéj, ascetycznéj, okolonéj dość gęstą, choć zbyt jeszcze świeżą brodą, widniało teraz, obok wrodzonéj energii, jakieś umęczenie, nadające jéj wyraz chorobliwéj niemal zadumy, czy melancholii. Ciemne, wypukłe oczy połyskiwały fosforycznym blaskiem, to znów naprzemian zachodziły mgłą, a znużenie przebijało się w całéj postaci. Niewątpliwie młody student przybywał zdaleka, z pośpiechem, o którym świadczyło już samo owo wejście. Co do jednego tylko nikt nie mógłby się był omylić na pierwszy rzut oka: było w téj twarzy i całéj postawie poczucie siły i jakaś wielka, anormalna prawie powaga, nakazująca szacunek zarówno dla siebie saméj, jak i dla właściciela.

Dwaj jego towarzysze zasługiwali téż na uwagę.

Jeden, snadź urodzony paniczyk, delikatny i mimo okazałego wzrostu drobny, jak panienka, ustrojony był także w mundur studencki, który pokrywał jednak podróżny płaszcz angielski, zawieszony na ramionach. Drugi — szczupły młodzieniec, jakby chorowity, miał w żółtéj, suchéj twarzy swojéj coś z południowca.

Każdy z nich, zosobna, mógł był zaciekawić, rzucał się bowiem w oczy i jakby prosił o dalsze domysły; ale przy towarzyszu swoim, przy bohaterze téj smutnéj uroczystości, ginęli obaj i tracili całą prawie swoją charakterystykę. On ich tu przywiódł; on mógł wodzić za sobą, gdzie zechciał. Obaj pozostawali niewątpliwie pod wpływem i absolutną władzą tego, przerastającego ich i wiekiem i doświadczeniem, kolegi. On był tu — i wszędzie — wszystkiem; oni — mimo odrębnych swoich właściwości — niczém; na to już rady nie było i być nie mogło.

A wrażenie, jakie na obecnych sprawił ów krewny spoczywającego na marach nieboszczyka, było wogóle zgoła sympatyczne, a co więcéj, rosło z każdym nowym momentem. Nikt nie mógł się omylić: z kim ma do czynienia, a to zawsze musi się ludziom podobać.

Spoglądano téż na niego z pewną życzliwością, a i on, jakby domyślał się najbliższych zmarłego w téj małéj garstce obecnych, patrzył na wszystkich z pewném uczuciem, choć jeszcze i z jakąś wyzywa-

jącą miną, którą jednak niezwykła sytuacya zupełnie usprawiedliwiała. Ci bowiem najbliżsi nieboszczyka byli mu całkiem nieznani.

Dopiero gdy wzrok patrzącego padł na panią Kamillę, a zwłaszcza na blade oblicze Maniutki, buta przepadła gdzieś w jednéj chwili, a miejsce jéj zajęło coś w rodzaju upokorzenia, w oczach zaś poczęła się plątać łza jedna, jedyna.

Ale nie była to łza wyraźna — o nie! — zabłąkawszy się tu bowiem, cofnęła się pod powieki jeszcze prędzéj, niż się zjawiła.

Pokory natomiast nikt nie mógł mu zaprzeczyć, podniesiona głowa opadła bowiem, jakby bezwładnie, na piersi, a na wargach zajaśniał bolesny uśmiech.

Byłby też może zaraz podszedł ku obu paniom, z paroma wyrazami podzięki, które widocznie już wisiały na jego wargach, gdyby czasu na to nie brakło.

Kapłan bowiem ukończył żałobną egzortę i po okadzeniu trumny, cofnął się ku wyjściu, gotów do pochodu. W skromnéj kaplicy, po uroczystéj ciszy, przerywanéj tylko słowami kapłana, zawrzało znów życie. Służba poczęła odstawiać lichtarze, a u drzwi rozległy się ciężkie stąpania żałobników, przybywających w celu wyniesienia trumny na oczekujący przed bramą karawan.

Chwilkę tylko jeszcze wahał się pan Konrad i naraz, zatrzymując wymownym ruchem ręki jednego z obsługi karawanowéj, odwrócił się ku drzwiom, gdzie stali obaj koledzy. Nie uczynił przytém żadnego prawie ruchu; spojrzenie samo wystarczyło dla przywołania obu towarzyszów.

— Wyniesiemy! — wybiegło cichym szeptem z ust młodego człowieka.

Dopiero zebrawszy się około trumny, spostrzegli, iż zamiar był ryzykownym. Brak im było czwartego. Równocześnie jednak zgromadzeni w kącie emeryci poczęli spoglądać po sobie i jeden z nich, równy panu Konradowi wzrostem, radca Piotrowski, ruszył bez namysłu ku młodym na ochotnika.

Jeden rzut oka wystarczył im do porozumienia się wzajemnego; dobrano się w ten sposób, iż paniczyk, wraz ze swym towarzyszem, stanęli u nóg, radca Piotrowski zaś z panem Konradem ujęli trumnę od głowy. Żałobnicy pomogli im w podaniu jéj na ramiona i po chwili ruszono ku bramie, a za niosącymi posunęła się w milczeniu cała gromadka zebranych.

Zdziś, mający zawsze jakąś słabość do mundurków akademickich, a widząc, iż jednemu z dźwigających trumnę plącze się około nóg, ujęty w rękę niedbale, długi płaszcz podróżny, poskoczył z własnego popędu i odebrał go z rąk niosącego. Pani

4*

Kamilla widziała ten postępek syna i pochwaliła mu wzrokiem jego usłużność.

O dźwiganiu zwłok na sam cmentarz nie mogło być mowy wobec zbyt szczupłéj garstki obecnych; chodziło tylko o odniesienie ich do oczekującego przed bramą karawanu, na którym téż po chwili trumna spoczęła, i kondukt ruszył, posuwając się oświetloną właśnie łagodném wrześniowém słońcem ulicą Marszałkowską.

Przed ruszeniem, pan Konrad, dziękując za przysługę, skłonił się grzecznie radcy Piotrowskiemu, który, uścisnąwszy dłoń młodzieńca, cofnął się dyskretnie ku swoim towarzyszom, pełen, jak zawsze, niezamąconéj powagi.

Pochód przybrał po chwili dość raźne tempo; młody kapłan szedł żwawo, karawaniarzom także dość się śpieszyło, a młodzież mimowolnie jakoś nie żałowała kroków. Zrobiło się więc niebawem tak, iż wprost za trumną postępował tylko pan Konrad, wraz ze swymi kolegami i wytrwale trzymającym się przy nich Zdzisiem, daléj następowała pewna luka, poczém dopiéro sunęli niemogący nadążyć emeryci, z Łopatkiewiczem i Piotrowskim na czele, a także pani Kamilla z córką i drepcącą o krok w tyle za swą panią i panienką starą Jakóbową.

Jak zwykle w takich razach, mało w orszaku rozmawiano. Staruszkowie tylko chwalili sobie pogodę, dziękując za nią Opatrzności, umożliwiła im

bowiem oddanie ostatniéj posługi lubianemu koledze. Maniutka szła cicha, spokojna, prawie nawet pogodna, z jakimś błogim, choć nie wesołym, uśmiechem na bladéj twarzyczce, a pani Kamilla, widząc ten spokój córki, nie chciała go mącić rozmową. Jakóbowa tylko poruszała bez dźwięku wargami, szepcąc pacierze, a Zdziś, nim kondukt dostał się poza miasto, był już widocznie w najlepszéj komitywie z obu kolegami pana Konrada, którzy bardzo przypadli mu do serca.

Naturalnie, dopomogła w têm przysługa, oddana przez Zdzisia młodemu studentowi, a także i czupurność chłopca. Zwracając bowiem, po złożeniu trumny na karawanie, płaszcz owemu paniczykowi i usłyszawszy: „Dziękuję *panu!*" — wyciągnął czemprędzéj rękę do młodego człowieka, mówiąc z zabawną powagą świeżego czwartoklasisty:

— Jestem Trzciński!

Student, mimo powagi chwili, uśmiechnął się zlekka, ale przywykły widocznie do dobrych manier, nie okazał żadnego zdziwienia i ujmując maleńką rączkę chłopczyny w swoję, przybraną w elegancką duńską rękawiczkę, przedstawił się wzajemnie:

— Marczewski.

Owo „dziękuję *panu*" i ta następna prezentacya wystarczyły, aby zapalny Zdziś był w siódmém niebie. Trzymając się téż już przez całą drogę nieodłącznie swego nowego znajomego, starał się zaba-

wiać go rozmową i z dziecięcą natrętnością zadawał mu od czasu do czasu różne pytania, wtajemniczając natomiast, choć niezapytywany, w swoje stosunki rodzinne.

Jedném z pierwszych pytań Zdzisia było: „Czemu pan Dąbrowski, jako krewny nieboszczyka, nie ma żałoby na czapce lub rękawie?" Pan Marczewski odparł na to, iż dążą prosto ze wsi. Jechali. powozem, we trzech, od jedenastéj zrana, bo to duży kawał drogi, i zaledwie zdążyli. Depesza dopiero dziś znalazła ich na wsi, gdzie bawili od tygodnia, spędziwszy już poprzednio półtora miesiąca gdzieindziéj, na Podolu.

Mówił to wszystko uprzejmie i chętnie, ale z pewnym odcieniem dokładności, jakiéj zwykle starsi przestrzegają względem dzieci w opowiadaniach. Dodał téż iż dobrze, że choć nie potrzebowali błądzić i pytać: zkąd pogrzeb? Pierwsza klepsydra przy wjeździe do miasta, około Bernardynów, poinformowała ich o wszystkiém Mogli więc tu prosto dążyć.

— A to mamusia kazała wydrukować klepsydry, a układał je pan Piotrowski — pochwalił się Zdziś.

Potém zaś począł rozpowiadać, iż mamusia jest tu także. Idzie w tyle, po chodniku, z Maniutą Mama bardzo jest dobra, siostra Maniuta także. Nieboszczyk... ach, ach, jak mu go żal!... uczył go strzelać tego lata w ich willi. Mają bowiem także i willę. Strzelali do celu i do wróbli, które objadały

czereśnie, okropnie objadały! On sam zabił dziewiętnastu wróbli przez lato, przez wakacye, choć dopiero pierwszy rok strzela...

Pan Konrad, postępujący tuż za karawanem, na krok przed rozmownym chłopcem i jego uprzejmym towarzyszem, słyszał niejedno z tych wyznań, które jednak, zdawało się, nie sprawiały na nim żadnego zgoła wrażenia. Szedł smutny, zgnębiony, a cichy jego smutek wzbierał w nim widocznie tém bardziéj, im krótszą już stawała się droga ku Powązkom.

Stryj, dziś trup już tylko, spoczywający tam, na posuwającym się zwolna karawanie, zabierał wszystkie jego myśli.

Całe dzieciństwo, twarde, ciężkie, a późniéj owa kapryśna zawsze, jak każde dobrodziejstwo, opieka nieboszczyka, przesuwały się teraz kolejno przed oczyma jego duszy.

Albo te ostatnie lata, jakże żywo stoją mu w pamięci!

Pamięta, jak po ukończeniu pierwszego kursu uniwersyteckiego, widząc, że musi oglądać się na pomoc stryja, który zresztą, jako emeryt, sam miał niewiele, a jako stetryczały stary kawaler nie umiał świadczyć dobrodziejstw bratankowi bez szemrania, zniknął na rok z Warszawy, przyjmując obowiązki nauczyciela w jednym z zamożnych domów obywatelskich na wsi. Po roku wrócił, świecąc w oczy stryjowi „własnemi", uciułanemi

z mozołem pieniędzmi i znów zapisał się na uniwersytet.

Posprzeczali się nawet wówczas na dobre; pan Ignacy bowiem widział w tém dla siebie obrazę.

— Mało ci było tego chleba, jakim się z tobą dzieliłem? — gderał.

— Nie! Alem chciał własnego skosztować.

— A roku straconego nie szkoda? Kiedyż ty dojdziesz do czego człowieku?

— Mam czas!

Rok trwała odtąd zgoda, zwłaszcza, że w ciągu tego roku pan Konrad jaknajmniéj się stryjowi narzucał, gdy naraz, jak grom, spadła na starca wiadomość, iż bratanek po dwuletnich studyach prawa postanowił przerzucić się na medycynę.

Starego omal nie przyprawiło to o apopleksyę.

— Nic już z ciebie nie będzie! — zadecydował.

— Kto wie!

Widywali się odtąd rzadko, a stryj czekał tylko jakiegoś nowego „waryactwa" bratanka.

— On tu znów z czémś wyskoczy, obieżyświat! — mówił.

Ale przepowiednia już się nie sprawdziła. Konrad znalazł niezłe lekcye na mieście, pisywał podobno nawet po gazetach, utrzymywał się sam,

a studyów pilnował. I oto właśnie przed owym ostatnim wyjazdem przyszedł zawiadomić stryja o złożeniu egzaminów. Pozostawała tylko doktoryzacya. Ot, i losy nie dały starcowi téj chwili doczekać.

Przed samą rogatką karawan stanął, jakby w oczekiwaniu, czy znów ktoś nie zdejmie trumny, według przyjętego zwyczaju, i nie poniesie do grobu.

Nastała nawet, wskutek tego, pewna chwila zakłopotania.

Zaraz jednak poskoczył znów pan Konrad i obaj jego koledzy, a wślad za nimi zjawił się z grona starców pan Iwaszkiewicz, i jak poprzednio, przy ruszeniu z kaplicy, ujęto znów trumnę na ramiona.

Obrany grób znajdował się zaraz za kościołem, nieopodal drugiéj bramy cmentarnéj, a przykład młodzieży począł działać na staruszków zaraźliwie. Zanim pochód stanął nad świeżo rozkopaną mogiłą, już pana Iwaszkiewicza zluzował Słodecki, a i trzęsący się pan Łopatkiewicz począł dopominać się zcicha o miejsce dla siebie przy téj posłudze.

— Daj Jasiu, wezmę!

— Zadyszałbyś się! — bronił Słodecki i już nie ustąpił.

Kapłan odśpiewał modlitwy, wezwał obecnych do westchnienia za duszę ś. p. Ignacego i niebawem po wieku spuszczonéj trumny zadudniły grudki zeschłéj gliny.

Pani Kamilla zapłakała zcicha, Maniutka poczęła też ocierać załzawione oczęta, Jakóbowa westchnęła: „Boże, Boże!...” Staruszkowie szeptali zcicha pacierze, żegnając się od czasu do czasu.

Dół zapełniał się zwolna, mogiła rosła, kapłan wraz z kościelnym, rozebrawszy się z komży i ornatu, zabrali się do wyjścia, a pan Konrad stał ciągle nieporuszony, jakby wpatrywał się w robotę grabarzy, nic po za nią nie widząc.

Ręce wprawdzie złożył i palce zaplótł, niby do pacierza, ale zaciśnięte usta jego nie drgnęły wcale, a zaplecione ręce tarły się, dłoń o dłoń, w jakichś nerwowych poruszeniach.

— Wieczne odpocznienie! — szepnął głośniéj Łopatkiewicz, kończąc swój cichy pacierz.

I zwracając się do towarzyszów swoich, dodał z westchnieniem:

— Pójdziemy!

— Trzeba! Czas! — odparł tym samym tonem radca Piotrowski.

Słowa te zbudziły z odrętwienia pana Konrada. Teraz dopiéro, przypominając sobie o swych obowiązkach, podszedł ku starcom i zwróciwszy się głównie do pana Piotrowskiego, przedstawił się, dziękując zarazem w prostych, krótkich wyrazach za posługę oddaną stryjowi.

— Nie było mnie w Warszawie... Dziękuję! — mówił.

Każdy z emerytów uścisnął mu dłoń z kolei, poczém w zbitéj gromadce, trzymając się razem, ruszyli zwolna ku wyjściu. Przed ruszeniem radca Piotrowski ukłonił się pani Kamilli.

Było to jakby nowém przypomnieniem dla pana Konrada. Nie zwlekając ani chwili dłużéj, zostawił szepcących coś do niego kolegów, a sam poskoczył z czapką z ręku ku obu paniom, które już także parę kroków odstąpiły od grobu.

Pani Kamilla, widząc, że się zbliża, powitała go już zdala uprzejmym uśmiechem, jakby przezeń chciała mu dać do poznania, iż wszelka prezentacya jest tu zbyteczną, i zachęcić go niejako do tego zbliżenia.

Stanąwszy o krok przed trzymającemi się pod ręce matką i córką, młody człowiek raz jeszcze się ukłonił.

— Wybaczy pani — mówił nie bez pewnego zakłopotania, ale mimo to dość śmiało spoglądając w oczy pani Kamilli — wybaczy pani, że zbliżam się nieznany...

— Pan Dąbrowski, nieprawdaż? — przerwała pani Kamilla.

— Tak, pani... Wiem, a raczéj domyślam się, jakim wobec pani jestem dłużnikiem — mówił daléj. — Pani raczyła zająć się pogrzebem stryja... Brak mi słów, aby pani za to podziękować... Tak to

prędko się stało... Dziś rano nie wiedziałem jeszcze o niczém. Myślałem, że stryj stu lat dożyje...

Tyle znów było szczerego smutku i żalu w tych ostatnich wyrazach, że pani Kamilla nanowo uczuła łzy w oczach.

— Nie było pana w Warszawie? — spytała, postępując umyślnie naprzód, wraz z przytuloną do jéj ramienia Maniutką, aby ukryć swe zakłopotanie.

— Blizko od trzech miesięcy — brzmiała odpowiedź, przyczém młody człowiek obejrzał się nieznacznie na swych kolegów, a widząc, że ci ruszyli już także od mogiły, wraz z Zdzisiem, począł towarzyszyć obu paniom ku bramie cmentarnéj.

— A wraca pan?... — spytała znów pani Trzcińska dla podtrzymania rozmowy.

— Obecnie, z niedaleka, zpod Pułtuska. Przedtém siedziałem długo na Podolu. Robiliśmy téż wycieczkę do Odessy i na Krym. Przed tygodniem, ponieważ to już czas było wracać, a chcieliśmy jeszcze jednego z kolegów odwiedzić, pojechaliśmy wprost, nie zawadzając o Warszawę, do majątku jego rodziców, właśnie pod Pułtusk. Tam to znalazła mię dziś rano depesza, wracająca z Podola, gdzie najpierw ją wysłano...

Zbliżono się tymczasem do bramy cmentarnéj, przed którą oczekiwała najęta kareta pani Kamilli, oraz powóz z wiejskim stangretem, którym przybyli trzéj młodzi do Warszawy.

Słońce zniżało się już ku zachodowi, w powietrzu była cisza, a na ruchliwéj niekiedy ulicy pustka prawie zupełna.

Dwie dorożki z emerytami znikały właśnie na zakręcie ulicy, poza rogatką, a stara Jakóbowa, ruszywszy już także ku miastu, zatrzymała się przy pierwszéj bramie, około jakiéjś pary żebraków, rozdzielając między nich jałmużnę za duszę ś. p. Jakóba, mularza. Ten dodatek wydawał jéj się koniecznym, aby pacierz dziadowski, podobno najskuteczniejszy, tém łatwiéj trafił do stóp Najwyższego.

Pani Kamilla, stanąwszy przed karetą, na chodniku, obejrzała się za Zdzisiem, który, postępując o kilkanaście kroków w tyle, rozmawiał najspokojniéj z obu kolegami pana Konrada.

Młody człowiek, widząc w tym jéj ruchu zbliżającą się chwilę pożegnania, szepnął jeszcze:

— Panie pozwolą, że przyjdę jutro z podziękowaniem za to... to... dobrodziejstwo wasze?

Ów zwrot do obu pań naraz, usprawiedliwiony tém, że Maniutka, stając obok matki, naprzeciw młodego człowieka, prawie dopiéro teraz ukazała się zupełnie jego oczom, skłonił panią Trzcińską do odezwania się w formie prezentacyi:

— Moja córka...

Pan Konrad ukłonił się z szacunkiem.

— Wiem — rzekł — miałem już szczęście widzieć raz panią...

Nie dostrzegł płomieni, które oblały twarz dziewczyny przy tych słowach, bo nie patrzył na nią w téj chwili.

Zaraz zresztą dodał smutniéj, mając na myśli nieboszczyka:

— On żył jeszcze wtedy!...

W téj chwili zbliżyli się towarzysze pana Konrada, wraz ze Zdzisiem, który podbiegając naprzód, zawołał z entuzyazmem:

— Mamusiu, mamusiu! Jakie ja porobiłem znajomości!

Niewczesny okrzyk chłopca wywołał mimowolny uśmiech na usta pani Kamilli, a zarazem zmusił pana Konrada do zaprezentowania swoich kolegów.

Pani Trzcińska uznała niejako tę konieczność, bo sama zaproponowała:

— Niechże pan przedstawi nam kolegów.

— Pan Marczewski... Pan Schwartz! — odezwał się pan Konrad.

Na te słowa ukłonił się najpierw ów paniczyk, późniéj ów chorowity młodzieniec, wyglądający na południowca.

Pani Kamilla i Maniutka skłoniły uprzejmie głowami.

Zdziś począł coś szczebiotać, czepiając się ręki siostry, nikt jednak w téj chwili na niego nie zważał.

Należało zakończyć zbyt długo przeciągające się pożegnanie.

— Oczekujemy więc pana jutro, w każdéj porze —przemówiła pani Trzcińska, zwracając się do pana Konrada. — A może i panowie — dodała do obu jego kolegów — zechcą sobie o nas kiedy przypomnieć?

Obaj młodzi studenci ukłonili się znów szarmancko, z jakąś jednak wojskową niemal akuratnością, która w każdém inném miejscu i w innych warunkach zabawne mogła była sprawić wrażenie.

Pan Konrad dopomógł wsiąść do karety pani Kamilli, podając jéj rękę. Maniutka wskoczyła sama lekko.

— Zdzisiu! — zawołała pani Kamilla już z powozu.

— Zaraz, mamusiu! — odparł chłopiec i począł się żegnać z nowymi znajomymi.

W zapale podał rękę i panu Konradowi, nie zdając już sobie sprawy z tego, że wcale go dotąd nie znał.

Jeszcze obustronne ukłony i kareta ruszyła.

Młodzi ludzie zostali sami przed pustą o téj porze bramą cmentarną.

Ciszy nic nie mąciło. Z głębi cienistego cmentarza szła wilgoć, kłócąc się z żarem rozpalonéj słońcem ulicy.

Młodzieniec, nazwany Schwartzem, zbliżył się do oczekującego z powozem stangreta.

— Cóż Kuba? — zapytał. — Konie wytchnęły?

— Dobre koniska, proszę panicza! — brzmiała odpowiedź uśmiechniętego sługi. — Sam jaśnie pan je wybierał, to i dał najlepsze. Nic im nie będzie... Można ano choćby zaraz wracać do domu...

— Ale! — podchwycił młodzieniec. — A obiad? Przecież chyba i tyś głodny?

— Jak tam wola, paniczu!

— No, niema o czém gadać! Zostaniemy do jutra. Zawieziesz nas, gdzie każemy, a potém pojedziesz do hotelu Saskiego i weźmiesz dla koni remizę, a dla siebie numer. Powiesz tylko czyj jesteś i zkąd, to tam ci już chyba niczego nie zbraknie. Rozumiesz, Kubuś?

— Słucham! Powiem: z Mańkocic!

— Otóż!

Po téj odpowiedzi pan Schwartz zwrócił się do swych towarzyszów, którzy stali obok siebie na chodniku, szepcąc zcicha.

— Konrad! Kaziek! Toż i my bez obiadu! — zawołał.

— Prawda! — podchwycił Marczewski. — Niema co, jedźmy chyba do Stępka! Zgoda, Konrad?

— Gdzie chcecie, moi drodzy, gdzie chcecie! — odparł zagadnięty. — Pozwólcie tylko, że to już do mnie będzie należało... Ja was ugoszczę... Nie uwierzycie, jakim wam wdzięczny... Dziś dopiero obu was poznałem!

— Głupstwo! — zawołał Marczewski.

— Nic z tego! — dodał równocześnie Schwartz. — Jesteś jeszcze ciągle w naszym domu, bo w naszym powozie... to jest w moim, mojego ojca i mojego kochanego gościa, Kazika!... To już do nas należy... No, siadaj, nie marudź!

Pan Konrad, nic nie odparłszy, uścisnął ręce obu towarzyszom.

— Gdzie mam jechać? — zapytał Kuba, gdy młodzi zajęli miejsce w wygodnym, odkrytym powozie.

— Do Stępkowskiego! — wrzasnął Marczewski.

Kuba poskrobał się po głowie.

— Ale ja tu bez te różne ulice nie dam rady... W tę stronę, tom ano wlókł się za trumną...

— Dobrze, dobrze! Wal prosto przed siebie, a na skrętach pytaj. Wskażemy drogę.

Kuba ruszył z kopyta, jakby chciał dowieść swego zapewnienia o wytrzymałości koni.

Czas jakiś zeszedł w milczeniu.

— Ale ta mała śliczna dziewczyna! — odezwał się naraz Marczewski.

— Przystojna! — potwierdził pan Konrad po chwili namysłu, wiedząc o kim mowa.

— A ten pogrzeb twego stryja! — podchwycił Schwartz. — Ci staruszkowie... Wszystko to snać ludzie ze stanowiskami... bardzo ciekawi!...

— Istotnie! Tak warto żyć na świecie! — rzekł Marczewski. — Małe, ale dobrane kółko przyjaciół.

— Jak my! — podszepnął znów Schwartz, wyciągając obie ręce do spoczywających na przedniem siedzeniu kolegów.

Przez chwilę znów nikt nic nie mówił.

— Tak mi żal tego mojego starego — odezwał się wreszcie pan Konrad. — Tak mi żal!... Tam, na wsi, wśród was, moi kochani, na wieść o téj śmierci, wcalem jakoś nie zdawał sobie sprawy ze swojéj straty... Teraz to dopiéro rozumiem... Żadne już związki krwi nie wiążą mnie ze światem... Szedłem, co prawda, zawsze sam przez życie, alem teraz dopiéro sam został!

Milczenie, jakie po tych słowach zaległo, głuszył turkot szybko toczącego się po bruku powozu. Konie parskały co chwilę, jakby nie przywykły do powietrza miejskiego, ale gnały ochoczo.

Na skręcie ku Bielańskiéj dopędzono karetę pani Kamilli.

— Patrzcie! — zawołał pierwszy Marczewski, trącając w kolano siedzącego naprzeciw Schwartza.

I znów trzy czapki studenckie pochyliły się w ukłonie.

W karecie, obok pani Kamilli, Maniutki i Zdzisia, siedziała już także stara Jakóbowa, którą po drodze, mimo jéj energicznych protestacyj, zabrano, aby nie szła pieszo. Wskutek tych certacyj, które dość czasu zabrały, a także dzięki rączości wiejskich koni, młodzi tém łatwiéj mogli dopędzić karetę.

— O! ładna ta mała! — zawołał znów Marczewski, choć już teraz żaden z jego towarzyszów nie zwrócił wcale uwagi na ten wykrzyknik.

Za co jednak tak uparcie nazywał ją „małą?"

Smukła, szczupła, mogła się zaliczać do wysokich, a w téj chwili czuła, że jeszcze rośnie. Napełniało ją bowiem nieznane dotąd szczęście.

IV.

Obiad, który trójka młodych przyjaciół kazała podać w oddzielnym gabinecie, przeciągnął się poza północ. Nie pito zbyt wiele i nie wyrabiano zbytków, ale też i nie żałowano sobie niczego. Marczewski przytém uparł się, że musi postawić „trochę" szampańskiego i wypić niém zdrowie obu przyjaciół, Schwartz zaś pod koniec zażądał likieru, mówiąc, że jeśli ma być „uczta", to bez likieru obejść się nie może.

Daremnie pan Konrad sprzeciwiał się i wystąpił nawet z małém kazaniem o oszczędności; próżno też powoływał się na swe starszeństwo i rolę mentora, jaką wobec obu młodych przyjaciół istotnie przez lato odgrywał. Nic nie pomogło. Uściskali go obaj i ucałowali, ale żaden nie posłuchał.

Młodym żołądkom nie brakowało istotnie apetytu, który zresztą wzmogła niespodziana, a męcząca podróż, oraz przebyte wrażenia. Rozmowa, a wła-

ściwie owa szczera, młoda gadanina, tętniąca życiem, pełna wspomnień, zamysłów i zwierzeń poufnych, podsycała ten wieczór, nie dając im się opamiętać i nie przypominając wcale o biegnącym czasie.

Rozmawiano o wszystkiém, wracając jednak jak najmniéj do wydarzeń dnia i do tego, co ich do Warszawy sprowadziło. Była nawet chwila, iż Schwartz, który grał wybornie, odziedziczywszy snać dar ten po zmarłéj młodo matce, kobiecie bardzo muzykalnéj, siadł do stojącego pod ścianą pianina i uderzył w klawisze.

— Antoś! — zawołał na to Marczewski.

Ale i bez tego upomnienia akord ścichł nagle pod palcami młodego chłopca.

— A! — wrzasnął winowajca, zasłaniając oczy dłońmi.

Poczém zerwał się z krzesła i podbiegając do pana Konrada, począł go znów ściskać i całować.

— Daruj! — wołał. — Waryat ze mnie! Zapomniałem! Bij, zabij, ale przebacz!

Napróżno pan Konrad tłómaczył, iż nie może mieć do niego urazy, iż sam drwił z form zawsze, a żałobę pojmuje o tyle, o ile ona tkwi w sercu, nie zaś objawia się nazewnątrz, dla oka ludzkiego. On ją w sercu ma i czuje ją głęboko, głębiéj niż mógł nawet przypuszczać, a o resztę nie dba zgoła.

Ale młody entuzyasta tak odczuł swoje przeoczenie, iż nie mógł się uspokoić.

— Przebacz, przebacz! — prosił ciągle.

Na szczęście, zagadał to jakoś Marczewski, wyciągając obu kolegów na wspomnienia minionego lata.

— Nie żałujecie chyba, żem was więził przez lato w naszéj Teterówce? — mówił. — Zresztą — dodał zaraz, zwracając się do Schwartza — ojciec twój przyznał sam, że ci to posłużyło. Poczciwy, nie wiedział nawet, jak mi dziękować. Mówił, że nigdybyś w swoich Mańkocicach tak nie był się odrestaurował.

— Prawda, szczera prawda!—zawołał Schwartz z entuzyazmem.

— Istotnie, mój Kaźku — przyznał pan Konrad — w téj twojéj Teterówce było nam, jak w raju.

Równocześnie jednak zauważył, że ze względu na Antka, to prawdziwie szczęśliwym był dopiero pomysł owéj przejażdżki po morzu z Odessy i tego drapania się po skałach w Krymie.

Ale z zapalnym Antkiem nie było dziś rady.

Żachnął się i zaperzył odrazu.

— Krym?... Głupstwo!... Wyście mnie uzdrowili, wy, obaj! — zawołał. — Kaźka bo lubiłem oddawna, choć byliśmy jeszcze do Czerwca zdaleka. Ale ciebie, Konradzie, tom przecie prawie nie znał i nie domyślałem się nawet w tobie takiéj duszy! Znali cię inni i mówili wiele o tobie, alem ja myślał: ot, przesada! widzą więcéj, niż jest! blagują!

— No, no! — upomniał Marczewski, nalewając nanowo kieliszki. — Obawiam się, że w zapale wpadniesz w drugą ostateczność i poczniesz teraz gadać Konradowi impertynencye...

— Ach, mówcie co chcecie — przerwał Antoś — a ja was obu kocham! Czybym pomyślał był przed miesiącem — dodał, przymilając się Konradowi, z właściwą chorym lub kobietom tkliwością — czybym pomyślał być z tobą na *ty?*... I... módz cię kochać... i być przez ciebie kochanym?... Bo przecie ty mnie choć trochę kochasz?

Pan Konrad uśmiechnął się mimowoli.

— Waryacie! — rzekł, przygarniając ku sobie rozpaloną głowę przyjaciela. — Przecież ci to już powiedziałem tyle razy, a pierwszy raz tam, na widok Czatyrdahu!

Wspomnienia pobiegły znów wytkniętym torem. Wyrywano sobie z ust wzajemnie różne szczegóły, a słowo: „pamiętacie?" powtarzało się tu ustawicznie.

Rozochoconym Marczewski nalał jeszcze po kieliszku likieru, który wypito już tym razem duszkiem.

Pan Konrad opamiętał się pierwszy.

— No, wiecie co? Dość tego! — rzekł, wstając. — Pójdźmy! Ja jutro będę musiał wstać rano... Czeka mnie mnóstwo interesów... A i wam trzeba się wyspać.

Ruszono więc niebawem, ale w przejściu przez

jednę z sal, zaczepił pana Konrada jakiś jegomość, siedzący w gronie dwóch innych, przy kolacyi.

— Panie kochany! — zawołał, podbiegając żywo. — Co się z panem dzieje?

Zamieniono zcicha parę wyrazów, w których pan Konrad wspomniał o swym wyjeździe, oraz o Krymie i Odessie.

— Aj! — zawołał na to ów jegomość — a czemuż to nie było dla nas czegoś o tém napisać? Zapomniał pan o mnie! To źle!

Na dalszą rozmowę nie było czasu, Marczewski bowiem i Schwartz oczekiwali opodal.

— Wpadnę do redakcyi jutro! — rzekł pan Konrad i pożegnał się śpiesznie.

— Któż to? — zapytał Antoś po wyjściu na ulicę.

Pan Konrad wymienił nazwisko, dodając: „redaktor.”

— A cóż ty masz z nim?

— Eh! pisywałem mu tam czas jakiś różne drobiazgi. Ot, aby żyć.

Schwartz rozłożył ręce z podziwem.

— Bój się Boga, Konradzie, czego ty nie potrafisz!

Zagadnięty uśmiechnął się smutno za całą odpowiedź.

Noc była pogodna, bezksiężycowa. Niebiosa iskrzyły się od gwiazd, mrugających figlarnie z ciemnego błękitu. Chłód nocny, po skwarnym dniu słonecznym, dawał się już jednak uczuwać.

Marczewski, uprzedzając téż gest pana Konrada, podsunął się do kroczącego naprzód Schwartza i zawiesił swój płaszcz na jego ramionach.

— Dajcież pokój! — bronił się Antek. — Toż wy mię ciągle jeszcze traktujecie, jak dziecko!

Zaśmiano się, poczém Marczewski dodał:

— Przeciwnie, oddajemy ci tylko cześć, należną wysokim dygnitarzom wschodnim.

— Jakto? — zapytał chłopak, nie domyślając się konceptu.

— No, jesteś przecie chorym, a każdy chory to *Saf-an-duła!* — dodał Kaziek, wymawiając ostatni wyraz niby istotną tureczczyznę.

Nowy wybuch śmiechu rozległ się po pustéj ulicy.

Przed dojściem do hotelu, w którym stanął Kuba wraz końmi, ułożono jeszcze program na dzień następny.

Staną razem, Marczewski bowiem nie może po nocy dobijać się do krewnych, Konrad zaś tak jakby nie miał mieszkania, do czego przyznał się otwarcie obu kolegom jeszcze przed przyjazdem do miasta. Przez ostatnie półrocze mieszkał na Oboźnéj, wspólnie z kolegą Zawadzkim, ale licho wié, czy Zawadzki pozostał w dawném mieszkaniu, czy téż wyniósł się gdzieindziéj. Wyjeżdżając, pozostawił mu trochę książek i drobiazgów do przechowania. Trzeba go będzie jutro odszukać.

Tymczasem prześpi się z nimi, w hotelu. Najgorzéj, że nie dotrzymają słowa ojcu Antka i nie będą mogli wrócić na obiad do Mańkocic, jak to przyrzekli. Przynajmniéj on, Konrad, wrócić nie zdoła. Czeka go bowiem około południa wizyta u pani Trzcińskiéj, tego zaś zaniedbać nie może. Zdaje się, że téż już całkiem da za wygraną Mańkocicom w tym roku.

— Cóż znowu! — zaprotestował Antoś, wysłuchawszy tego zwierzenia. — Zaczekamy na ciebie do jutra, a choćby już do niedzieli, ale wrócić musisz! Przecie jeszcze dziesięć dni mamy do rozpoczęcia kursu! Bój się Boga! Ojciec-by mi nigdy tego nie darował, żebym cię już więcéj do Mańkocic nie dostawił! Nigdy, przenigdy!

Stanęli tymczasem przed bramą hotelu.

— Zobaczymy, zobaczymy! — odparł pan Konrad. — Dajcie mi tylko czas na rozejrzenie się po mieście i załatwienie interesów, nic więcéj...

Wzięto dwa sąsiadujące z sobą pokoiki; w większym, o dwóch łóżkach, pomieścili się Schwartz i pan Konrad; mniejszy zajął Marczewski. Przed spoczynkiem gawędzono jeszcze dość długo, wśród śmiechu i nowych konceptów, a gdy nazajutrz, około godziny 10-éj, Schwartz i Marczewski prawie równocześnie otworzyli oczy, spostrzegli ze zdziwieniem, iż towarzysz już się ulotnił.

— Rany Boskie! — zawołał Schwartz, budząc

do reszty przeciągającego się, z zaspanemi oczyma, Marczewskiego. — Patrz-no Kaziek! Konrada już niéma!

Marczewski wychylił głowę poza drzwi sąsiedniego pokoju, i widząc zasłane już łóżko, zawołał:

— A nie mówiłem ci wczoraj, żeś dygnitarz turecki? Niech-by on spał ze mną, zjadłby dyabła, gdyby mi się wymknął bez mojéj wiedzy!

Przywołano natychmiast numerowego, który, na zapytanie o „tego trzeciego pana”, zawołał:

— Ho, ho! Ten pan o siódméj wstał, ubrał się zaraz, nie kazał panów budzić i wyszedł na miasto... Tedy ja, cicho się sprawiając, zasłałem łóżko... i... i... Ale — przerwał sam sobie — ten pan tu coś napisał, proszę panów!

— Gdzie? — wrzasnął Schwartz, rozglądając się napróżno po stoliku w swoim pokoju.

— Musi być... widziałem... pisał! — upierał się służący.

Okazało się, iż kartka, zapisana wielkiém, energiczném pismem, leżała na stoliku, w pokoju Marczewskiego.

— Widzisz! — zawołał Antek z tryumfem. — Tyś téż dygnitarz, bo przecie Konrad był w twoim pokoju i tu widocznie pisał! Ot, pióro, kałamarz, krzesło!

Marczewski tymczasem czytał, jakby umyślnie dla zagłuszenia tych słów kolegi:

„Moi najlepsi!

„Wychodzę i nie wrócę aż w południe. Radźcie sobie przez ten czas sami. (*Rp.* Antek niech zjé koniecznie mięsne śniadanie, o 11-éj, jak zwykle!!! *D. u. s.*) A jeźli wola wasza, czekajcie tu na mnie o 2-éj. Rozmówimy się, co daléj robić i albo wyprawię was do Mańkocic z powrotem, albo téż z wami odjadę.

„Kazika *tylko* ściskam, Antka *całuję* serdecznie, aby się nie rozpłakał.

Wasz zawsze

Konrad."

Podczas gdy Schwartz z Marczewskim rozmyślali nad pozostawioną kartką, nie szczędząc sobie wzajemnych wymówek i docinków, pan Konrad tymczasem po raz trzeci już przebiegał miasto z końca w koniec, poszukując kolegi Zawadzkiego.

Z tym Zawadzkim łączyła go długoletnia przyjaźń, zawiązana jeszcze w dzieciństwie, na podwórku jednego z warszawskich domów, a zacieśniona późniéj wspólną dolą sierocą i jednakowemi niemal losami pnących się z trudem, o własnych siłach, biedaków. Tylko że u Konrada sił tych było sporo, a choć po śmierci rodziców bieda nieraz mu doskwierała, zawsze jednak umiał sobie poradzić. To sam

los, to wreszcie własna jego energia i przedsiębierczość przychodziły mu z pomocą.

Inaczéj było z owym Zawadzkim, którego teraz pan Konrad szukał tak wytrwale. Ten uginał się nieraz i łamał nawet pod trudami, jakie los włożył mu na barki. Zdolny, utalentowany, a hardy i pełen jakiéjś wrodzonéj goryczy, którą obryzgiwał wszystko i wszystkich, nie był nigdy z niczego zadowolony. Należał on, podobnie jak i Konrad, do owych „zapóźnionych" studentów, podobnie jak on, przerzucał się z wydziału na wydział, wyboru jednak jakiegoś dotąd uczynić nie potrafił.

Dręczyło go to samego, a i Konrad nie szczędził mu swoich wymówek za ten brak wytrwałości. Rozchodzili się nawet wskutek tego podwakroć, ale znów niebawem łączyli. Zawadzki bowiem wracał po pewnym czasie z pokorą, postanawiał tak lub owak skończyć, byle się czegoś dobić, a Konrad, uradowany, wierzył weń nanowo. Ale mijał miesiąc po miesiącu, Zawadzki w swoich postanowieniach słabł i wszystko zostawało po dawnemu.

Dziwny to był istotnie człowiek. Ciągnęły go i matematyka, i medycyna, i nauki przyrodnicze, a Konrad, mieszkając z nim wspólnie w ostatnim roku, odkrył najniespodziewaniéj, że ten długoletni towarzysz pisze pokryjomu wcale niezłe wiersze. Konrad zaniósł parę z nich znajomemu swemu redaktorowi, zaraz je téż wydrukowano. Gdy jednak

domagał się tych wierszy więcéj, Zawadzki odparł z niechęcią:

— Daj mi pokój! Czytam teraz „Historyę filozofii" Langego i nic nie mogę robić...

— Daj coś z dawniejszych, z szuflady... Masz przecie... Widziałem! Przyrzekłem zresztą, że przyniosę więcéj!

— Głupstwo — brzmiała odpowiedź. — Żebyś ty wiedział, jaki ten Lange mądry, a jaki ciężki zarazem! Ziewam, a muszę czytać!

Przyjaźń dla Konrada, pomimo że go nie słuchał, objawiała się u Zawadzkiego psiem jakiémś przywiązaniem, którego niepodobna było lekceważyć. Poza tą przyjaźnią miał Zawadzki jedyną tylko namiętność: miłość ku siostrze, sierocie, ośmnastoletniéj obecnie panience, którą sam prawie wychował, bo matka, umierając, zostawiła mu ją dziesięcioletnią dziewczynką. Ale było to wychowanie, jakie mógł jéj dać starszy o lat siedm brat, zajęty lekcyami, za któremi, jako gimnazista, biegał wówczas po całych wieczorach. Szczęście téż, że przygarnęła ją jakaś pani z tego domu, w którym wtedy mieszkali, i w krótkim czasie wykształciła na doskonałą szwaczkę i krawcową.

Dziewczę, jak zmiłowania, czekało téj chwili, w któréj brat studya ukończy i, według obietnic, postawi wspaniały pomnik na grobie matki, a jéj zapewni raj, raj prawdziwy.

Ale co warte obietnice jego, kochanego Wiktorka!

To też dziewczę, przed dwoma laty, nic narazie bratu o tém nie mówiąc, przyjęło stałe miejsce w jednym z magazynów mód, miejsce, jakie rzadko istotnie się trafia, z mieszkaniem, jaką taką pensyą i życiem.

Zawadzki, dowiedziawszy się o tém, szalał z rozpaczy, przekonało go to bowiem, że siostra ostatecznie o nim zwątpiła.

Pił przez dni parę, jakby chciał zapić się na śmierć, wreszcie, wzywając Konrada do pomocy, postanowił siostrę napowrót do siebie zabrać.

— Chodź! Ona cię zna, lubi! Ciebie usłucha!

Poszli, ale Konrad, zamiast interwencyi, pochwalił Józi to, co uczyniła, obiecując jednocześnie zabrać się teraz do opieki nad Wiktorem.

— Panno Józefo! — mówił. — Daję pani słowo, że Wiktorowi nie dam zginąć.

Rok znowu minął, ale nawet Konradowi trudno było dotrzymać obietnicy. Ot, tyle dokonał, że Wiktor istotnie nie zginął. Żył, odwiedzając siostrę od czasu do czasu wraz z Konradem, który przy każdorazowych odwiedzinach umiał ich oboje rozweselić i natchnąć nadzieją. W ostatnim roku Wiktor postarał się nawet o patent nauczyciela matematyki, objął tę posadę na paru pensyach prywatnych, pisywał wiersze, drukował je i nie zginął.

Konrad spełnił więc przyrzeczenie swe dosłownie. Niczego więcéj nie obiecał.

Wyjeżdżając zaś przed trzema miesiącami, widział się z Józią i prosił jéj, aby, o ile możności, nad Wiktorem czuwała i gdyby przyszedł do niéj, nie odtrącała go od siebie i nie dziwiła się niczemu.

— Ja? odtrącić jego? Panie Konradzie!

Nie wiedział tego, że Wiktor zachodził tu już czasami bez niego, mówiąc do siostry: „Pożycz-no rubla... oddam ci na pierwszego!..." I ona zawsze tego rubla dlań miała i zawsze mu go dawała.

Tego pan Konrad nie wiedział.

Ale, rozpamiętywując te dzieje, przypomniał sobie jeszcze słowa, jakiemi wówczas załagodził ten swój niezręczny zwrot i jakiemi uspokoił ją zupełnie.

— Źle się wyraziłem, panno Józefo! — mówił. — Idzie mi o to, aby pani objęła na ten czas nad Wiktorem moją rolę. Łagodnie, cicho, z uczuciem trzeba z nim postępować. Złości się i gniewa, że ja go opuszczam na lato... Ale, widzi pani, ja niemałą korzyść z téj wycieczki odniosę. Bo to... bo to... przywiozę i pieniędzy coś niecoś, i stosunki pozawiązuję... A tego mi wkrótce już będzie potrzeba... Potém zaś.. potém... niczego nam już razem nie braknie...

— Razem? — powtórzyło dziewczę. — Czy my kiedy będziemy razem?

— Aj! — zawołał pan Konrad — w pani tkwi wrodzony pesymizm! Jak u Wiktora! Wyssaliście go chyba z mlekiem swéj matki!

— Ja? Ja robię, co mogę, panie Konradzie.

— Prawda, prawda!—odparł, ściskając jéj rękę. Zauważył przytém, że zakaszlała okrutnie. Przypisał to przeciągowi w magazynie, w którego głównéj sali, pustéj właśnie przed wieczorem, rozmawiali oboje. Niebawem jednak kaszel znów się powtórzył.

— No, panno Józefo! Cóż znowu! — zawołał. — Pani się widocznie przeziębiła!

— Ach! to jeszcze w Maju! Przeziębiłam się na nabożeństwie majowém, w kościele... i odtąd ciągle kaszlę... Wiktor wié o tém... Ale to nic... Niech tylko pan wróci...

— Wrócę! wrócę najpóźniéj w pierwszych dniach Października. I znowu wówczas rączki pani uścisnę, jak dziś, jak teraz!

— Października?—rzekło dziewczę, blednąc. — To tak daleko... A Wiktor?

— Wiktor wytrzyma! Nic mu nie będzie. Do widzenia, kochana panno Józefo!

I znów schwycił rękę dziewczyny, a uścisk téj ręki czuł dotąd jeszcze, po trzech miesiącach. Nie zdołały mu go zetrzéć z dłoni tysiączne uściski nowych przyjaciół, Marczewskiego i Schwartza; nie zdołały zetrzéć delikatne dotknięcia rąk obu panien

Marczewskich, starszéj i młodszéj, z któremi błądził całemi wieczorami po parku w Teterówce; nic nie zdołało zniweczyć uścisku téj małéj, delikatnéj, a tak już spracowanéj dłoni.

— Będę pana czekała, jak zbawienia... dla Wiktora! — te znaczące słowa Józi dźwięczały mu dotąd w uszach.

Przez nie to nie mógł dospać dziś zrana, czuł bowiem, że chociaż przypadkiem, jest przecie już blizko niéj i zobaczyć ją może i musi.

Pędził więc pustemi o tak rannéj porze ulicami naprzód ku Oboźnéj, ale tam powiedziano mu odrazu, że pan Zawadzki, w kilkanaście dni po jego wyjeździe, wyprowadził się zupełnie. Ot, mieszkał póty, póki mieszkanie było zapłacone, do Lipca. Gdy gospodarz przysłał po komorne, a potém sam przyszedł raz i drugi, posprzeczali się obaj tak jakoś bardzo, że pan Zawadzki zaraz zawołał: „No, to się dziś wyniosę i basta!"

Tak opowiadał stróż miejscowy, dodając, że tegoż jeszcze dnia, wieczorem, o zmroku, „przeprowadził" pana Zawadzkiego, za trzy złote, ale daleko, aż na Twardą.

— A! łotr! — szepnął pan Konrad do siebie, wysłuchawszy téj relacyi. — Wprowadził się do niéj, do siostry!

Zły, gniewny, odwrócił się, pozostawiając zdu-

mionego stróża i ruszył natychmiast ku wskazanéj ulicy.

— A! to trzeba nie mieć za grosz ambicyi! — myślał, czując na policzkach gorączkowe wypieki.

Ale w miarę, jak drogi ubywało, począł mimowoli usprawiedliwiać ten postępek kolegi. Lato, lekcye po pensyach skończyły się, jedyny zasiłek Wiktora przepadł, nic nowego musiało mu się nie trafić, ot, i opuścił znów ręce, spadając na kark biednéj dziewczynie.

Przed bramą stanął już przejednany.

Gdy jednak i tam powiedziano mu, że Zawadzki przemieszkał wraz z siostrą około miesiąca, poczém znów przeniósł się gdzieś aż na Piwną, pan Konrad począł tracić cierpliwość.

— Niech go tam! — szepnął.

Było właśnie trzy na dziewiątą. Tamci śpią jeszcze pewnie. Wróci oto do hotelu, zniszczy napisaną kartkę, pobudzi ich, a Zawadzki — niech go tam! Nie może przecie całego dnia stracić na próżnych poszukiwaniach.

Ale ta biedna Józia?

Nie, nie! I jéj nie może się teraz pokazać, zwłaszcza teraz, gdy nie wie wcale, co Wiktor tu przez ten czas nabroił.

Przesunął się też śpiesznie popod drzwiami otwartego już magazynu, nie spojrzawszy nawet do wnętrza.

Na placu Grzybowskim począł iść zwolna.

Nowa fala myśli cisnęła mu się do głowy. Począł uznawać, że jednak była to jedyna sposobność odszukania tego nieszczęsnego Wiktora, a potem i zobaczenia się z Józią. Kto wie, co mu dalszy ciąg dnia przyniesie? Może nie zostanie w Warszawie i wróci jeszcze na wieś?

— Dorożka! — zawołał, decydując się nagle.

Dorożka podjechała.

— Na Piwną! — krzyknął pan Konrad.

A numer, proszę pana?

Pan Konrad począł trzéć czoło dłonią, jakby sobie chciał coś przypomniéć. Powiedziano mu jednak tylko: „Piwna, naprzeciw kościoła.”

Powtórzył to dorożkarzowi i po chwili pędził we wskazane miejsce.

Szczęście sprzyjało mu tym tazem. Trafił.

Na pierwszm piętrze, w maleńkim, źle utrzymanym pokoiku, z oknem od podwórza, w domu starym i wilgotnym jak grobowiec, rezydował teraz poszukiwany Zawadzki. Właśnie był w domu. Stróż, wprawdzie mówił, że wrócił dopiero nad ranem, o szóstéj, czy siódméj, ale tém pewniéj można go było zastać.

Kiedy téż pan Konrad wydostał się po ciemnych i wązkich schodach, właściwych téj staréj dzielnicy, i uchylił drzwi do wskazanego pokoiku, oczom jego przedstawił się szczególny widok.

Na łóżku żelaznem, które pan Konrad znał dobrze, jako swoję własność, spał młody, zbiedzony człowiek, prawie w ubraniu, porozpinany tylko cokolwiek z ciasnego i wyszarzanego tużurka. Obok, na krześle pod oknem, spoczywał w śnie głębokim jakiś student, młodzieniaszek zaledwie, chrapiąc wskutek niewłaściwego ułożenia głowy na twardéj poręczy wygniecionego fotelu.

W mieszkaniu było duszno, a panował tu nieład, uwidoczniony szczególniéj w porzuconéj na podłodze, na środku pokoiku, czapce studenckiéj, porozlewanéj na stoliczku wodzie, strąconym z etażerki plecionéj stosie ksiąg przeróżnych i frygniętym pod same drzwi jednym męzkim pantoflu. Drzwi nie były na klucz zamknięte, nikt téż nie ruszył się z wejściem pana Konrada. Nie obawiano się tu złodzieja, ani nie spodziewano żadnych odwiedzin — to było aż nadto widoczne.

Pan Konrad stał przez chwilę u drzwi, rozglądając się z trudem dokoła. Wreszcie, stąpając z rozwagą w ciasném przejściu między łóżkiem, etażerką, stoliczkiem i ścianą, podszedł ku śpiącemu przyjacielowi i począł szarpać go za ramię.

— Ty, słyszysz? To ja! Wstawaj! — wołał, zniżając głos do szeptu, o ile pozwalało mu na to wzburzenie.

Zawadzki otworzył zwolna jedno oko, jakby pragnął zbadać powód nieoczekiwanego widocznie

niepokoju. Patrzył w ten sposób chwilę, wreszcie poruszył się na posłaniu gwałtownie i wytrzeszczył oczy.

— Oj! sen, czy Konrad? — wybiegło z ust rozespanego chrapliwym głosem.

— Ja to! Ja! — powtórzył pan Konrad, poruszając znów ramieniem przyjaciela, który nanowo zamknął bezwładne, zmęczone oczy.

Tym razem Wiktor zerwał się na nogi i usiadł na łóżku.

— Ty? Jesteś! Nareszcie! — przemówił z trudnością, spuszczając oczy.

Pan Konrad stał przez chwilę nad nim, patrząc w pożółkłe, zmizerowane oblicze przyjaciela.

— Coś ty znowu porobił, Wiktor? — wyszeptał.

Zawadzki, pod wpływem tych paru wyrazów, dźwięczących żalem, przychodził zwolna do siebie i wreszcie, oprzytomniawszy zupełnie, machnął ręką ze złością.

— Eh! — rzekł tylko.

Konrad usiadł przy nim na krawędzi łóżka i upewniwszy się, że młody, nieznany mu kompan przyjaciela śpi ciągle najspokojniéj, wyszeptał cichutko:

— Gdzież ona? Józia?... Cóż z nią? Zdrowa?

Wiktor westchnął ciężko i milczał przez chwilę, jakby obawiał się, że odpowiedź nie przejdzie mu przez gardło.

— W szpitalu — rzekł wreszcie.

Konrad zerwał się gwałtownie i stanął znów naprzeciw przyjaciela. Pytania i odpowiedzi poczęły się teraz krzyżować, jak strzały. Widocznem było, że jeden i drugi pragną się ich pozbyć jaknajprędzéj.

— W którym?

— W naszym... U Dzieciątka...

— Odkąd?

— Miesiąc już będzie...

— Poco? Dlaczego?

— Mus!

Pan Konrad zachwiał się, załamał bezwiednie dłonie i zazgrzytał zębami, powstrzymując tym sposobem jakieś cisnące mu się na usta przekleństwo.

— No, co było robić? — szepnął Zawadzki po chwili, jakby się chciał usprawiedliwić. — Co?... Groszam nie miał!... A... a... a gorzéj jéj było!

— Zapewne! — wykrztusił Konrad z ironią.

Wiktor, niewytrzeźwiony jeszcze zupełnie po bezsennie spędzonéj nocy, nie zrozumiał znaczenia tego wykrzyknika.

— Dziś piątek — począł znów po chwili. — Puszczają... Zresztą nas zawsze puszczą... Możnaby pójść do niéj. Chcesz?

— A dawnoś tam był? — spytał Konrad, przeszywając go wzrokiem.

Zawadzki milczał parę sekund.

— Z tydzień!

— Dobryś brat!

Zawadzkiego chwyciła czkawka, nie zaraz więc mógł odpowiedzieć.

— Dobry! dobry! — przemówił wreszcie.—Cóż to, nie medyk jestem? Nie znam się na tém?... Ho, ho!... Więcéj ja umiem, choć mi brakuje tych egzaminów, które ty już masz i inni... Suchoty!... Wiem!... Co jéj pomogę?... Ja zły brat!... Właśnie żem brat, to mogę tylko wyć, gdy ją widzę... gdy ją zobaczę... Ho, ho!...

I jakby już ją widział, zaszlochał okrutnie, opierając ocieżałą głowę na żelaznéj poręczy łóżka.

Konradowi także łzy zaświeciły w oczach.

— No, cicho! Przestań! ty! — uspokajał, zbliżywszy się do biedaka i dotykając jego ramienia.

— Ach, Konrad! — zawołał znów nieszczęśliwy, innym już zgoła głosem, jakby nagle całkiem oprzytomniał. — Konrad! Czemuś ty wyjeżdżał! Pókiś ty był, ona żyła... trzymała się... siłą woli... przy tobie!... wiész przecie... A i ja się trzymałem — i ja!

Powstał i załamując ręce nad głową, począł się przeciągać, jakby chciał wszystkie kości sobie powyłamywać.

Pan Konrad przyskoczył do niego z wściekłością.

— Pocom wyjeżdżał!?... Ot, patrz! Masz! Po pieniądze, dla siebie, dla ciebie... dla nas! Patrz!—

i z obszernego, nowiuteńkiego pugilaresu począł gwałtownie wyrywać z przegródek i ciskać na łóżko różne banknoty.

Wiktor, pomimo wszystkiego, przyglądał się ciekawie rozrzuconym różnokolorowym papierkom.

— Fiu! — zagwizdał przeciągle. — Ładny kusz!

W ciszy, która po tych słowach nastała, słychać było tylko chrapanie młodzieniaszka i ponowny zgrzyt zębów Konrada.

Wiktor jednak nie słyszał ani jednego, ani drugiego.

— Toś ty tam—zauważył znów—zgarniał chyba po drogach monetę na owym Podolu przez te trzy miesiące!

I znów zagwizdał z podziwem:

— Fiu!

— Poczém, jak gdyby ponownie się opamiętał, dodał z bezgraniczną niemal rozpaczą:

— Ale biedna Józka już w szpitalu! Już!

Pan Konrad powziął jakieś nagłe postanowienie.

— Chodźmy! Ubieraj się! — wrzasnął.

Zawadzki, złamany rozpaczą, wyprostował się nagle i urósł niemal w jednéj chwili, a w oczach i w twarzy zaświeciły mu ognie.

— Chciałbyś? Pójdziesz? Zaraz?

I rzucił się na szyję przyjaciela, a z oczu poczęły mu biedz łzy, zwolna, jedna za drugą.

Konrad, zazwyczaj cierpliwy, uwolnił się tym razem czemprędzéj z uścisku Wiktora.

— No, prędzéj! Idziemy! — rzekł tylko.

Zarówno ten ruch, jak i surowość w głosie przyjaciela, nie uszły uwagi Zawadzkiego. Rozplótł dłonie i w milczeniu począł się gorączkowo wybierać do drogi.

Ale podczas gdy zapinał krawat, a późniéj rozczesywał potarganą czuprynę, upatrując równocześnie szczotki do oczyszczenia ubrania, począł w nim wzbierać wrodzony sarkazm. Był już zupełnie przytomny, a gniew go dławił. Konrad, przywykły do jego wylewów czułości i obchodzący się z nim w takich chwilach jak z dzieckiem, po raz pierwszy odtrącił jego uścisk.

To go właśnie gryzło.

Począł umyślnie zwlekać, wodząc z lekka szczotką po wyszarzanym tużurku. Chciał widocznie gadać.

Odezwał się téż po chwili z przekąsem:

— Że téż cię panny Marczewskie nie zjadły tam? No, no!

Ale Konrad stał u drzwi nieporuszony. Zawadzki zdumiał się, słysząc za całą odpowiedź szelest szczotki po suknie, którą sam po rękawach tużurka przesuwał.

— Bo to ja je znam! — począł znowu niebawem, jakby umyślnie wyzywał przyjaciela. — Znam!...

Trafiała mi się tam lekcya zeszłych wakacyi, przed tobą jeszcze, do młodszego brata Kazika... Tylko, że to ja... wiész przecie... paniczyków nie lubię... A przytém te siostry! Ładne! Dyany!... Zakochałbym się był jeszcze, ja, taki robak! i co?... Więc nie chciałem!... Ale ty, z twoją śliczną gębą?

Pokręcił głową.

— Fiu! — zagwizdał znowu, wyrażając w ten sposób zaczętą myśl, któréj nie miał odwagi dokończyć.

Konrada jednak nic już teraz nie mogło wyprowadzić z cierpliwości. Zdawało się, że zajęty swemi myślami, nie słucha nawet gadaniny przyjaciela.

— Prędzéj, prędzéj! — upomniał tylko.

Zawadzkiego zadziwiło to tak dalece, że aż przyjrzał się baczniéj Konradowi.

— Ale, ba! — rzekł znów, jakby sobie coś nagle przypomniał. — Słuchaj-no! Cóż ty tak prędko? Toż przecie jeszcze czas? Miałeś siedzieć dłużéj?... Może te panny...

Konrad westchnął ciężko.

— Stryj mi umarł — rzekł z cicha. — Wczoraj był pogrzeb. Dlategom wcześniéj wrócił.

Wiktor chciał jeszcze żartować, ale się w porę powstrzymał.

— Patrzajże! — rzekł tylko. — Nic nie wiedziałem!

Nie mógł jednak powstrzymać się od uwagi, że Konrad z nieboszczykiem niezbyt przecie się kochali.

— To już nie twoja rzecz! — przerwał mu Konrad.

— Pewnie! *Requiescat in pace!* — brzmiała odpowiedź.

Toaleta wreszcie została skończona i Wiktor ruszył ku drzwiom, przy których stał uparcie Konrad.

— Pójdźmy! — szepnął.

— A on? ten? — zauważył pan Konrad, wskazując na śpiącego pod oknem młodzieniaszka, który znów chrapać począł.

Wiktor machnął ręką z lekceważeniem.

— Knot! Szczeniak! Niech śpi.

Wyszli, nie zamykając drzwi na klucz.

— To twój uczeń? — spytał na schodach pan Konrad, a w głosie jego brzmiał odcień ironii.

— Tak! Niby!—odparł Wiktor.—Przyplątał się do mnie, bo to on także wiersze pisuje, a do nauki wszelkiéj zapalny... Ciekawy egzemplarz!

Szli przez chwilę w milczeniu.

— Naukę mu dasz — przemówił znów Konrad, mając na myśli pozostawionego w śnie chłopca — ale boję się, że nie wyrobisz w nim charakteru...

Wiktor teraz zrozumiał docinek.

— Eh! Charakter, charakter! — i zaklął.

Poczém, zatrzymując Konrada na rogu ulicy, rozpoczął rozprawę na poruszony temat. Wymienił już nawet kilka nazwisk i cytat, świadczących o niepośledniéj erudycyi, zapalał się przytem, jak zwykle do poważniejszéj dyskusyi.

Ale Konrad uśmiechnął się tylko.

— Daj pokój! — przerwał. — Ona tam czeka!

I przywoławszy dorożki, stojącéj około kolumny Zygmunta, wskazał przyjacielowi miejsce.

— Siadaj!

A zwracając się do woźnicy, dodał:

— Do Dzieciątka!

V.

W szpitalu zabawili całą godzinę. Znano ich tu dobrze i szczególniéj Konrada powitano z prawdziwą radością.

Siostra Elżbieta, dyżurna oddziału suchotniczego, spotkawszy go w korytarzu, poczęła z nim gawędzić, tytułując go doktorem, przeciw czemu on protestował żartobliwie, mówiąc, że na to jeszcze zawcześnie.

— Dopiero za dwa lub trzy miesiące, łaskawa Siostro dobrodziejko! — dodał.—Gdybym wcześniéj umarł, nawet na karcie pogrzebowéj musianoby mi odmówić tego tytułu, co zresztą byłoby mi już wówczas zupełnie wszystko jedno.

— Ach, jak widać z tych słów, że pan do życia przywiązany. Dobrze panu na świecie!

— A pani źleby być miało? — zauważył pan Konrad.

Siostra Elżbieta wzruszyła zlekka ramionami i odparła prawie bez wahania:

— Cóż znowu! Dziewiętnasty rok jestem już w zakonie i zestarzałam się na tym chlebie. Chcę téż sama żyć jeszcze długo. Mimo to, napatrzę się tu codzień tyle nędzy, mam ciągle przed oczyma takie wymowne przykłady znikomości wszelkich rachub ludzkich, że aż dziw mnie bierze czasami, gdy widzę, jak u pana, taką ochotę do życia. Pan powinien zajść wysoko, doktorze, albo ja nie znam się na ludziach.

Naraz, jakby sobie coś przypominając, dodała:

— Ale cóż pana tu dziś sprowadza?

Na te słowa nadszedł właśnie Wiktor, który zatrzymał się na dole, w pogawędce z jednym z młodszych lekarzy, obchodzących o téj porze swoje rewiry.

Pan Konrad wskazał przyjaciela i odparł poważniéj, zmieniając najzupełniéj swobodny ton dotychczasowy:

— Przyszedłem z kolegą Zawadzkim, aby odwiedzić jego siostrę, która tu jest już od miesiąca podobno.

Siostrą Elżbieta rozpromieniła powiędłą twarz i przybrała ją w serdeczny uśmiech.

— Zawadzka? Józia? Cóż to za dobre dziecko!— zawołała z zachwytem, zwracając się do obu naraz młodych ludzi i składając ręce z uwielbieniem. — Toż to anioł Boży! Tylko temu skrzydeł brakuje!

— Co jéj jest? Prędko ją myślicie wypuścić? — spytał pan Konrad, podczas gdy Wiktor milczał uparcie, patrząc chmurno w koniec długiego korytarza, gdzie migotała lampka przed rozpiętą na krzyżu figurą Chrystusa.

— Bóg to wie! — odparła siostra Elżbieta. — Ale bodaj że wy... to jest, oni... lekarze... mylą się tym razem... Ach, daj to Boże! — dodała z westchnieniem.

— Jakto?

Zakonnica rozłożyła ręce.

— Cóż ja mogę wiedzieć? Ale to widzę, że dziewczę sił tylko niema za grosz! Dręczy się czémś, ot i wszystko!... Takie to pokorne, dobre, usłużne a pracowite i cierpliwe, jakby nie z tego świata. Czy pan wié, że ona tu nie chce siedziéć próżno? Ot, musiałyśmy dać jéj do roboty swoje suknie i habity, aby tylko ją zadowolnić. ‹Siedm habitów już nam skrajała. Całą szwalnię tu zorganizowała.

— Wstaje więc, chodzi?

Siostra Elżbieta zawahała się z odpowiedzią. Wiktor, który udawał, że nie słucha tego wszystkiego, nadstawił uszy.

— Téj nocy, widzi pan, źle spała. Mówiła mi o tém siostra Genowefa, bo ja miałam tę noc wolną. Gorączkowała nawet trochę i majaczyła długo. Ale to nic! Poszłam dziś rano do niéj, uspokoiłam ją i ułożyłam w łóżku, nakazując spać, spać koniecznie,

dla zdrowia. Śpi téż teraz! — dodała ciszéj, jakby tu, z korytarza, przez trzy inne sale, obawiała się śpiącą obudzić.

— Tośmy źle się wybrali — zauważył Konrad.

Siostra pomyślała chwilkę.

— To nic! I tak lekarz pewnieby ją zbudził przy rannéj wizycie. Przytem ona ciągle mówi o... o panu — dodała, zwracając się do Wiktora. — Brat, brat! z ust jéj nie schodzi. Wczoraj nawet pisała do pana list, ale podarła go i nie chciała mi pokazać... Chodźcie, to ją uraduje!

I ruszyła przodem, ale po przejściu jednéj z sal zatrzymała się znowu.

— Pójdę pierwsza... uprzedzę ją... dobrze? — spytała.

Konrad skinął głową i zatrzymał się wraz z przyjacielem w przechodniéj sali, zastawionéj łóżkami.

Żaden z nich nie mógł się zdobyć na jakieś słowo. Konrad począł wyglądać oknem na obszerny dziedziniec, po którym, w słońcu, snuli się rekonwalescenci, Wiktor zaś mierzył salę cichemi krokami, spoglądając z pod oka na dwie, znajdujące się na łóżkach, pacyentki.

Nie czekali długo.

Siostra Elżbieta, jak się okazało, nie potrzebowała budzić choréj, która już nie spała.

Przybiegła téż niebawem, mówiąc:

— Chodźcie.

Ale przed drzwiami ostatniéj sali zatrzymała ich znów, szepcząc z uśmiechem

— Ona się tam przyczesuje... Chciała wstać i ubrać się.... nie pozwoliłam. Uradowała się bardzo. Wié, że brat przychodzi i pan — dodała, zwracając się do Konrada. — Domyśliła się tego sama, odrazu!

I przeczekawszy jeszcze chwilkę z ręką na klamce, otworzyła drzwi, wchodząc pierwsza.

— Można? — spytała, wsuwając głowę.

Odpowiedzi nie było słychać. Widocznie zastąpiło ją skinienie głowy, bo siostra Elżbieta weszła, zapraszając obu młodych ludzi.

Był to niewielki pokoik, ostatni w téj części gmachu i najwygodniejszy, nikt bowiem nie potrzebował przezeń przechodzić. Stały w nim tylko dwa łóżka; na jedném z nich spoczywała wychudła i starsza już kobiecina, mająca około czterdziestki; drugie zajmowała właśnie Józia, przykryta w téj chwili kołdrą po samę brodę, ale wysoko ułożona na poduszkach i rozpromieniona radosnym uśmiechem.

Konrad podbiegł pierwszy i uścisnął w milczeniu rączkę dziewczęcia. Wiktor, stojąc w głowach łóżka, nachylił się równocześnie i musnął wargami twarz siostry. Wtedy to rączka dziewczyny wysunęła się z dłoni Konrada, a zapłotła w serdecznym uścisku na szyi brata.

— No! dość Jóźka! Daj pokój!—mówił Wiktor, usiłując uwolnić szyję swoją od jéj rącząt.

Ale ona trzymała go silnie przy sobie i całowała ciągle głośno po ustach i czole.

— No, moja droga! — rzekł jeszcze, zanim go uwolniła.

Siostra Elżbieta, pragnąc utaić łzy, cisnące się jéj na ten widok do oczu, poczęła dzwigać krzesełko z pod przeciwległéj ściany. Konrad, uważny zawsze, wyręczył ją jednak natychmiast, sam je sobie przystawiając do łóżka choréj.

Wiktor usiadł na krawędzi.

— A mówiłam dobrodziejce, żem to przeczuwała! — odezwała się Józia do siostry Elżbiety. — Mówiłam!... Dlatego to spać nie mogłam téj nocy, dlatego!

Zakonnica otarła ukradkiem łzy z oczu.

— Zostańcie! — rzekła. — Ja muszę iść do apteki... Wrócę niedługo.

I wyszła cichutko, dotykając zaledwie podłogi swemi miękkiemi trzewikami bez obcasów.

Pokoik zaległa grobowa cisza.

Chora, zmęczona wzruszeniem i wysiłkiem, oddychała z trudnością, ale czarne jéj oczy, podobne do oczu Wiktora, błyszczały ogniem w téj chwili, a uśmiech nie schodził z jéj pobladłych warg.

Niewiele się zmieniła, odkąd jéj Konrad nie widział. Ta sama twarz, szczupła, delikatna, a peł-

na niezmiernéj słodyczy, ten sam nosek zgrabniutki, jakby utoczony, to samo czoło jasne, dziecięce, ten sam wreszcie na śniadéj cerze rumieniec, tylko teraz trochę jaskrawiéj od białéj poduszki odbijający. Choroba zrobiła swoje, obezwładniła ją, to prawda, zabrała nawet połowę dawnéj, hożéj Józi, najmniéj jednak dotknęła jéj twarzy.

Po wyjściu siostry Elżbiety, chwilę jeszcze panowało milczenie. Nikt nie mógł się zdobyć na pierwsze słowo.

Józi zdawało się, że brata i Konrada krępuje obecność owéj kobiecinki, spoczywającéj na łóżku pod przeciwległą ścianą i patrzącéj na gości młodéj sąsiadki z jakąś zazdrością, szeroko, nadmiarę roztwartemi oczyma.

W tém przekonaniu odezwała się téż do Konrada:

— Głucha biedaczka. Mało co słyszy.

Poczém, uśmiechając się przyjaźnie do swéj towarzyszki, wskazała paluszkiem na siebie i na Wiktora, a następnie na Wiktora i Konrada, powtarzając ten ruch kilkakrotnie, jakby chciała ciekawéj widocznie kobiecinie powiedziéć na migi: „to mój brat, to zaś jego przyjaciel.” I została snać zrozumianą bo głucha suchotnica odśmiechnęła się do niéj, kiwając głową na znak, że pojęła.

— Brat... przyjaciel... wiem! — wyszeptała nawet, nie ruszając głowy od poduszki.

Konrada do reszty to wzruszyło.

— Aj, panno Józefo!—odezwał się ze łzą w głosie. — Pani tu, widzę, nauczyła się przez ten czas nawet mowy głuchych.

— Co było robić? Ona nie wstaje i ja czasem leżę... a już trzy tygodnie jesteśmy razem.

Poczem, z właściwą chorym niecierpliwością, zwróciła się do Konrada:

— Gdzie pan był? Kiedy pan wrócił? — spytała.

Z ust Konrada posypał się teraz szereg urywanych, ale wyczerpujących odpowiedzi.

Mówił o wrażeniach swego pobytu na wsi i dokonanéj z obu kolegami wycieczki, nie wdając się w zbyteczne szczegóły, ale téż i nie pomijając niczego, co mogło się przyczynić do pełności obrazu. Kilkoma słowy odmalował dom Marczewskich, jako pełen ładu i harmonii zakątek, któremu obce zdają się być wszelkie kłopoty i troski codzienne. Wogóle wieś ma to do siebie, że przynajmniéj chwilowemu gościowi swemu ukazuje tylko szczęśliwe strony życia. Takie samo wrażenie odniósł bowiem i z Mańkocic, od Schwartzów, choć bawił już tam tylko dni parę.

Opowiedziawszy wreszcie o powodach wcześniejszego powrotu i pogrzebie stryja, dodał z gorzkim uśmiechem:

— Wczoraj tu już byłem, w tym gmachu, nie wiedząc wcale, że jestem tak blizko pani!

Prędko jednak otrząsnął się znów z tego wspo-

mnienia, wypytując o szczegóły choroby dziewczęcia i rezultaty kuracyi.

— Ja się teraz do tego wezmę—dodał żartobliwie.

Józia, wsłuchująca się chciwie w jego słowa, nie taiła radości swojéj z tego, iż znowu go widzi.

Jest już jéj znacznie lepiéj. Dziś źle spała, ale wcale już prawie nie kaszle. Lekarz sam mówi, iż wypuści ją niebawem.

— I moje wakacye się skończą! — dodała.

A gdy na te słowa Konrad uśmiechnął się boleśnie, poczęła ze szczerem przekonaniem tłómaczyć, iż miała tu prawdziwe wakacye.

— Dawno już nie próżnowałam tak, jak tutaj.

Wypoczęła za wszystkie czasy. Dobrze téż, że zachorowała teraz, podczas lata. W magazynie pusto. Roboty niema, jak zwykle pod koniec sezonu. Niechby tak była zasłabła w karnawale lub z wiosny: Boże drogi, tożby to był rwetes! Musiałaby nawet może i miejsce stracić, bo nie mogliby się tam bez niéj obejść.

— Oh! tak! — zakończyła. — Ale teraz już muszę przyjść prędko do zdrowia. Muszę!

Męczyła się jednak widocznie rozmową, co téż nie uszło uwagi Konrada. Pogawędziwszy więc jeszcze chwilę, odezwał się nagle do milczącego wciąż Wiktora:

— No, pójdźmy!

— I jego mi pan zabierze?—odezwała się chora,

wskazując na brata, który wstał, posłuszny jak dziecko.

— Chciałbym... Bo to i jego wakacye już się skończyły. Trzeba wiele rzeczy ogadać... Ale ja go tu pani jeszcze dziś może przyślę, a jutro znów sam wpadnę na chwilę...

Józia westchnęła, jakby słowa te przyniosły niezmierną ulgę jéj schorzałym piersiom.

Ach, tak! On już tu jest i wrócił ten sam. Skończyła się już teraz wszelka bieda. Tak zawsze dotąd bywało. Zjawił się, gdy już zdawało się, że niema żadnego ratunku... Ratunku nie dla niéj — bo i cóż tam ona? Ale dla niego, dla tego biednego Wiktora, nad którym tak mało miała wpływu. Ach, żyć teraz znowu, żyć, żyć!

— Idźcie — szepnęła, ściskając gorączkowo rękę brata.

Zanim pożegnano się ostatecznie, wróciła jeszcze siostra Elżbieta, do któréj Konrad zwrócił się zaraz z wykrzyknikiem:

— Niech się dobrodziejka nacieszy swoją pacyentką, póki czas, bo myślimy ją ztąd za dni parę wykraść!

— Dałby to Bóg! — westchnęła zakonnica, — chociaż będę za nią tęskniła okrutnie.

I zanim kroki odchodzących umilkły, przytuliła usta swe do czoła uszczęśliwionego dziewczęcia.

VI.

Po opuszczeniu szpitala obaj przyjaciele szli długi czas w milczeniu, każdy własnemi myślami zajęty.

Wiktor zdawał się przygnębionym i upokorzonym tą wizytą u siostry, do któréj został zmuszony, Konrad natomiast, z właściwą sobie ruchliwością, układał w myśli plany tego, co mu teraz uczynić należało.

Ta doba ostatnia ileż zmian przynosiła!

Przedewszystkiem nie mogło już być mowy o powrocie na wieś z Marczewskim i Schwartzem. Ten zgon stryja powinien i musi go w tym względzie usprawiedliwić. Ot, pół dnia już zeszło, a jeszcze nie wywiązał się z przyrzeczenia, danego pani Trzcińskiéj, nie poszedł jéj odwiedzić — i nie wie nawet, czy dziś znajdzie stosowną chwilę na tę wizytę, która była przecie prostym obowiązkiem.

Przytém Józia, Wiktor...

Sam los wracał go dość jeszcze wcześnie dla nich obojga. Było to także coś w rodzaju obowiązku, przed którym nie pozwalało mu się cofnąć głębokie przekonanie. Nie umiałby był, co prawda, nazwać tego obowiązku jakiemś ściślejszém imieniem i nie starał się o to wcale. Wystarczało mu to, że tak zawsze dotąd bywało. Czemu teraz miałoby być inaczéj — teraz, gdy ratunek tych dwojga stawał się tak koniecznym?

Tak być musi. Schwartz i Marczewski zawadzaliby mu nawet w tym razie. To jeszcze prawie dzieci, bo życie ich było dotąd gładkim, bitym gościńcem; o ścieżkach bocznych, tak nieraz ciernistych, nie mieli najmniejszego wyobrażenia. „Dlaczego się ty nie odczepisz od tego Zawadzkiego?”— to byłoby ich pierwsze pytanie, gdyby im począł tłómaczyć, że dla niego pozostać musi. Wszak i w nocy, gdy nadmienił o wspólném mieszkaniu z Wiktorem, nie odezwał się żaden z nich na to ani słówkiem. Znając Zawadzkiego więcéj ze słyszenia, za nic widocznie nie mieli tego wykolejonego kolegi — oni, co biedy dotąd nie zaznali.

A Józia?... Trudnoby się było z tém ukryć, a ileżto musiałby im tłómaczyć, że... że z tą Józią znają się od dzieci, że on, Konrad, nieraz na rękach ją nosił, że przywykł do mentorowania téj dziewczynce, że patrzył jak wzrastała i ztąd stała mu się niemal siostrą, własnéj przecie nigdy nie miał. To

wszystko trzebaby im tłómaczyć, a oni możeby tego nie zrozumieli.

To też niech jadą. Tę parę dni, jakie zostają jeszcze do końca wakacyj, wystarczy mu do ujęcia znów w karby życia Wiktora, zaopiekowania się chorą i uregulowania wszystkiego. Gdy wrócą, będzie już swobodnym.

Uśmiechnął się sam do tych swoich postanowień i spojrzał na Wiktora. Przyjaciel szedł obok niego chmurny, posępny, a przecież już jakiś żywszy.

— Tak, tak zrobię! — pomyślał pan Konrad.

I znowu blada twarzyczka Józi poczęła mu migotać przed oczyma; tylko, że oczki miała już nie czarne, wielkie, jak zwykle, lecz jakieś niebieskie, a i ciemne jéj włosy bladły, bladły, stając się złotemi; co więcéj, że oprawą téj twarzyczki nie było już łóżko szpitalne, lecz ciemny, zgrabny kapelusik, mieniący się w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, które się z poza drzew przedzierały.

Ocknął się, jakby ze snu, i teraz dopiero zdając sobie sprawę z téj przemiany, pomyślał:

— Ach, to ta czekająca mię wizyta plącze mi się po głowie. Trzeba mi o tém pamiętać!

Po chwili stanęli u wylotu Trębackiéj, zkąd już tylko parę kroków było do hotelu, ale Wiktor ani chciał słyszéć o zobaczeniu się z Marczewskim i Schwartzem.

— Nie, nie! Puść mnie! — prosił. — Ja ich tak mało znam.

— Cóż z tego! Dobre chłopcy...

— Wiem, ale... nie mogę...

Konrad przyjrzał mu się uważnie.

— Zresztą, powiem ci wszystko — mówił daléj Wiktor, spuszczając oczy pod badawczem spojrzeniem przyjaciela. — Widzisz, od tygodnia już męczą mię, abym wrócił do swoich lekcyj matematyki na pensyi u Daleckiéj... Zwłóczyłem... Ale dziś ostatni termin na odpowiedź... Zawsze to coś... Wezmę!

Konrad uścisnął mu dłoń gorąco.

— Idź — rzekł tylko.

Sam zaś zwrócił się wprost ku hotelowi.

Schwartz z Marczewskim siedzieli zasępieni, każdy w swoim pokoju, gdy wszedł pan Konrad. Poznali ociężałe nieco ze zmęczenia jego kroki i Schwartz zerwał się pierwszy, podbiegając do drzwi.

— Aj! zbrodniarzu! — zawołał, rzucając się na szyję wchodzącego.

Zbliżył się i Marczewski, zostawiwszy na stole zaczęty list do rodziców, w którym opisywał powód swego niespodzianego znalezienia się w Warszawie.

— Ależ przynajmniéj punktualny. Trzy na drugą! — rzekł, spoglądając na zegarek.

Konrad, trzymając w ręku kapelusz, usiadł na pierwszém krześle, które mu się nawinęło. Był widocznie znużony, ale uśmiechał się, spoglądając

z przyjemnością na obu młodych przyjaciół, którzy przed nim stali w jaskrawém świetle południowego słońca, wdzierającego się do skromnego pokoiku hotelowego przez jedyne okno od dziedzińca.

— No, coście robili? — spytał.

— A cóż? Kłóciliśmy się!

— O co?

— O ciebie! O to, żeś nam umknął.

— Ja już nawet nie znałem się przez pewien czas z panem Marczewskim — odezwał się Schwartz.

— A ja z panem Schwartzem.

— No, a teraz? — spytał Konrad.

Kaziek machnął ręką.

— Co było robić? Pogodziliśmy się!

I wyrywając sobie z ust pojedyńcze zdania i wyrazy, poczęli opowiadać bezładnie, jeden przez drugiego: jak z rozpaczy przyszła im myśl zaproszenia Kuby na śniadanie do restauracyi hotelowéj; jak posadzili go przy swym stoliku; jak Kuba, wstydząc się ciągle, zawijał przecież befsztyk, aż mu się uszy trzęsły; jak wszyscy obecni, nie wyjmując gospodarza restauracyi i garsonów, patrzyli na nich, niby na waryatów — i wreszcie, jak teraz Kuba, spojony, śpi przy koniach, w stajni, ściskając je za przednie nogi, w obawie, aby mu ich nikt nie ukradł.

— Bo trzeba ci wiedzieć — kończył Schwartz — że nagadaliśmy mu podczas tego śniadania o filutach miejskich niestworzone rzeczy, aż wkońcu na

wszystkich dokoła patrzył, jak na rzezimieszków. Ha, ha ha, ha!

— Ha, ha, ha! — wtórował Marczewski.

I poczęli obaj pokładać się ze śmiechu na samo wspomnienie tego figla.

Konrad zaśmiał się także. Tyle jednak było przeciwieństwa w ich opowiadaniu, z tém, co on miał niedawno przed oczyma, że mimowoli śmiech zamarł na jego wargach. Poważne jakieś refleksye poczęły mu napływać do głowy.

— Czy podobna — myślał — aby na świecie mogły obok siebie mieścić się na równych zupełnie prawach i takie figle dziecięce i taka nędza, ostateczna, beznadziejna, na jaką przed chwilą patrzéć był zmuszony?.. Czy podobna?.. I przyszło mu znów na myśl, że zarówno ta możność bezgranicznéj niemal swobody, jak i tamta konieczność pobrzękujących kajdan, są równie niezasłużonemi, jako wynik czystego przypadku... Ale dlaczego? dlaczego?

I już za temi pytaniami jakiś głos wewnętrzny począł odpowiadać: „tak być musi!" — przywodząc mu zarazem na pamięć dawniejsze wspomnienia.

Nie mogło go to jednak przekonać.

To jedno czuł tylko dobrze, że ta młodość, która właściwie jeszcze mu się należała, ucieka już teraz przed nim bezpowrotnie, a takie jéj figle, jak Antka i Kazia, wprost dziwią go tylko i męczą.

Nie chciał jednak tego okazać po sobie.

— Ot! wisusy! — rzekł tylko z uśmiechem.

Schwartz usiadł mu na kolanach i, przymilając się po swojemu, zaczął:

— No, to już teraz wracamy do Mańkocic?

Konrad nie zaraz odpowiedział.

Wstał, rozprostował kości, uśmiechnął się znów na widok rozpromienionych twarzy obu młodzieńców, ale odparł poważnie:

— Ja muszę pozostać. Z tém właśnie do was przyszedłem. Wybaczcie!

Schwartz aż zachwiał się na nogach, a i w twarzy Marczewskiego odbiło się zdziwienie.

— Dlaczego? — zawołał prawie równocześnie.

Konrad westchnął.

— Ot, prosta konieczność! — rzekł tylko.

I dopiero po chwili począł im tłómaczyć, że pozostawił tu przeróżne interesa, które teraz domagają się jego obecności. Skomplikowała to wszystko śmierć stryja. Całe pół dnia już zmarnował, nie wiele załatwiwszy. Znają go przecie z tego, że nie lubi się drożyć i zawsze wszystko trzeźwo widzi. Gdyby mógł wybierać, czyżby nie wybrał powrotu do Mańkocic, gdzie mu tak dobrze było przez tych dni kilka? Napisze nawet do ojca Antka z przeproszeniem słów parę, ale zostać musi.

Tyle było stanowczości w jego głosie, że i Antek i Kaziek, choć z początku przerywali mu te wyznania.

domagając się konkretniejszych objaśnień, przestali w końcu nalegać.

— Widzę, że tak być musi! — rzekł pierwszy Marczewski.

Antoś lamentował jeszcze czas jakiś, nie mogąc się z tém pogodzić.

— Nie uwierzysz, jak mi to przykro!—mówił.— A ojciec... to już chyba nie daruje mi nigdy tego, że cię z powrotem nie przywiozę!

Konrad uścisnął mu rękę w milczeniu.

— Bo możebyśmy do niedzieli zaczekali na ciebie? — spytał jeszcze Schwartz, czepiając się powtórnie jakiejś nadziei. — Widzisz, ja-bym zaraz zatelegrafował do ojca.

Nie było już żadnéj odpowiedzi. Konrad, jakby nie słyszał téj uwagi, począł pisać zapowiedziany list do starego Schwartza.

— No, to przynajmniéj zjedzmy razem pożegnalny obiad! — zawołał Marczewski z rezygnacyą.

— Zgoda! — odrzucił Konrad wesoło, nie przerywając pisania.

W godzinę późniéj powóz, z wytrzeźwiałym już Kubą na koźle i z obu młodymi chłopcami pośrodku, znikał poza rogatkami miejskiemi.

VII.

Co sobie postanowił, tego istotnie dokonał. Nie minął tydzień i wszystko wróciło pozornie do dawnego ładu.

Józia opuściła szpital i zajęła znów swój schludny pokoik przy magazynie. Zdrowia jeszcze nie miała i często sił jéj brakowało, przecież zajmowała się już robotą, wesoła, ochocza, uśmiechniona, jak dawniéj.

Wiktor dawał znów lekcye na pensyi pani Daleckiéj, a choć ze swéj nory na Piwnéj nie chciał się wynieść i wzbraniał się zamieszkać wspólnie z Konradem, w świeżo przezeń wynajętém, dość obszerném mieszkanku na Nowym-Świecie, to jednak domu swego pilnował i siedział już w nim kamieniem. O każdéj porze, z wyjątkiem paru godzin południowych, można go było tam zastać, już to kreślącego coś zawzięcie, już téż w gorącéj dyskusyi z owym młodzieniaszkiem poetą, nieodstępnie go się dotąd trzymającym.

Dał też znowu, za pośrednictwem Konrada, kilka nowych swych wierszy do pism i tygodników, a wiersze te, wydrukowane skwapliwie, prawie powszechne tym razem sprawiły wrażenie.

Codzień, około ósméj wieczorem, odwiedzali obaj Józię, w jéj mieszkaniu przy magazynie. Przyobiecał jéj to Konrad, odwożąc ją wraz z Wiktorem ze szpitala, i dotąd święcie obietnicy téj obaj dotrzymywali. Umówili się już tak, że Wiktor przed ósmą przybywał do Konrada, ten zaś wstawał zaraz od biurka, wołał: —„Jesteś! Dobrze! Idziemy!"— ubierał się w mgnieniu oka i szli do Józi.

Nie przychodzili nigdy z próżnemi rękami.

Raz Wiktor przybiegł z pękiem ślicznych róż jesiennych, mówiąc do przyjaciela:

— Dostałem od znajomego ogrodnika! Daj jéj to ty! To ją bardziéj ucieszy!

Konrad wziął róże, ale po drodze kupił ich dwa razy tyle, a nazajutrz, gdy Wiktor znów przybiegł, miał już pudełko cukierków i na zapytanie: „Co z sobą zabierasz?" — odparł:

— Dostałem od znajomego cukiernika. To kobiety, obok kwiatów, także bardzo lubią!

A chore dziewczę przychodziło istotnie do zdrowia, prędzéj może pod wpływem tych stałych wizyt wieczornych brata i jego towarzysza, niż dzięki używanym jeszcze ciągle lekarstwom.

Gdy przybywali, czekał ich już samowarek maleńki, o którym Józia z dumą mawiała: „To mój, mój własny" — czekała i ona, drżąca, blada, chora, a przecież, mimo trawiącéj ją choroby, rozkwitająca, jak te róże, które pielęgnując starannie, dotąd jeszcze — od tygodnia — w pokoiku swoim na honorowem miejscu trzymała.

Gawędzono zazwyczaj swobodnie przez całą godzinę, a czasem i dłużéj, popijając herbatę. Niekiedy zjawiała się podczas téj uczty i właścicielka magazynu, kobieta nie pierwszéj już młodości, a widocznie pełna serca, cicha i łagodna. Nie miała ona dość pochwał dla Józi, przeciwko czemu zażenowane dziewczę broniło się, jak mogło.

— A jutro przyjdziecie? — zwracała się zwykle Józia do brata przy pożegnaniu.

— Przyjdziemy — odpowiadał za niego z uśmiechem Konrad, za co odbierał od Józi w nagrodę pełne wdzięczności spojrzenie, przez które chciała mu niejako powiedzieć: „To wszystko twoja robota, twoja zasługa..."

Zazwyczaj zaś podczas tych odwiedzin, ani Wiktor, ani Konrad, nie szafowali zbytecznie słowami. Józia mówiła za nich obydwu, spowiadając się nieraz z drobnych kłopotów, trosk dziennych i trudności swego zawodu, a mimowoli wracała zawsze do tego, że teraz znowu żyć pragnie, chce, musi, bo warto! Dawniéj, w Lipcu i Sierpniu — a szcze-

gólniéj tam, w szpitalu — to było jéj już prawie wszystko jedno.

— Dziś!... Ach! dziś!... co innego! — dodawała z dziecięcym uśmiechem.

Zdarzyło się pewnego wieczora, że Wiktor, odciągając ją cokolwiek na bok, wręczył jéj trzy ruble.

— Pożyczyłem od ciebie — mówił z właściwą sobie otwartością, nie starając się zresztą o to, aby te słowa nie doszły uszu obecnego Konrada — pożyczyłem... wiesz przecie.. Dziś mam... oddaję! — i kończąc to wyznanie szeptem, pocałował ją w rękę, któréj już usunąć w porę nie zdołała.

— Eh! Wiktor! — prosiła — cóż znowu!

Cisnęła téż zaraz zielony papierek na stół, między porozstawiane filiżanki z herbatą, i rozpłakała się rzewnie.

— Ty się ze mną liczysz co do grosza! Ty mnie już nic a nic nie kochasz! — mówiła, odwracając się do ściany.

Konrad musiał wdać się w tę sprawę i pobiegł ich godzić.

— Panno Józefo! — mówił — przecie to nic prostszego... Pożyczył, oddaje... U pani to pewne, jak na ołtarzu, a widzi pani, to może się jeszcze przydać i jemu, i mnie nawet! Niech pani to schowa! Niech pani to kapitalizuje!

Przekonał ją samym dźwiękiem swego głosu, któ-

remu poddawała się zawsze bezsilna, czując dobrze, że brak jéj wówczas własnéj woli.

Nieprędko jednak przestała płakać, a ów nieszczęsny zielony papierek pozostał do końca nietkniętym.

Mimo to, po chwili, śmiała się sama i ich do śmiechu wyzywała, mówiąc: „Byleście tylko znów jutro przyszli!...”

A po każdych podobnych odwiedzinach wracali obaj z tak pełnemi radosnego szczebiotu dziewczęcia sercami, że wspólną drogę przebywali już zazwyczaj w milczeniu i zaledwie starczyło im słów na powiedzenie sobie: „Dobranoc! do jutra!” — gdy rozchodzili się w przeciwne strony.

Najgorzéj na tém wszystkiém wychodziła biedna Mania. Tak wiele obiecywała sobie po téj zapowiedzianéj wizycie młodego człowieka, który mimowoli wkradł jéj się w pamięć, że wizyta owa musiała przynieść jéj tylko pewien rodzaj zawodu i rozczarowania.

Pan Konrad nie przyszedł bowiem nazajutrz, po pogrzebie stryja, według obietnicy. Zjawił się dopiero w parę dni późniéj, wówczas, kiedy Mania dwie noce już nie spała i zwątpiła nawet, iż kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

A przychodził właśnie jakiś znużony, wyczerpany, nie mogąc widocznie jeszcze opędzić się wrażeniom, jakie wyniósł ze szpitala i ze spotkania z Wiktorem. Ta cisza, ład, dostatek, wobec których tu

się znalazł, raziły go niemile po tém, co przeszedł w ostatnich dniach, wraz z tymi, których los związany był mimowoli z jego losem. Był wprawdzie ugrzecznionym, uważał na każdy swój ruch, po kilkakroć wracał do swoich zapewnień o wdzięczności za zajęcie się pogrzebem nieboszczyka, ale słów oszczędzał, starał się wymknąć ztąd jak najprędzéj, na Manię prawie nawet nie spojrzał, a to wszystko nadało jego wizycie jakąś cechę sztywną, ceremonialną, w każdym zaś razie dalekiém było od tego, o czém śniła biedna panienka w swoich marzeniach.

Próżno mówiła sobie, że inaczéj być nie mogło i nie powinno; próżno téż wyszydzała sama przed sobą ową gorączkę i niepokój, jakie ją trawiły. Rzeczywistość była tak niepodobną do jéj snów rozkosznych z ostatnich dni paru, że głos rozsądku nie mógł już zapełnić téj przepaści, jaka się nagle przed nią roztwarła.

Ach, te sny, te marzenia!

Od czasu owego spotkania przypadkowego w Czerwcu, młody akademik nie schodził jéj z myśli, ścigał jéj pamięć na każdym niemal kroku, wplatał się mimowoli we wszelkie jéj wspomnienia. Zdawało jéj się ciągle, że znała go już oddawna, że przypominała sobie dźwięk jego głosu, że widziała już gdzieś jego oczy i że te oczy od dzieciństwa ją prześladowały, od kolebki już chyba. Spokoju nie miała wskutek tego przez całe lato, a przecież do-

brze jéj z tém było. Uzbrajała się bowiem w cierpliwość, wierząc, że znów spotkać się muszą, że obojętnie więcéj już minąć się nie mogą. I wiara ta jéj nie zawiodła.

Pomimo zaś szczerego żalu, jaki obudził w jéj serduszku zgon biednego pana Ignacego, zdawało jéj się przecież, że sam Bóg pokierował już tak umyślnie tą sprawą, aby oboje tém prędzéj spotkać się mogli. Czuła, że myśląc w ten sposób, bluźni, i żegnała się zgorszona i czyniła sobie gorzkie wyrzuty, a przecież myśli téj pozbyć się nie mogła. Bóg, Bóg sam chciał tego... Ach, tak!... Bo on przecie nie mógł dotąd do niéj się zbliżyć—teraz co innego! Teraz nadarzała się sposobność, któréj on chwycić się musi skwapliwie i chwyci się z pewnością.

Na cmentarzu zbliżył się téż zaraz, a choć mówił niewiele, zwracał się tylko do mamusi i prawie że umyślnie unikał jéj spojrzenia, to jednak czyż mógł postąpić inaczéj? Owszem, miała mu to za dobre. Miejsce i chwila usprawiedliwiały go w jéj oczach zupełnie. Potém raz jeszcze ukłonił się z powozu, a tym razem spojrzał już wyraźnie. Wróciła téż wówczas z tego pogrzebu, niby z jakiegoś wesela, uszczęśliwiona, pełna skrytych nadziei, a choć znów się żegnała i nawet cały pacierz zmówiła, aby te myśli radosne odpędzić—nic nie pomogło: szczęście wygnać się z serduszka nie dało.

Ach, te marzenia, te nieszczęsne marzenia!

Siedziała oto teraz, wobec niego, blada, drżąca, jak liść na wietrze, mając w myśli to tylko, że zwlekał z temi odwiedzinami, że niepilno mu do niéj było.

Nie zmienił się w niczém. Był taki sam, śliczny, poważny, smutniejszy tylko nieco, ale Mania widziała dobrze, że czeka tylko, aby powstać i odejść — i czuła to jedno, że potrzebuje w téj chwili całéj siły woli, aby się głośno nie rozpłakać.

Pani Kamilla odgadła wprawdzie, jakie uczucia miotały sercem córki, ale nie podzielała ich tym razem.

Owszem, ta powściągliwość i powaga pana Konrada bardzo jéj się podobały. Rozumiała dobrze, że nie mógł być innym w tych warunkach i podczas takiéj, jak ta, obowiązkowéj wizyty. Zdawało jéj się, że nie darowałaby mu nawet tego nigdy, gdyby był innym.

Widząc téż dobrze, że gość skorzysta z pierwszéj okazyi do pożegnania się, poprowadziła sama zręcznie rozmowę, zwracając ją z konieczności naprzód na nieboszczyka i nagły zgon jego. Wspomniała przytém o przyjazni, jaka łączyła ś. p. Ignacego z jéj zmarłym mężem, kładąc nacisk na ich wzajemną, długoletnią zażyłość, która wykluczała wszelkie nawet pozory zależności, pomimo wiążących ich stosunków.

— Niech mi pan wierzy — mówiła z całém przekonaniem — że był to najlepszy mego męża przy-

jaciel, a takim i dla nas pozostał do ostatniéj chwili życia.

Pan Konrad słuchał tego wszystkiego z widoczną wdzięcznością, która odmalowała się w jego spojrzeniu.

Przyszedł tu właśnie, aby tylko zapytać, ile pogrzeb kosztował — i drżał z obawy, że zapasu, jaki miał, może na zwrot tych kosztów nie starczyć. Teraz, wobec takiego postawienia kwestyi przez panią Kamillę, nie mogło być o têm żadnéj wzmianki. Czuł, że pytanie to byłoby już teraz obrazą i nie mógł wyjść z podziwienia, że mu się przed chwilą zupełnie naturalném wydawało. Przyjdzie chwila, że będzie mógł i musi nawet policzyć się kiedyś — ale dziś — dziś przenigdy!

I nie zdając sobie sprawy z tego, że przecie tych myśli pani Kamilla odgadnąć nie mogła, przechylił się z krzesła i wyciągnął ku niéj rękę, jakby istotnie miał już za co ją przepraszać.

Tyle zaś było w tym jego mimowolnym ruchu szczerości, że pani Kamilla, przechylając się również ze swego fotelu, pochwyciła wyciągniętą dłoń i uścisnęła ją serdecznie.

— Dlatego to — dodała, nawiązując myśl do poprzednich swoich wywodów — i pan nie wydaje się nam obcym. Kochaliśmy nieboszczyka oddawna i serdecznie, więc i pana dobrze znamy!

Pan Konrad podziękował skinieniem głowy, czu-

jąc, że słowa nie mogłyby mu były przejść w téj chwili przez gardło.

Wśród uroczystéj ciszy zabrzmiał wówczas dźwięczny głosik Mani:

— Ach, i ja kochałam go bardzo!

Zarumieniła się przytém, jakby zawstydzona, że ten wykrzyknik wyrwał się gwałtem z jéj piersi. Zakryła téż zaraz oczy chusteczką.

Pan Konrad teraz dopiero przyjrzał się jéj uważniéj.

— Prawdę mówił Marczewski — pomyślał — to istotnie śliczna dziewczyna!

Początek był zrobiony. Chłód i sztywność przepadły prawie bez śladu.

Pani Kamilli udało się wkońcu uczynić pogawędkę ogólniejszą i wciągnąć w nią zarówno Manię, jak i pana Konrada. Temat rozmowy był wprawdzie bardzo ograniczonym i musiał wracać ciągle ku świeżym wypadkom, gość jednak słuchał wszystkiego z widoczném zajęciem. Widział teraz sam, że znano tu zmarłego dobrze, lepiéj może nawet, niż on, i kochano go szczerze.

Pani Trzcińska bowiem nie taiła nawet pewnych dziwactw nieboszczyka, chociaż te, jéj zdaniem, płynęły tylko z niezwykłéj jego sumienności i poczucia obowiązku. Był to niewątpliwie człowiek innéj epoki, jakich już dziś nie codzień się spotyka. Prawda, że stronił wogóle od ludzi, więc i im czasami po ca-

łych tygodniach nie pokazywał się na oczy. Ale właśnie tego lata, jakby przeczuwał, że już niedługo rozstaną się na zawsze, począł coraz więcéj ku nim się garnąć. Zjawiał się częściéj w ich willi podmiejskiéj, spędzając tam całe popołudnia, a dwa czy trzy razy został nawet na noc, w pokoiku na piętrze, obok Zdzisia, z którym się bardzo zaprzyjaźnił w ostatnich czasach. Zdawać-by się nawet mogło, że uczuwał brak jego, Konrada, mimo że każde w tym względzie pytanie zbywał zazwyczaj milczeniem.

— Zresztą o tych niewinnych dziwactwach stryja pan pewnie wié najlepiéj — dodała, kończąc tę swoją opowieść.

— Istotnie — podchwycił pan Konrad, uśmiechając się smutno. — Ale nie szkodziły mi one zgoła. Kochaliśmy się szczerze, choć nigdyśmy sobie tego nie powiedzieli...

— Dlaczego? — spytała mimowoli pani Kamilla.

Nastała chwilowa cisza. Pan Konrad milczał, jakby namyślał się nad odpowiedzią.

Mani zdawało się, że nadszedł jedyny moment, w którym ona może się odezwać ze swym bólem.

— A jednak — wyszeptała zcicha — kochanie musi chyba tracić połowę wartości, gdy... gdy takie milczące...

Pan Konrad spojrzał znów na młodą panienkę, która wzrokiem swym zawisła mu w téj chwili na wargach, jakby chciała zmusić go do odpowiedzi.

— Nie wiem! — rzekł pod tym przymusem. — Zdaje mi się jednak, że to można odczuć lub widzieć.

Mania, z właściwą swemu temperamentowi żywością, poruszyła się na krześle zniecierpliwiona.

— Ach! — szepnęła. — Bóg tylko zna wszystkie myśli i on jeden słów nie potrzebuje. Dlatego to można modlić się zcicha!

Pan Konrad nie zdawał się przekonanym.

— I człowiekowi czasami wolno się wznosić do téj doskonałości — rzekł. — Ja przynajmniéj możebym to potrafił!

Dając zaś tę odpowiedź miał znów wzrok utkwiony w gładkie tafle posadzki. Widocznie ścigał rozpierzchłe swe myśli, które zdala od tych miejsc błądziły.

Mania natomiast patrzyła wciąż w twarz jego z jakimś okrutnym wyrzutem, który zdawał się mówić ze smutkiem:

— A jednak nie widzisz!

Pani Kamilla schwyciła to spojrzenie córki i odgadła zawartą w niém myśl. Umyślnie téż nie starała się wypełnić ciszy, jaka teraz salonik zaległa. Zdawało jéj się, że serdeczna struna, jak na pierwsze odwiedziny, została już nawiązana. Należało wizytę zakończyć. Podniosła więc wzrok na Konrada z rodzajem niemego zapytania i on odrazu ją zrozumiał. Powstał natychmiast i począł się że-

gnać, powtarzając raz jeszcze zapewnienia o swojéj wdzięczności.

Wychodził już przejednany zupełnie. Zwolna, pod wpływem serdecznych słów pani Trzcińskiéj, przestał istotnie uważać się za obcego, a ta cisza, ład i dostatek, które go na wstępie raziły, wydały mu się teraz naturalném, niezbędném niemal tłem dla tych dwóch kobiet, matki i córki. Co więcéj, czuł, że i jemu dobrze było w téj atmosferze. Przesiedział całą godzinę, która zaledwie kwadransem mu się wydała.

Gdy więc przy pożegnaniu pani Kamilla prosiła go, aby na téj wizycie nie poprzestał i zechciał ich odwiedzać częściéj, gdyż rzadko wychodzą, a dla niego będą zawsze w domu, przyjął to uprzejme zaproszenie ze szczerém zadowoleniem, którego nawet nie mogła ukryć zwykła w takich razach zdawkowa odpowiedź, iż będzie to jego „obowiązkiem”...

Pani Kamilla wyprowadziła go do przedpokoju i z progu raz jeszcze podała mu rękę.

Wróciwszy do salonu, nie zastała tam już Mani, która ukryła się w swoim pokoiku. Chciała w pierwszéj chwili iść tam za nią, aby podzielić się wrażeniami z téj wizyty, powstrzymała się jednak od tego. Bo i co mogła jéj powiedzieć? To jedno, iż pan Konrad i na niéj zrobił bardzo miłe wrażenie, a czuła dobrze, że przy nastroju, w jakim widocznie

znajdowała się Mania, słowa te mimowoli miałyby w sobie coś z dysonansu.

Udała więc zajętą gospodarstwem i poczęła umyślnie głośno wydawać jakieś dyspozycye służącéj.

Po kwadransie doczekała się Mani, która wyszła ze swego pokoiku blada, z zaczerwienionemi od płaczu, ale starannie osuszonemi oczyma, a mimo to z jakimś błogim uśmiechem na twarzy.

Szalone jéj sny i marzenia nie spełniły się. Pan Konrad nie wiedział dotąd, ile myśli jéj już zabrał, i mógł nawet nigdy się o tém nie dowiedzieć. Ale przynajmniéj widziała go znowu, słyszała dźwięk jego głosu, była blizko niego, zamieniła z nim nawet kilka frazesów. Ta myśl właśnie osuszyła jéj łzy, których narazie, po jego odejściu, powstrzymać już nie mogła; ona téż wywołała na jéj różowe wargi ów uśmiech pełen rezygnacyi, ale i nowych nadziei zarazem.

Podszedłszy cichaczem ku matce i kryjąc umyślnie twarz na jéj szyi, zawołała z przymileniem:

— Jak ja mamusię kocham!

Pani Kamilla nachyliła twarz córki ku sobie, i wpatrując się z uczuciem w jéj oczki, w których jeszcze resztki łez się kręciły, szepnęła:

— Ale jaka ja dla ciebie słaba! Jak ja cię psuję!

— Bo mamusia kocha mnie prawdziwie! Bo ma-

musia pragnie mego szczęścia! Bo mamusia dobra, złota, jedyna, najdroższa, najukochańsza! — wołało dziewczę, zasypując ręce i usta matki gradem pocałunków.

Usiadły obie na małéj kozetce pod oknem, złączone w serdecznym uścisku. Troska jednak jakaś nie schodziła z oblicza pani Kamilli. Ale gdy otworzyła usta, chcąc się z jakąś przestrogą czy radą odezwać, Mania pokryła jéj słowa nową ulewą wykrzykników:

— O! nie, nie! Niech mamusia nic teraz do mnie nie mówi, nic zgoła! Ja sama będę mówiła za dwoje! Ja mamusi wyspowiadam się kiedyś ze wszystkiego, myśl po myśli — i nic nie zataję — ale nie teraz! On sam powiedział, że można się rozumiéć, nie używając słów, słyszała mamusia? Wydaje mi się to okrutném, niesprawiedliwém, a jednak widzę, że tak może być z nami, mamusiu! Ani słówka, proszę! Widzi mamusia, mnie tak dobrze z tą moją tajemnicą, która zresztą tajemnicą dla mamy nie jest, tak dobrze! Tylko mówić o tém nie mogę, nie chcę! Mamusia mnie kocha, więc mamusia powinna pragnąć mego szczęścia, a to moje szczęście! Mama musi mi pozwolić nawet umrzéć, gdybym w śmierci szczęście swoje widziała! O! jakam ja była wczoraj smutna! Ale to nic, to nic! Teraz już znów mi dobrze... przy tobie, mamusiu!

Pani Kamilla nie słyszała już nawet ostatnich

słów córki, sam bowiem zapał, z jakim to wszystko było mówione, zbyt wiele już dał jéj do myślenia.

Mania odkrywała teraz przed nią nowe strony swéj duszy. Nie było to już nieświadome swych uczuć dziewczątko, a owe rojenia, które pani Kamilla parę dni temu przypadkiem odkryła, nie przywiązując do nich większéj wagi, przybierały teraz dopiero w jéj oczach określone kształty, — rosły i potężniały z każdym nowym wyrazem rozmarzonego dziewczęcia.

— Boże, Boże! — pomyślała. — Byłażby to już miłość, miłość prawdziwa?

I trwoga jakaś ścisnęła jéj serce.

VIII.

Za tą pierwszą poszła niebawem druga wizyta pana Konrada, wywołana już przez interes. Okazało się bowiem, że po nieboszczyku stryju, zarówno w papierach, jak i w gotowiźnie, pozostało około 7,500 rubli, z czego okrągłe trzy tysiące, owoc długoletniéj widocznie oszczędności starego emeryta, ulokowane były na domu pani Trzcińskiéj. Odpowiedni skrypt, podpisany przez nieboszczyka Trzcińskiego i poświadczony regentalnie, nie ulegał najmniejszéj wątpliwości.

Według tego skryptu, ś. p. Dąbrowski, obejmując posadę rządzcy domu, wniósł do kasy mecenasa Trzcińskiego summę tę w gotowiźnie, tytułem kaucyi, zastrzegając sobie od niéj prawne procenta, które się miały kapitalizować. Umowa zawarta była przed dziewięciu laty i w niéj już znalazła się wzmianka o Konradzie, jako jedynym sukcesorze kontrahenta — na wszelki, jak dodano — wypadek.

Pani Kamilla dowiedziała się o tém pierwsza; ona to bowiem, pod pretekstem, iż niektóre książki meldunkowe znajdowały się w opieczętowaném sądownie mieszkaniu nieboszczyka, a mogły być potrzebne, starała się sama o przyśpieszenie całéj procedury i dzięki stosunkom, przyśpieszenie to istotnie udało się jéj uzyskać.

Przypomniała sobie nawet, gdy jéj wieść o tém zakomunikowano, iż mąż wspominał nieraz o téj kaucyi, nieboszczyk Dąbrowski zaś tak był widocznie pewien téj swojéj sumki, iż po zgonie mecenasa, przez cztery lata, ani słówkiem nie przypomniał o niéj wdowie. Wiedział snadź, iż to znaleźć się musi i przepaść nie może.

Pan Konrad, odebrawszy odpowiednie zawiadomienie o spadku, wraz z liścikiem pani Trzcińskiéj, aby w téj sprawie zechciał się do niéj pofatygować, był poprostu oszołomionym.

Nigdy nawet przez myśl mu nie przyszło, aby po stryju czekać go mogła jaka scheda. Zkąd? Staruszek ciągle narzekał na biedę, chodził wiecznie w jedném i tém samém, choć porządném i czystém, ubraniu, odmawiał sobie wielu rzeczy, mówiąc, iż emeryturka, jaką pobierał, starczyć mu może zaledwie na chleb i mleko.

— Bodaj, że i na pogrzeb swój nic nie uciułam— mówił raz w chwili takich wynurzeń, — musisz mię téż kiedyś pochować.

Dla niego, dla Konrada, gdy szwankujące od czasu do czasu ich wzajemne stosunki znalazły się w dobréj fazie, bywał czasem niezwykle hojnym, występując z datkiem nawet wówczas, gdy Konrad wcale się go nie domagał. Ale też, gdy bratanek nie odrazu po datek rękę wyciągnął, staruszek chował skwapliwie wydobyte monety, mówiąc: „No, jeśli możesz się obejść, to tém lepiéj."

Jedyną namiętnością jego były wieczorne partyjki wista, w gronie dawnych kolegów, ludzi statecznych i nieźle uposażonych. Teraz jednak dopiero Konrad zrozumiał, że i to niewiele staruszka kosztować musiało. Wracał bowiem zazwyczaj uśmiechniony i zadowolony, a gdy pewnego razu przegrał cztery złote, nie tknął nazajutrz śniadania, wyrzucając sobie swoje marnotrawstwo.

Postać starca, sympatyczna mimo wszelkich drobnych śmieszności, wychodziła coraz żywiéj we wspomnieniach pana Konrada, podczas, gdy siedząc przy biurku w swojem nowém mieszkaniu, rozmyślał nad otrzymaną wiadomością i miął w rękach elegancki list pani Trzcińskiéj.

„Dobrzeby było — pisała pani Kamilla — aby pan choć dziś jeszcze wpadł do nas. Ułożylibyśmy, jak się do téj sprawy zabrać. Jest to w każdym razie sumka nie do pogardzenia i najsłuszniejsza pańska własność, mnie zaś, pojmie pan zapewne dlaczego, cięży to wszystko na sercu, jak kamień."

Siedm tysięcy rubli!

A właśnie myślał nad tém, jakby tu pokierować interesami, aby z zarobionych przez lato pieniędzy starczyło na wszystko podczas tych pierwszych kroków na nowym chlebie, którego dobijał się z takim trudem i mozołem.

Los przychodził mu w tém z pomocą, a jednak, pomimo wszystkiego, zadrwił sobie z niego. Gdyby ta pomoc, a choćby tylko drobniejsza jéj cząstka, przyszła była nieco prędzéj — nie przez śmierć stryja, o nie, ale w jakiś inny godziwy sposób — ileżby był zaoszczędził sił swoich, ile wcześniéj mółgby był stanąć tam, gdzie dziś stał dopiero!

Wiktor — Józia — takżeby może inną wskutek tego poszli drogą, nie tak mozolną..

Józia?... Józia w każdym razie ucieszy się bardzo na wiadomość o tém, co go spotkało. Widział ją już, jak klaskała w dłonie z radości, jak czarne jéj oczki nowym lśniły blaskiem, jak drobna twarzyczka to bladła, to rumieniła się naprzemian ze wzruszenia.

Uśmiechnął się na samą myśl tego obrazu, rysującego się w jego wyobraźni.

Teraz już mogły się spełnić niepochwytne dotąd marzenia o wyjeździe za granicę dla zobaczenia świata, a przedewszystkiem dla dalszych studyów na szerszéj arenie. Mógł nawet teraz zabrać ze sobą Józię, która zimując na południu, odzyskałaby nie-

chybnie zdrowie prędzéj, niż tutaj, przy ciężkiéj swojéj pracy. Wiedział, że ta pierwsza zima, jak zwykle w początkach takiéj choroby, będzie dla niéj najtrudniejszą do przeniesienia, a jeśli chodziło o wydatki, to mógł przecie i sam, po uzyskaniu stopnia, zawiesić się gdzie w jakiéj stacyi klimatycznéj, jako lekarz. Ciągnęła go wprawdzie dotąd zawsze tylko chirurgia i jéj chciał się poświęcić, ale to nie ucieknie przecie.

Tak! teraz może sobie na to pozwolić. Siedm tysięcy! Wystarczy na rok, co najmniéj, a choćby nawet i wszystko przyszło wydać, da sobie potém radę — nie zginie. A ratunek dla Józi jest koniecznym. Pieniądze te spadają, jak z nieba. Niema się nawet nad czém namyślać. Rozprawa jest na ukończeniu — widzi ją przecie — leżą właśnie przed nim te drobno zapisane kartki, a jest ich stos cały. W ciągu miesiąca będzie już miał upragniony stopień — zostanie panem swéj woli. Zabierze wówczas Józię i ruszą na południe.

Zabierze Józię, ale w jakim charakterze?

Zasępił się cokolwiek i mimowoli wypuścił z ręki list pani Trzcińskiéj. Niebawem jednak rozpogodził znów czoło i nawet uśmiechnął się do swych myśli.

Józia pojedzie jako jego żona — tak być musi!

Nie mówili dotąd wprawdzie ze sobą, że się kochają. Unikali nawet starannie wszelkiéj okazyi

do tego wyznania — i to głównie unikał on sam — ostrożny, rozważny, liczący się z każdym swym krokiem, jak zawsze. Ale czyż na to słów trzeba? Ta codzienna ich w dzieciństwie zażyłość, te wspólne później losy z Wiktorem, zbliżające ich ciągle ku sobie, ta wreszcie opieka, jaką nad obojgiem w ostatnich czasach rozciągał, przywłaszczając sobie do niéj prawo niemal przemocą,—czyż nie mówiły więcéj od słów samych?

Ach, tak! kocha ją i kochał już oddawna. Trzeba raz nareszcie zdać sobie z tego sprawę, trzeba to słowo wymówić. Cóżby wiązało ich tak nierozerwalnie, przez lat tyle, gdyby nie to uczucie, tkwiące dotąd skrycie w głębinach jego serca, a zrodzone tak dawno, może już wśród bezmyślnych zabaw dziecięcych, na widok téj siostrzyczki biednego rówieśnika, wiecznie smutnéj i załzawionéj, a już wówczas, mimo tego smutku i opuszczenia, ślicznéj jak aniołek? A może trzymała go przy niéj przyjaźń dla Wiktora? Bajki! Wszakże życie nie takie przyjaźni zrywa i rozdziela czasem nawet najbardziéj kochające się rodzeństwo, a im dotąd rozejść się nie dało! O Wiktora właśnie dbał tylko przez wzgląd na nią, na Józię; inaczéj możeby już dawno drogi ich były się rozeszły.

A ta miłość, choć nieświadoma siebie saméj, dodawała mu sił do pracy — musiał to teraz przyznać. Zawdzięczał jéj tyle chwil przyjemnych, mi-

łych, niezatartych żadnemi innemi wspomnieniami. Nie obeszło się wprawdzie bez tego, żeby nie widział piękności innych kobiet i żeby one nie zajmowały czasem jego myśli. Raz nawet, przed dwoma laty, wróciwszy z jakiéjś zabawy, na którą wciągnęli go koledzy, był przekonany, że stracił głowę ze szczętem dla pewnéj milutkiéj panienki, tańczył z nią bowiem przez cały wieczór, śmiał się, żartował i bawił, jak nigdy dotąd z nikim.

A jednak myśl o Józi i jéj wspomnienie, zjawiające się często wbrew jego woli, wcale przezeń nie wywoływane, wracało mu zawsze równowagę, zaćmiewało wszystkie inne, godziło go z losem, jaśniejąc jako jedyna gwiazda świetlana w szaréj pomroce żywota, który dotąd był jego udziałem. Z myślą o niéj zdawał już przecie ostatnie egzamina, z tą myślą żegnał ją, wyjeżdżając na lato za nowym zarobkiem, jako mentor Schwartza i Marczewskiego, ta myśl wreszcie ścigała go tam, w uroczéj Teterówce, przy pięknych i rozmownych siostrach Kazika.

Myśli te nie dały mu i teraz usiedziéć spokojnie przed biurkiem. Powstał, potrącił mimowoli nogą list pani Trzcińskiéj i począł szybkim krokiem chodzić wzdłuż pokoiku.

— „Żona!”

Tylko ten jeden wyraz nie przychodził mu dotąd nigdy na myśl, a przynajmniéj nie stawał przed

nim tak wyraźnie, jak dziś, we właściwém swojém znaczeniu. Żona! Nie pomyślał dotychczas, iż przyjaźń owa z Józią może się tak skończyć. Teraz dopiero myśl ta się zjawiła.

Wydawało mu się to jednak całkiem naturalném. Miał przecie już ręce rozwiązane. Teraz dopiero był wolnym, teraz mógł, przynajmniéj na czas jakiś, dyktować prawa swemu losowi, nie zaś słuchać go ślepo i naginać się do jego wskazówek. Ten poczciwy stryj uwalniał go z wszelkich więzów i czynił panem własnéj woli, panem absolutnym.

Stanął pośród pokoju i zakładając splecione dłonie na głowę, odetchnął szeroko, swobodnie, pełną piersią.

— Ach, Boże! Boże!

Postanowił téż dziś jeszcze rozstrzygnąć to wszystko. Wiktor zapowiedział wczoraj, że ciężka a pilna robota dla jednego z pism, któréj się podjął, zatrzyma go w domu przez całe dwa wieczory. Mógł więc iść sam do Józi, zobaczyć się z nią bez świadków i skorzystać z okazyi, aby jéj wszystko powiedziéć.

I jakby chciał biedz tam zaraz, zapędził się ku drzwiom i dopiero, mając już rękę na klamce, opamiętał się pod dotknięciem chłodnego metalu.

Każdym innym razem byłby sam wyszydził tę chwilową utratę władzy nad sobą. Dziś ucieszyła go ona, dowodziła bowiem tego, co jeszcze, mimo

wszelkich postanowień, mgliste, niejasne, tlało w jego sercu.

Uśmiechnął się znowu.

— Zwolna, zwolna! — szepnął, jakby chciał temi słowy opamiętać się do reszty.

Wzrok jego padł na porzucony na podłodze list. Podniósł go i zasiadając przed biurkiem, począł nanowo przerzucać oczyma.

„Sumka nie do pogardzenia...” „Siedm tysięcy z okładem...” „Z tego trzy ulokowane na naszym domu...”

— A więc to wszystko nie sen!—pomyślał, wpatrując się z pewną przyjemnością w owe wyrazy.

„Ot, wié pan co — pisała daléj pani Kamilla, przybierając mimowoli ten ton poufały — niech pan przyjdzie do nas dziś, około czwartéj. Będę pana czekała...”

Przeczytawszy raz jeszcze te słowa, sięgnął po zegarek. Piąta już dochodziła. Dwie godziny zeszły mu na tych projektach i marzeniach, a zeszły jak jedna chwila.

Nie można było być niegrzecznym. Należało pobiedz natychmiast, a choć oznaczona godzina już minęła, usprawiedliwi się łatwo, a dowiedzie przynajmniéj, iż nie lekceważył sobie tego wezwania.

Ubrał się téż natychmiast, poskładał porozrzucane kartki swojéj rozprawy i w kwadrans późniéj dzwonił już do mieszkania pani Kamilli.

Zanim miał czas usunąć palec z guzika i zanim ostry dźwięk elektrycznego dzwonka przebrzmiał, drzwi rozwarły się przed nim.

— Pani w domu? — zapytał ukazującego się w nich starego służącego.

— Pani? W téj chwili wyszła... Myślałem właśnie, że to pani wraca, że czego zapomniała.

— A!... — szepnął pan Konrad. — Spóźniłem się zatém...

I nie przestępując progu, począł szukać w pugilaresie swego biletu. Niech choć w ten sposób dowie się ta zacna pani, że tu był.

W téj chwili jednak w otwartych drzwiach od salonu ukazała się sylwetka Mani. I ona widocznie myślała, że matka wraca jeszcze po coś.

— Ach, to pan! — szepnęła zarumieniona. — Proszę! Niech pan pozwoli... Michale, proś pana — dodała, cofając się z progu.

Stary sługa odebrał od gościa laskę i pomógł mu do zdjęcia letniego paltota.

— Bo może wybrałem się nie w porę — przemówił pan Konrad, wchodząc do salonu.

Mania wyciągnęła doń rękę na powitanie.

— Ach, to nic! — rzekła równocześnie. — Mama czekała wprawdzie na pana, ale i teraz wróci niebawem. Poszła tylko tu, na drugie piętro, do sąsiadki, prawie nawet nie ubierając się wcale. Można jéj natychmiast dać znać o pańskiem przybyciu...

I jakby chciała wydać odpowiednie polecenie Michałowi, który właśnie drzwi od salonu za gościem przymykał, zwróciła się żywo w tę stronę.

Ale pan Konrad w mgnieniu oka zagrodził jéj drogę i nie dał dokończyć zaczętego frazesu.

— Broń Boże! —zawołał, dotknąwszy mimowoli przy tym ruchu paluszków dziewczęcia swą dłonią. — Nigdy na to nie pozwolę.. Dość już méj winy, żem się nie stawił na czas oznaczony. Nie chciałbym jéj powiększać trudzeniem mamy i przerywaniem sąsiedzkiéj wizyty.

Mania była mu wdzięczną za te słowa, szło jéj bowiem o to, aby nie pomyślał, że ona boi się spojrzeć mu w oczy i zostać z nim sam na sam.

Dla formy téż już tylko odezwała się:

— Ach, to tak zażyłe stosunki, że możemy sobie na wszystko pozwalać. Ale, istotnie, mama wróci za chwilę. Nigdy tam długo nie bawi. Niechże pan siada! Proszę! — dodała.

Widząc zaś, że on obejrzał się już za krzesłem i czeka tylko, aż ona miejsce zabierze, usiadła pierwsza na małéj kozetce pod oknem, raz jeszcze uprzejmym gestem ponawiając swą poprzednią prośbę.

Usiedli trochę niezręcznie, gdyż zadaleko od siebie. Ona bowiem, tracąc naraz całą odwagę, wcisnęła się w przeciwny róg kozetki, nie w ten, na którym pierwotnie usiąść zamierzała. Nadto zaś zauważyli niebawem, iż dzieli ich oboje strumień

jaskrawego światła słonecznego, które, wdzierając się przez nawpół spuszczoną roletę u jednego z okien, nie pozwalało im widzieć wzajemnie swych twarzy.

Rozmowie jednak wcale to przeszkodzić nie mogło; owszém, w tych warunkach musiało ją tylko podsysić.

— Mama pani — odezwał się pierwszy pan Konrad — jest dla mnie tak łaskawa, iż doprawdy nie wiem, czy kiedykolwiek choć przekonać ją zdołam, że umiałem ocenić jéj dobroć. Bo o wdzięczności nawet już i marzyć nie mogę.

— Cóż znowu! Mama pojmuje to tylko, jako swój obowiązek!

— Ach! pani mówi tak przez grzeczność. Używa pani tego zdawkowego frazesu, gdy ja, doprawdy, wyjść z podziwu nie mogę!

— Nie ja! — zaprotestowało dziewczę z uśmiechem — to mama tak powiedziała. Ja tylko powtarzam jéj słowa.

— Ale to istoty rzeczy nie zmienia. Pozostanę wiecznie dłużnikiem i mamy i pani.

— Dziś, przeciwnie, jest pan naszym wierzycielem.

Pan Konrad żachnął się i poruszył na krześle z właściwym sobie w pewnych chwilach brakiem powściągliwości. Narazie jednak nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Po chwili dopiero począł mówić, że nie myślał wcale o owéj schedzie. Co prawda, przychodzi to w porę, rozwiązuje mu ręce, umniejsza trudności i kłopotów. Skłamałby, udając, że mu na tym spadku nie zależy dziś wcale, i że nie błogosławi pamięci nieboszczyka. A jednak to dziwne, bo ponad tém wszystkiem, ponad owym wypadkiem, który, dalibóg, jest dlań najzupełniejszą niespodzianką, góruje to jedno: „jaka ta pani Trzcińska dobra, jakie obie panie łaskawe!” Ta myśl nie chce go opuścić, nasuwając mu pytanie: czém sobie na to zasłużył?

— Widzi więc pani — kończył z chmurą na czole — że to ja pozostanę na zawsze dłużnikiem mamy.

Nie było tym razem odpowiedzi. Tylko z kącika kozetki, na któréj spoczywała Mania, dało się słyszéć lekkie westchnienie.

Pan Konrad teraz dopiero spostrzegł, że struga światła zawędrowała już ku niemu, oświecając go jaskrawo i tém więcéj tając przed nim siedzące w mroku dziewczę.

Mimowoli przysłonił czoło dłonią, jakby chciał po przez ów strumień przyjrzeć się młodéj gosposi.

— Może roletę zapuścić? — odezwał się głosik Mani.

— Pani każe? — pochwycił pan Konrad, podbiegając żwawo ku oknu.

— Nie dla siebie... dla pana...

Puścił sznurek rolety, który już trzymał w palcach.

— Siądę bliżéj — rzekł. — Słońca nigdy wśród murów zawiele...

I ujmując krzesło, na którém siedział, przysunął je zręcznym ruchem ku kozetce.

Jaskrawa smuga światła przestała ich już dzielić. Teraz téż dopiero mogli się łepiéj widziéć, gdyż dotąd rozmawiali z sobą jakby z poza jakiéjś zasłony.

Ale pierwsze spojrzenie, jakie teraz zamienili, zmieszało ich oboje, kładąc tamę swobodnéj dotąd rozmowie.

Z niemałem zdziwieniem dostrzegł pan Konrad w oczach i twarzy Mani jakiś smutek, tak szczery, wielki i głęboki, że nie można go było żadną miarą przypisać zwykłemu zakłopotaniu. Tak czasem patrzyła biedna Józia, mimo wesołéj niekiedy rozmowy, a to podobieństwo owych spojrzeń uderzyło młodego gościa. Ach, tylko że Józia miała zawsze dość powodów do smutku, podczas gdy to dziecko szczęścia?... Mimowoli téż przebiegło mu przez myśl: czy jéj czém nie uraził?—i począł przypominać sobie swoje słowa. Nie, nie mógł jéj niczém urazić, a jednak zdawało mu się niepodobném, aby to ta sama panienka rozmawiała z nim przed chwilą, z poza owego świetlanego strumienia.

Chciał też już odezwać się z tém swojem spostrzeżeniem, gdy w przedpokoju rozległ się znów dzwonek.

— Mama wraca — szepnęło dziewczę, podnosząc się z kozetki.

Pan Konrad wstał także.

— Jest! Więc przyszedł! — słychać było przez drzwi uradowany głos pani Kamilli.

Służący roztworzył drzwi do salonu i zamknął je znów zcicha za wchodzącą panią.

— Witam pana! — zawołała od progu pani Trzcińska. — Przepraszam, żem nie czekała!

— To ja tysiąckrotnie przepraszam, żem się spóźnił — wyszeptał pan Konrad, ściskając z szacunkiem podaną rękę.

— Nic nie szkodzi! Dobrze, że pan przyszedł. Coś mię tknęło tam na górze, pożegnalam się więc i przybiegłam, będąc pewna, że pana tu już zastanę.

Mówiła to, zbliżając się ku środkowi salonu, i naraz wstąpiła w ów strumień niknącego już zresztą blasku.

— Maniutko! — zawołała, przysłaniając oczy.— Jakże mogłaś na to pozwolić!

I zbliżyła się ku nieszczęsnemu oknu, przy którém zresztą i teraz znalazł się znów pan Konrad.

— I to moja wina! — zawołał z uśmiechem. — Deliberowaliśmy właśnie nad tém, czy tę storę za-

puścić. Ot, i moja uwaga przemogła. Uciekliśmy tu, w ten kącik, pozostawiając słońcu swobodne pole działania, którego się tak napierało.

Pani Kamilla uśmiechnęła się. Uradował ją swobodny, wesoły niemal ton, z jakim pan Konrad te słowa mówił.

— Ach, ale i na to jest sposób!—mówiła, zbliżając się do sąsiedniego okna. — I ja cenię słońce, zwłaszcza pod jesień... Otóż tę storę się podciąga...

— Rozumiem! A tę opuszcza! — przerwał pan Konrad, który pozostał przy obwinioném oknie i wykonał jednocześnie to, o czém mówił.

— Naturalnie! — dokończyła w tymże samym tonie pani Kamilla, załatwiwszy się ze swoją storą. — Będziemy mieli teraz i słońce i mniéj trochę blasku...

Zasiedli znów we troje, w tym samym narożniku obszernego salonu, około małego stoliczka przed kozetką, przyczém Mania zajęła poprzednie swe miejsce. Tylko teraz od gościa oddzielała ją matka.

Blady uśmiech wykwitł téż niebawem na wargach dziewczęcia, kłócąc się jeszcze z poprzednim smutkiem. I jéj podobała się widocznie swoboda pana Konrada. Wydawał jéj się teraz innym, niż przy pierwszéj wizycie, i innym był istotnie. Twarz miał ożywioną, a myślące oczy błyszczały jakimś ogniem niezwykłym.

— Muszę się panu pochwalić — przemówiła pierwsza pani Trzcińska — że to ja przyspieszyłam całe postępowanie spadkowe.

Pan Konrad nadmienił znów coś o swéj wdzięczności, spoglądając przytém błagalnie na Manię, jakby chciał ją prosić o przebaczenie, iż musi powtarzać to, co ona już słyszała.

— Ach, to przecież naturalne! — przerwała pani Kamilla. — A wié pan — dodała — znalazłam przypadkiem nawet potwierdzenie tego, o czém się dowiedziałam, dzięki swoim stosunkom. Oto nieboszczyk mój mąż prowadził przez lat kilka rodzaj pamiętnika. Może to za szumna nazwa, niestety bowiem, znajduje się tam tylko suchy spis samych wydarzeń, lecz bądźcobądź jest tam zaznaczony i ten fakt, który nas obchodzi. Właśnie nagotowałam to sobie... Patrz pan!

I biorąc ze stołu gruby, zielono oprawny zeszyt, poczęła przewracać w nim drobno zapisane kartki.

— A może Maniutka już to panu pokazywała? — spytała, przerywając sobie tę czynność.

— Nie, mamusiu...

— A o czemżeście państwo mówili przez ten czas?

Naturalnie to zapytanie zmieszało ich oboje. Pan Konrad spojrzał znów na Manię.

— Sprzeczka o wyrażenia... i... i o to nieszczęsne słońce... zajęła nam tyle czasu — szepnął, nie

tracąc swobody, która dziś już stale towarzyszyła wszystkim jego słowom i poruszeniom.

Był tu już jak u siebie, co pani Kamilla z przyjemnością zauważyła.

— Więc tak — mówiła daléj, wracając do notatnika. — Ot, tu, pod datą 2-go Września... właśnie niedawno minęło dziewięć lat temu... O! proszę!

I poczęła cichym głosem, z pewną trudnością z powodu niewyraźnego pisma, czytać:

„Wziąłem Ignasia D., dawnego kolegę, za rządzcę naszego domu. Dobre człowieczysko, niegdyś talent w swoim rodzaju. Myślałem zawsze, że pójdzie wysoko, wykoleiły go jednak ostatnie zmiany, jak już wielu przed nim. Alem się na nim pod jednym względem nie zawiódł. Był zawsze oszczędnym i dziś wręczył mi do depozytu, niby tytułem kaucyi, trzy tysiące. Jestem pewny, że to uczciwie, krwawą pracą zebrana oszczędność. Wierzy mi tak, że ledwiem go namówił, aby to obwarować należnym skryptem. Nie daj Boże zawieść jego zaufania! Wszystko swoje raczéj stracę, a ta jego oszczędność przepaść nie może...”

— Tyle o tém! — dodała pani Kamilla, skończywszy czytanie i podając otwarty zeszyt panu Konradowi.

Salon zaległa uroczysta cisza. Ten głos z za grobu, o człowieku, który już także dziś w mogile spoczywał, wstrzymał wszystkim słowa na ustach. Mani

zaświeciły nawet łzy w oczach, które starała się siłą powstrzymać.

Pierwsza ocknęła się z zadumy pani Kamilla.

— Widzi więc pan — mówiła, — żem nic nie dodawała, nadmieniając panu poprzednio o ich zażyłéj przyjaźni. Daléj już tylko powtarzają się krótkie wzmianki od czasu do czasu. Przypominam sobie nawet, że przeglądając te notatniki wkrótce po śmierci męża, natrafiłam już wówczas na ten ustęp. Dopiero jednak po onegdajszéj pańskiéj wizycie przyszło mi na myśl uciec się do tych wskazówek i, szukając dziś w nocy uparcie, natrafiłam znów na tę kartkę.

Pan Konrad, wzruszony także, wpatrywał się w zeszyt przez chwilę z pewnem zaciekawieniem, przyczém wzrok jego padł o parę wierszy niżéj, na jakiś nowy ustęp, zaczynający się od słów:

„Nasza rozkoszna Maniutka...”

Przerwał natychmiast czytanie i zwrócił się szybko do pani Kamilli, kładąc zeszyt na stole.

— Przepraszam! Mimowoli mogłem być niedyskretnym!

Pani Trzcińska uśmiechnęła się.

— Ciekawam, co pan byłby wyczytał? — przemówiła, szukając miejsca, na którém przed chwilą spoczywał wzrok młodego człowieka.

— Jakaś pochwała dla pani!—szepnął pan Konrad, zwracając się jednak już wprost do panienki.

— Dla mnie?

Matka podsunęła ku córce pamiętnik, wskazując odpowiednie miejsce, poczém nastała znów cisza, jakby duch zmarłego przeleciał w téj chwili nad zebranymi.

Pani Kamilla, nawiązując pierwsza przerwany wątek rozmowy, poczęła Konradowi tłómaczyć, jak ma sobie postąpić, aby przyśpieszenie, o które już wstępne poczyniła kroki, doszło istotnie do skutku. Wskazywała mu szczegółowo każdy niemal krok, wymieniając odpowiednie adresy i zalecając tu i owdzie powołanie się na jéj znajomość.

— To wszystko stosunki mego męża! — dodała.

Pan Konrad pamiętał każde słowo, ale słuchał z widocznem roztargnieniem. Myśl jego błądziła znowu zdala od tego salonu, choć wzrok wpatrywał się uparcie w Manię, która rumieniła się i bladła naprzemian, czując, że nie może treści tych spojrzeń pochwycić.

Ściemniło się tymczasem i służący wniósł lampę, zawiadamiając równocześnie, iż herbata gotowa.

Gość powstał z widocznym zamiarem pożegnania się, ale pani Trzcińska nie dała mu przyjść do słowa.

— O nie! — zawołała uprzejmie. — Nie zwalniam pana jeszcze z téj wizyty. Nie dokończyłam swoich informacyj. Pozwoli pan z nami szklankę herbaty? Bardzo prosimy.

Nie można było odmówić, zwłaszcza, że w głosie pani domu, obok najuprzejmiejszéj prośby, pan Konrad dosłyszał jakby jakiś rozkaz, któremu nie miał sił się oprzeć. Skłonił się więc tylko.

Miano już przechodzić do jadalnego pokoju, od którego Michał drzwi zcicha otworzył, gdy do salonu wpadł Zdziś, uwolniony właśnie od lekcyi przez swego korepetytora.

— A to mnie wymęczył! — zawołał na wstępie, podbiegając ku matce. — Półtoréj godziny, mamusiu, półtoréj! I gdyby się było nie ściemniło, byłby mnie męczył dłużéj!

Pani Kamilla chciała się odezwać z jakiemś upomnieniem, gdy Zdziś, spostrzegłszy gościa, podbiegł ku niemu obcesowo, widocznie uradowany.

— Ach, to pan! — wołał, nie puszczając dłoni Konrada. — Był tu pan już raz, wiem, ale Maniuta, niedobra, nic mi nie powiedziała! A gdzież pan Marczewski i pan Szwartz? Żeby pan wiedział, jak ja ich polubiłem! Jeszcze nie przyjechali? Pan z nimi nie wyjeżdżał? Bo oni mieli wracać na wieś... Wiem wszystko! — dodał z dumą.

Należało przerwać te jego natrętne zapytania i pani Kamilla uczyniła to istotnie.

— Prosimy! — szepnęła do Konrada, mitygując jednocześnie Zdzisia.

Mania ruszyła pierwsza i zajęła się natychmiast przyrządzaniem herbaty. Michał, baczny na każde

skinienie panienki, podbiegał do niéj od czasu do czasu, starając się jéj w niejedném dopomódz. Pani Kamilla ograniczyła swą rolę gospodyni jedynie na sprawdzeniu, czy czego nie brakuje.

Zanim jednak zdołano zasiąść przy stole, Zdziś, towarzyszący nieodstępnie panu Konradowi, dowiedział się już, iż Marczewskiego i Schwartza lada dzień należy oczekiwać. Jutro lub pojutrze niechybnie się zjawią, bo kursa już się rozpoczęły.

— A tu przyjdą? — spytał jeszcze Zdziś.

— Nie wiem — odparł pan Konrad z uśmiechem.

— Powinni. Ja ich tak lubię!

Zajęto nareszcie miejsca przy stole. Chłopiec, skarcony wzrokiem przez matkę, powstrzymał się od dalszych pytań, dzięki czemu wszczęła się znów ogólna rozmowa.

Poprowadził ją tym razem pan Konrad, poruszając wspomnienia studenckie i zabarwiając opowiadanie swoje humorem, którego sam nawet nie spodziewał się po sobie. Malował otwarcie biedę, jakiéj nieraz i jemu i jego kolegom zażyć przychodziło, ale opowiadał zarazem, jak wesoło znosić to wszystko umieli. Złote czasy! Koncept zastępował nieraz śniadanie, a figiel obiad, i wszystko było jaknajlepiéj.

Zdziś, zajadając z wilczym apetytem, zanosił się od śmiechu przy weselszych ustępach, a siostra

i matka mimowoli mu w tém chwilami dopomagały. Jakaś serdeczna, swobodna atmosfera, gość niewidziany tu bodaj od zgonu nieboszczyka mecenasa, zapanowała wszechwładnie w tym smutnym nieco i ponurym pokoju jadalnym. Weselszéj, milszéj „herbaty wieczornéj" nie pamiętano oddawna.

Godzina zbiegła też znów niemal niepostrzeżenie i gdy pan Konrad, przerywając sam sobie jakieś świeżo wszczęte opowiadanie, powstał, mówiąc:

— Ale ja tu sam siebie bawię temi wspomnieniami, a paniom czas bez miłosierdzia zabieram!

Wówczas z trzech naraz ust podniósł się wesoły a gorący protest i prośba, aby został jeszcze czas jakiś, aby nie uciekał.

— Mój złoty panie! Jeszcze chwilę, chwileczkę chociaż! — prosił najgłośniéj Zdziś, który nie posiadał się z radości i czepiał się obcesowo rąk młodego gościa, jakby go chciał gwałtem zatrzymać.

Ale pan Konrad nie dał się już uprosić. Myśl o Józi przebiegła mu przez głowę i — jak zwykle — zwarzyła naraz całą jego wesołość. Nie gniewał się jednak o to wcale, owszem, błogosławił to przypomnienie, które téż mimowoli nanowo uśmiech jakiś błogi na jego wargi sprowadziło.

Panie myślały przez chwilę, że da się namówić do pozostania, ale widząc jego stanowczość, przestały nalegać. Pożegnanie jednak dużo jeszcze czasu zabrało. Pani Kamilla bowiem uważała

sobie za obowiązek przypomnieć mu swoje wskazówki, Zdziś prosił o przyprowadzenie Marczewskiego i Schwartza, Mania tylko, milcząc, żegnała go swemi rozmarzonemi oczyma. Dostrzegł jéj wzrok i zmieszał się na chwilę, zdawało mu się bowiem, że to Józia nań patrzy. Oprzytomniał jednak dość prędko i wymknął się nareszcie, ale nim stary Michał drzwi od sieni zdołał za nim zamknąć, dobiegły go jeszcze na schody zachwyty Zdzisia i słowa pani Kamilli:

— Rzeczywiście! Cóż to za miły człowiek!...

IX.

Zbiegał ze schodów uradowany i zadowolony z siebie, jakby po spełnieniu jakiegoś dobrego uczynku. Wyszedłszy na ulicę, nie mógł przez chwilę zoryentować się w którym kierunku iść mu należy. Był jakby oszołomiony i czuł, że ma nieprzepartą ochotę pogwizdywać i że trzeba mu będzie całéj siły woli, aby się od spełnienia téj niewczesnéj zachcianki powstrzymać.

— No, no! — szepnął sam do siebie w formie upomnienia, wymijając rączo przechodniów.

Jednocześnie, przywykłszy do badań nad samym sobą, począł rozmyślać, co go tak nastroiło? Czyżby owo ostateczne upewnienie się o czekającym go spadku, który narazie stanowił dlań przecie tak wiele? Może miła atmosfera tego domu, a może wreszcie owe dawne wspomnienia, które tam, tak żywo, stanęły mu w pamięci przy owem szczerem i niewymuszonem opowiadaniu?

Nie, nie! To ten wzrok owéj panienki — toż to Józia i tylko ona jest sprawczynią tego wszystkiego!

Jakże mogło mu to nie przyjść na myśl odrazu?

Nieinaczéj! To myśl o Józi tak go unosi i podnieca. Ma przecie dziś jeszcze ją zobaczyć i zjawi się u niéj tym razem jako poseł dobréj nowiny i to jakiéj jeszcze! Tak postanowił już przecie i tego dokonać musi.

— Prędzéj, prędzéj! — szeptał w nim jakiś głos wewnętrzny.

Zatrzymał się téż na chwilę, jakby z myślą zawołania doróżki, ale niebawem postanowił pójść pieszo. Spóźni się nieco, zdąży najwcześniéj na wpół do dziesiątéj, ale cóż go to już dziś obchodzi? Józia nie jest jeszcze panią swéj woli i musi liczyć się ze względami ludzkiemi, ale jutro — jutro już przecie będzie jego narzeczoną. On sam obwieści to jutro całemu światu.

Powinien jednak skorzystać na czasie, iść zwolna, skupić myśli i ochłonąć. Tak nie mógłby stanąć wobec téj biedaczki. Wydawałby jéj się pijanym, jak... jak czasem Wiktor...

I idąc daléj, począł rozważać, iż Wiktor niczego się jeszcze w téj chwili nie domyśla. Nie wie nawet o spadku. Siedzi pewnie w swéj norze i tłómaczy właśnie swego Spencera. Jak się ta szelma

łatwo nauczyła po angielsku! On, Konrad, druh jego serdeczny, nie wie nawet, jak i kiedy się to stało?

Ba! czegoby ten Wiktor nie potrafił, gdyby chciał. To też nie może przynieść im wstydu — „im," t. j. jemu i Józi, gdy się pobiorą. Trzeba będzie odtąd czuwać nad nim tém więcéj, a teraz łatwo to przyjdzie. Nie będzie konieczności liczyć się z każdym groszem skrupulatnie, jak dawniéj.

Ach, te pieniądze! Czego one nie potrafią!

Z temi myślami, trzeźwy już zupełnie, choć jeszcze pełen wewnętrznego niepokoju, stanął przed domem na Twardéj. Było istotnie już wpół do dziesiątéj. Brama stała jeszcze otworem.

Ponieważ magazyn musiał już być o téj porze zamknięty, pan Konrad więc skierował się wprost od podwórza, ku kuchni. Drogę tę znał już także z podobnych odwiedzin z Wiktorem, a w kuchni zastał właśnie znajomą służącą.

Dziewczyna ta lubiła bardzo Józię i obu młodych ludzi. Wiedząc zaś dobrze, że pani zna ich i nie wzbrania tych wizyt, owszem, czasami sama się do téj trójki przysiada, nie zdziwiła się wcale na widok Konrada.

— Pan sam dziś? — zapytała tylko. — A gdzież ten drugi, brat naszéj panienki?

Gorąco oparów kuchennych owionęło Konrada, nie mógł więc odrazu przemówić.

— Nie ma czasu — rzekł dopiero po chwili, ciężko odetchnąwszy. — Sam przyjść musiałem... Panienka w domu?

— Gdzieżby! A bo to biedactwo da się kiedy do wyjścia namówić! Pani nasza poszła do teatru i chciała ją zabrać, ale...

Machnęła ręką.

— Niech pan idzie! — dodała.

Nie domyśliła się jednak, aby poświecić gościowi, który właśnie musiał przez ciemny salon przechodzić, chcąc dostać się do maleńkiego pokoiczku Józi.

Pan Konrad dał jednak sobie radę i po chwili, zastukawszy cichutko, zlekka drzwi uchylił.

Józia, wiedząc że brat nie obiecał się wcale na dzisiejszy wieczór, nie spodziewała się już nikogo, a tém mniéj samego Konrada. Czuła się właśnie nieco słabszą, nadto zaś dostrzegła, że kaszel wrócił dziś znowu z dawniejszą siłą. Ukończywszy więc dzienne zajęcie, wymówiła się swéj pani od odwiedzin teatru i chciała się wcześniéj położyć.

Wiedziała wprawdzie, iż nie uśnie zaraz, szczególniéj dziś bowiem nie pozwoli jéj na to, mimo znużenia, ten nieznośny kaszel; lubiła jednak, ułożywszy się na łóżku, marzyć z otwartemi oczyma. Przywykła do tego tam, w szpitalu, przynosiło to bowiem ulgę jéj schorzałym piersiom i dozwalało oddychać swobodniéj.

Klęcząc właśnie przy łóżku, za maleńkim parawanikiem, wyklejonym różowemi tapetami, odmawiała pacierz wieczorny, gdy Konrad do drzwi zastukał.

Zdziwiona, zerwała się natychmiast, chwytając instynktownie lichtarz z kasetki przy łóżku i wychylając głowę za parawanik.

Słabe światło migocącéj świecy padło na twarz stojącego w progu gościa.

— Ach, to pan!

I szepcąc te słowa, cofnęła się czemprędzéj dla poprawienia rozebranego już łóżka.

— Zaraz, zaraz! Niech pan chwilkę zaczeka! — mówiła przytem uradowana, ale i zakłopotana cokolwiek.

— Widzę, żem panią już zbudził, panno Józefo! — szepnął pan Konrad, wyczekując przy drzwiach dyskretnie.

— To nic, to nic! Nie spałam jeszcze! — odparła, zarzucając z pośpiechem chusteczkę na ramiona.

Odsunęła wreszcie skrzydło parawanu i podała mu rączkę.

— Proszę, proszę!

Gość nie ruszał się od drzwi, ale i nie puszczał podanéj rączki, tak, że musiała sama wciągnąć go niejako do wnętrza izdebki.

— Ależ można, można! — dodała z uśmiechem, przypisując to jego wahanie zapóźnionéj godzinie.

Dopiero, spojrzawszy mu w oczy przy blasku świecy, którą dotąd jeszcze w lewéj ręce trzymała, zmieszała się cokolwiek. Przyjaciel brata patrzył na nią tak jakoś dziwnie, a dłoń jego drżała, jak nigdy jeszcze. Obawa jakaś ścisnęła jéj serce.

— Zaraz, tylko świecę postawię — szepnęła, aby coś powiedziéć, a korzystając z tego pretekstu, wysunęła zlekka dłoń swą z jego ręki.

Pan Konrad postąpił za nią parę kroków i zasiadł na zwykłem swem miejscu przy stoliku.

Odetchnęła swobodniéj, ale jeszcze bała się spojrzeć mu w oczy, poczęła więc świecić stojącą na stole lampę, gawędząc dla dodania sobie odwagi:

— O! szkło jeszcze ciepłe. Widzi pan więc, że niedawno lampę zgasiłem... O, tak! A świecę się odstawi! Tak!...

Teraz téż dopiero przyszło jéj na myśl to, iż Konrad przybywał dziś bez Wiktora.

— Pan sam? — spytała zaraz. — Czy może stało się co... z Wiktorem? — dodała ze drżeniem w głosie.

Pan Konrad uśmiechnął się mimowolnie.

Zawsze ten Wiktor! Nie myślała nigdy o sobie: on, brat, był zawsze u niéj na pierwszym planie.

— Nie, nie z nim! Ze mną! — odpowiedział, nie chcąc dłużéj pozostawiać jéj w niepewności.

Józia złożyła rączki jak do pacierza.

— Znowu co złego? — spytała, patrząc mu w oczy ze smutkiem i obawą.

Roześmiał się już tym razem głośno, serdecznie, wiedząc, że jednêm słowem może przecie tę jéj trwogę zażegnać.

— Przeciwnie! Coś dobrego, nieprzewidzianego! — zawołał.

Józia odetchnęła swobodniéj.

— No, to chwała Bogu! — rzekła. — A już się tak bałam!

Widząc zaś, że on nie spuszcza z niéj oczu, a ma ciągle jakiś uśmiech na ustach i widocznie bawi się jéj zakłopotaniem, dodała z figlarnym grymasem:

— Niech pan się ze mną nie drażni, panie Konradzie! Niech pan powie, co to takiego...

Nigdy jeszcze dźwięczny, słodki jéj głos nie wydawał mu się taką czarowną muzyką. Nie mógł téż już dłużéj opierać się jéj prośbie, która mu się w głąb serca wdzierała.

— Ot, co tu dużo gadać! — zawołał, starając się nadać głosowi swemu za jakąbądź cenę pozór obojętności. — Odziedziczyłem parę tysięcy.

— Parę tysięcy? — zapytała Józia, jakby oszołomiona.

— Pięć, i to z czubem!

— Po kim?

— Po stryju! Wie pani przecie, że umarł.

Powieki na oczach Józi poczęły biegać szybko, jakby przed nagłym jakimś blaskiem, którego znieść narazie nie mogła. Nie olśniła jéj atoli owa wiadomość. Zgoła co innego było powodem wrażenia, jakiego doznała. Oto w téj szlachetnéj duszy tyle było jakiéjś wrodzonéj delikatności, iż ten zysk na czyimś zgonie, o którym tak bez ogródek wspomniał przyjaciel brata, raził ją widocznie. Zdziwienia zaprzećby się nie mogła, ale i smutek jakiś szczery odmalował się w téj twarzy.

Konrad sam teraz uczuł rozdźwięk między tém, co z ust mu wybiegło, a tém, co w gruncie serca jego tkwiło. Nie w ten sposób umyślił sobie powiadomić Józię o swojem szczęściu. Żałował téż, iż wygadał się tak odrazu. Mógł przecie bawić się tém jeszcze czas jakiś, mógł lepiéj to wyzyskać.

Siląc się na obojętność, był poprostu okrutnym i dla niéj i dla siebie. Okoliczności sprawiły, iż to, po czem obiecywał sobie tak wiele, musiało przejść bez wrażenia, a raczéj sprowadzić ten niemiły dysonans, który teraz i jego samego raził.

Nie można jednak było cofać się już teraz. Począł téż, gnębiąc w sobie uczucie niesmaku, mówić daléj zimno, z lekceważeniem:

— Tak to bywa! Co robić! Mam teraz pieniądze. Jestem nareszcie panem swéj woli i przychodzę właśnie podzielić się tą wieścią z panią, panno Józefo!

Upajał się sam swemi słowami, a raczéj projektami, jakie z tym faktem w myśli jego się wiązały, i dziwił się zarazem, że jéj pociągnąć za sobą nie może.

— Pani się z tego nie cieszy? — spytał.

Nie doczekał się rychłéj odpowiedzi. Patrząc więc na nią z rodzajem jakiegoś wyrzutu, podniósł się szybko z krzesła, przechylił nad stolikiem, który przedzielał go od dziewczyny, i pochwycił jéj rękę.

— Proszę rozpogodzić czoło — mówił, nie puszczając dłoni, któréj mu zresztą Józia nie broniła, jakby wszelka samowiedza opuściła ją w téj chwili zupełnie. — Proszę się uśmiechnąć. No, choć cokolwiek! Przecie ja tu po ten uśmiech biegłem!

Spojrzała mu w oczy i dopiero teraz zaczynała pojmować, że to wszystko i jéj dotyczy, że i ona musi przyjąć jakiś udział w téj zmianie, o któréj donosił pan Konrad.

Tyle zaś dostrzegła jakiéjś tajonéj radości w jego spojrzeniu, że istotnie uśmiech okrasił jéj blade wargi.

— O tak, tak! O to mi właśnie chodziło! — ciągnął daléj młody człowiek, pochwalając temi słowami ożywienie, jakie dostrzegł na twarzy dziewczęcia. — Możeby zresztą zostawić umarłych w spokoju i więcéj już o tym spadku nie mówić. Jestem dziś i bez niego bogaty, a wie pani czemu?

Zatrzymał się na chwilkę, patrząc na rosnące jéj zdziwienie.

— Bom myślał cały dzień o pani! — kończył.

— O mnie?

Ciemne jéj oczy przysłoniła jakaś mgła. Chciała téż zręcznie wysunąć rękę z dłoni młodzieńca.

On jednak ani myślał pozbyć się téj zdobyczy. Owszem, czując, że ręka ta chce mu się wymknąć, uścisnął ją mocniéj i w mgnieniu oka usta swe do niéj przycisnął.

— Panie Konradzie!

Nowe uściśnienie biednéj, spracowanéj rączki i nowy na niéj pocałunek były całą odpowiedzią.

— Co pan robi? — szepnęła Józia, blednąc okrutnie i czując, że ostatki jéj sił znikają zupełnie.

Okiem lekarza ocenił Konrad ten krytyczny moment. Dziewczyna była istotnie blizką omdlenia.

Pragnąc téż dać jéj chwilę wytchnienia, a nadto czując, że i sam powinien się opamiętać i zebrać myśli, uwolnił teraz dobrowolnie jéj rękę.

Wstał, rozprostował się, przetarł czoło dłonią, jakby chciał powstrzymać tłoczące mu się pod czaszkę myśli, ale nie usiadł już na dawnem miejscu.

Nastała cisza. Słychać było tylko ciężki oddech dziewczęcia, które starało się stłumić gwałtowne uderzenia swego serca.

I on teraz mógł bicie swych pulsów policzyć, i jemu poczęło brakować oddechu.

Przeszedł się zcicha po maleńkim pokoiku i naraz, zatrzymując się znów przed wtuloną w swój ulubiony kącik Józią, szepnął, jakby kończył już tylko myśl jakąś, zrodzoną w mózgu a niewypowiedzianą dotąd słowami:

— Przecie ja nie mogę pani powiedziéć nic nowego, o czembyś już nie wiedziała. To darmo! Nie można bezkarnie znać się tak, jak my, i żyć tyle czasu razem. Prawda, że nie tak wyobrażałem sobie tę chwilę, w któréj muszę nareszcie powiedziéć pani, co myślę o tobie i czem dla mnie jesteś, ale dłużéj już tego taić nie mogę i nie powinienem.

Odetchnął swobodniéj i zdając sobie sprawę z tego, co czyni, ugiął przed nią kolana i znów pochwycił jéj rękę, która właśnie, jakby chciała ten ruch jego powstrzymać, wymknęła się z pod osłaniającéj ramionami chusteczki. A nie było w tem jego uklęknięciu nic teatralnego, nic obliczonego na efekt: owszem, wydawało się to naturalnem, koniecznem. Ten nieszczęsny kącik, w który ona się wcisnęła, nie pozwalał mu inaczéj zbliżyć się do niéj i spojrzeć jéj wprost w oczy, jak tylko przez to ugięcie kolan.

— Ach, tak! — ciągnął daléj z rodzajem jakiéjś rezygnacyi, teraz dopiero widząc pełne wezbranych łez oczy dziewczęcia. — To przyjść musiało! Kocham i jestem pewien, że to uczucie oddawna już tkwiło w głębi mego serca!... O, tak! nie chciéj mi

przeczyć, nie przerywaj, nie mów sama nic, wysłuchaj tylko i osądź! Bo widzisz, ja myślę, że patrzyłem na ciebie z miłością bodaj już wtedy, gdyś garnęła się ku nam, jako taka, o! taka, mała dziecinka, szukając miejsca dla siebie we wspólnych naszych z Wiktorem zabawach... Pamiętasz?... A potem... Boże mój, Boże!.. Ty nawet nie domyślałaś się tego wcale i nie mogłaś się domyślać... Ileż to razy potem myśl o tobie zjawiała się uparcie w méj głowie, ile razy byłaś mi wszystkiem na świecie!... Ach, tak!... Już to samo, że mogę ci to nareszcie powiedziéć, sprawia mi niewypowiedzianą rozkosz!

Chciał jeszcze daléj mówić, lecz przerwał, widząc że łzy, wezbrane pod powiekami ukochanéj, popłynęły spokojnie dwoma strumieniami po jéj twarzyczce

— No, cóż znowu! — upomniał. — No, nie płacz!

Odebrał jéj chusteczkę, po którą właśnie sięgała i nie wstając z klęczek, począł z kobiecą niemal delikatnością łzy jéj tą chusteczką osuszać.

Była to jednak istna praca Syzyfa. Zaledwie jeden strumień zniknął, już w jego ślady wstępował nowy. Po chwili też błogość jakaś jaśniała już na ślicznéj twarzyczce, ale łzy płynęły ciągle, poczynając teraz gonić się pośpiesznie, płacząca bowiem drżała, jak liść osiny.

— No, cicho! Złota, jedyna!

I to nie pomogło: owszem, każde nowe odezwanie się jego zdawało się te łzy podsycać. Cichy płacz przeszedł téż nagle w głośne, gwałtowne łkanie.

Konrad zrozumiał teraz, że należy ten paroksyzm przeczekać i dać jéj się wypłakać.

Odsunął się téż cokolwiek, pozostawiając chusteczkę w jéj rękach. Pochwyciła ją chciwie i przycisnęła silnie do oczu.

Zwolna łkanie jéj znowu w cichy płacz poczęło przechodzić. Widać było, że drży jeszcze ciągle i płacze, ale już stara się panować nad sobą.

Naraz téż, przycisnąwszy mocniéj chusteczkę do oczu, odjęła ją śpiesznie, jakby chciała przekonać się, że to wszystko nie sen, nie złuda, że on jest przy niéj istotnie.

— Boże, Boże! — wybiegło z jéj ścieśnionéj piersi

On znów teraz nachylił się ku niéj, poszukał jéj ręki i, tonąc oczyma swemi w zroszonych jeszcze łzami jéj źrenicach, począł nanowo przerwane wyznanie, jakby zależało mu na tém, aby nie dopuścił jéj jeszcze do słowa i mógł wypowiedziéć wszystko, czego pragnął.

— Więc tak! Kocham cię! — wołał, całując z szacunkiem końce jéj paluszków. — Musisz nareszcie tego wysłuchać, moja złota, droga, jedyna! Musisz pozwolić mi mówić, bo czuję, że gdybym taił

to dłużéj, nie miałbym chwili spokoju. A nie myśl, że przychodzi to nagle, że powoduje mną cośkolwiek, prócz tego, iż dłużéj już sam milczéć nie chcę i nie mogę. Prawda, że ów spadek, który rozwiązał mi ręce, czyniąc mię choć na jakiś czas niezależnym, przyśpieszył to moje wyznanie. Teraz dopiéro bowiem mogę coś dla ciebie poświęcić, mogę jakąś ulgę twéj doli zapewnić. To wszystko prawda i próżno-bym się tego zapierał! Ale mówiłem ci już, jak oddawna cię kocham, i wierz mi, nic nie dodaję, nie kłamię! Głupstwem téż wydaje mi się wszystko, co mówią zwykle o wolnéj woli człowieka. Nas bowiem los, przypadek, połączył już oddawna i przeznaczył wzajemnie dla siebie. Ach, i ja dziś błogosławię to przeznaczenie!

Odetchnął na chwilę, wyczerpany, znużony, ale jakby czuł, że nie wypowiedział jeszcze wszystkiego, począł znów zaraz:

— Więcéj ci nawet powiem, moja złota! Oto były chwile, żem odpędzał te myśli o tobie, był czas, że następowały w nich jakieś głuche przerwy. I wtedy sam nie wiedziałem, co mi jest, ale było mi źle. Pamiętam, że gdyśmy zostali sierotami i rozbiegli się po świecie, opuszczając ten dom, który był niemal wspólną naszą kolebką, myśl o tobie coraz rzadziéj się wtedy zjawiała. Nie widziałem cię wówczas całe trzy lata! Ale czy wiész? był to tylko rodzaj wytchnienia, spoczynku, jakiegoś snu letar-

gicznego téj mojéj miłości, bo gdym znów, dzięki nawiązanym nanowo stosunkom z Wiktorem, spotkał się z tobą — pamiętasz? — uczułem, że miłość ta zbudziła się znowu w mem sercu. Odtąd próżną już była wszelka z nią walka. Oddawna sam uznałem się zwyciężonym, tylkom tego powiedziéć ci nie mógł i nie chciał...

Drżąc ciągle, słuchała tych jego słów, niby jakiéjś niebiańskiéj muzyki, oczarowana, zamagnetyzowana niemal jego wzrokiem. Od czasu do czasu łza radości zjawiała się jeszcze na jéj rzęsach i znów cofała się czémprędzéj. Czuła téż dobrze, że nareszcie należy jéj z czemś się odezwać, obawiała się jednak, że zamiast słów, wyrwie się z jéj piersi tylko krzyk jakiś nieludzki, krzyk szczęścia. Poddawała się więc bezsilna upojeniu, jakie ją ogarniało, i tylko uściskiem ręki odpowiadała co chwilę na każde jego gorętsze słowo.

On widział zachwyt, radość i szczęście, malujące się na twarzy biednego dziewczęcia, i to mu wystarczało. Taką nawet chciał ją widziéć w podobnéj chwili, oniemiałą, bezsilną, a przecież nad wyraz szczęśliwą i umiejącą to szczęście samemi oczyma wyrazić.

— Nie mówiłem ci dotąd, że kocham — ciągnął daléj, korzystając z jéj milczenia, — prawda, nie mówiłem; ale czyżbyś ty istotnie mogła była tego nie dostrzedz? Wy przecie jesteście takie

domyślne! Ach, to nawet i dla Wiktora, gdy się dowie, nie będzie żadną nowiną, choć, wierz mi, nigdyśmy z sobą o tém nie mówili. Jakbym go już widział! Machnie ręką, najeży się swoim zwyczajem i powie chmurno, jakby się oburzał: „Wiem przecie!”

A przy tych ostatnich słowach tak wybornie pochwycił minę i głos Wiktora, że Józia uśmiechnęła się mimowolnie.

— Tak, tak będzie! — mówił daléj, przytuliwszy znów usta swe do jéj ręki i odzyskując odrazu zwykłą swobodę. — To téż, choćbyś mi teraz naprzekór powiedziała, żeś nie domyślała się dotąd niczego, choćbyś najświętszą minkę zrobiła — a potrafisz to, o potrafisz! — choćbyś przysięgała nawet, żeś nic temu nie winna, nie uwierzę, jak mi Bóg miły, nie uwierzę! Zabrałaś mi serce i wiész o tém dobrze, i... i choć trochę mię lubisz! Inaczéj oczy twoje kłamały, dobroć twoja kłamała, radość kłamała, inaczéj, ach, musiałbym sobie powiedziéć, żem był ślepy, a przecie ja mam oczy, mam, — prawda?

I wpadając daléj w ten swobodny, żartobliwy ton, dodał czemprędzéj:

— No, powiedz, że mnie tu nie lubią, nie znoszą, nie chcą widziéć więcéj na oczy? Powiedz! Przedewszystkiem jednak pozwól, że wstanę. Nigdym, bodaj w kościele, nawet tak długo nie klęczał!

Wstając jednak sam, ujął ją za obie rączki

i jednym zręcznym ruchem wyciągnął z ulubionego kącika.

Szczery, radosny uśmiech okrasił jéj usta.

Była mu wdzięczną za ten zwrot ku swobodzie, który czynił zeń znów dawnego, dobrego znajomego, a i jéj nareszcie pozwalał być zwykłą Józią. Powaga poprzedniéj chwili, mimo całéj rozkoszy, jaką z sobą przyniosła, przygniatała ją przecież. Teraz dopiéro, doznawszy jakiéjś ulgi, czuła, że jéj usta nareszcie się rozwiązały.

Wyciągnięta na środek pokoiku, załamała rączki, szepcąc, jakby do siebie:

— Boże! Czém ja sobie zasłużyłam na to szczęście? Czem? czem?

Konrad, widząc ją taką bezsilną, słaniającą się niemal, a śliczną w tém swojem zakłopotaniu, uczuł nieprzepartą pokusę pochwycenia jéj w ramiona i przytulenia do swojéj piersi.

Powstrzymał się jednak i ujął tylko jéj splecione rączki.

— Tém — począł w tym samym, zwykłym swoim żartobliwym tonie, który ona tak u niego lubiła — tém, że byłam zawsze śliczną, dobrą, cacaną panienką! A cichą, a łagodną, a pracowitą, a siostrą dla brata taką, że podobnéj i ze świecą nie znajdzie na Bożym świecie! Tém, i niczém więcéj!

Czując zaś, że mimowoli wpada znów w jakąś rzewność, dodał:

— No, ale czas ucieka, a ja nie mogę się doczekać odpowiedzi na zadane poprzednio pytanie...

Józia wysunęła rączkę z jego dłoni i poczęła mrugać oczyma, jakby istotnie chciała sobie coś przypomnieć.

— Pytanie? Jakie? — szepnęła naiwniéj.

— Powiedziałem przecie: „kocham" i chciałbym teraz echo tego wyrazu usłyszeć...

— Panie Konradzie!

— Masz tobie! — zawołał wesoło. — Ależ to najfałszywsze echo! Ten pokoik, jak widzę, nie jest wcale akustyczny!

Uśmiechnęła się mimowolnie, chociaż łzy znów zaświeciły w jéj oczach.

Spojrzała przez nie, ale nie mogąc nic dojrzéć, pochwyciła tylko instynktownie dłoń jego i uścisnęła ją mocniéj.

— Niech panu te łzy moje odpowiedzą! — szepnęła.

Teraz już Konrad nie był panem siebie. Przyciągnął ją ku sobie i przytulił główkę jéj do swoich piersi.

Nie broniła się. Była bezwładna, bezsilna.

Milczeli oboje przez chwilę.

— Łzy, to najgorsza odpowiedź — przemówił wreszcie Konrad, korzystając, pomimo wszystkiego, z okazyi i w słuchując się z uwagą w ciężki oddech dziewczęcia. — Ale na dziś muszą mi wy-

starczyć. Protestuję tylko przeciwko temu „pan!” Cóż znowu! Trzeba sobie dawne czasy przypomnieć, te czasy, gdy to się za mną i za Wiktorem biegało z prośbą o przyklejenie głowy lalce... „Wiktol, Konlad...” Pamiętasz?

Uśmiechnęła się do tych wspomnień, kryjąc znowu rozpromienioną twarz na jego piersi.

Teraz, przy tém nowém zbliżeniu, jeszcze wyraźniéj doszło jego uszu odzywające się w jéj piersiach rzężenie, które widocznie starała się przed nim utaić. Nie udało się to jednak biedaczce i naraz ostry kaszel, tém gwałtowniejszy, że powstrzymywany, począł wstrząsać jéj piersią

— Widzisz! Znowu ten kaszel! — szepnął smutno Konrad.

— To nic! — odparła śpiesznie. — Umęczyłam się trochę, bo tyle dziś miałam do roboty. Ale teraz już nie będę chorowała! Teraz muszę być zdrowa... Zobaczy pan!... zobaczysz! — dodała, poprawiając się zaraz.

— Tak! Musisz być zdrową! — odparł Konrad, myśląc o projektach, z któremi biegł tu dzisiaj. — Ale, widzisz, trzeba się szanować, oszczędzać. Właśnie z tém tu przyszedłem... Siądź, słuchaj!

I chciał podprowadzić ją ku dawnemu miejscu, ale uczuł jéj opór. Nie chciała odczepić się od jego piersi.

— Kiedy mnie tak dobrze przy tobie!—mówiła, zaplatając już śmieléj ręce na jego ramionach.

— Ale stoisz, a to cię nuży! Siądź!

Poskoczył i zesunął dwa krzesła tak, aby stolik nie przeszkadzał już im usiąść blizko siebie. Nie było tu takiéj przytulnéj kozetki, jaką widział tam, w salonie pani Trzcińskiéj, przed wieczorem. I tu jednak było im dobrze.

— Tak!—rzekł, zadowolony ze swego dzieła.— Możemy być przy sobie, a nie będziesz się przynajmniéj męczyła.

— Jaki pan... jakiś ty dobry! — szepnęła uradowana.

Wzruszenie jednak szkodziło jéj zawsze, znowu więc zachłysnęła się kaszlem.

Pochwycił jéj rozpalone rączki i przeczekawszy nowy atak kaszlu, począł:

— Nie możesz na zimę tu zostać. Musisz wyjechać.

— Ja? Gdzie?

— Daleko! Na południe? Obmyśliłem już to wszystko! Tam odzyskasz zdrowie prędzéj, odzyskasz z pewnością.

— Jechać? sama?

— Ze mną!

— Bez Wiktora?

Uśmiechnął się, oczarowany têm jéj zakłopotaniem.

— Pojedziesz przecie już jako moja żona! — szepnął.

Ostatnie to słowo spadło na biedną dziewczynę jak grom i ogłuszyło ją narazie. Krzyk jakiś radosny, a ledwie dosłyszalny, zamarł na jéj wpół otwartych usteczkach.

Przycisnęła skronie obiema dłońmi, jakby w obawie, że pulsa mogą je rozsadzić, spojrzała ukochanemu w oczy, pragnąc w nich wyczytać potwierdzenie tego uroczego słowa, i w mgnieniu oka, zanim się spostrzegł, pochwyciła jego rękę i przycisnęła do niéj swe rozognione wargi.

— Okrutna! — zawołał Konrad, nie mogąc już zapobiedz temu, co się stało.

Czuł, że teraz już nie zdoła dłużéj panować nad sobą. Chwilkę tylko jeszcze, chwilkę tak małą, jak mgnienie błyskawicy, walczył z ogarniającą go myślą i naraz, przyciągnąwszy główkę ukochanéj ku swojéj twarzy, spoił wargi swe z jéj wargami w szalonym, gorącym pocałunku.

Nigdy nie mógł sobie późniéj przypomniéć, jak długo to trwać mogło.

Bielmo jakieś zasłoniło mu oczy. Nie widział już teraz nic przed sobą, czuł tylko, iż dziewczyna broni mu tych warg swoich, zawstydzona, blizka omdlenia; usłyszał téż znowu: „Panie Konradzie,” potém tylko „Konradzie,” wreszcie jakieś stłumione westchnienie, i wargi owe, od których nie miał siły

ust swych oderwać, poczęły stygnąć i sztywnieć. Nakoniec główka dziewczęcia pochyliła się wtył na poręcz krzesła, śliczne oczy zgasły, przysłonięte powiekami, a rączki opadły bezwładnie po bokach.

To go dopiero opamiętało.

Zerwał się z krzesła, ukląkł przed omdlałą i począł ją cucić, szarpiąc za ręce, to znów chwytając ją wpół i przytulając do swojéj piersi.

— Widzisz, okrutna! — wołał. — Widzisz! Samaś mnie wyzwała! Samaś temu winna! Boże! Boże! Zbudź się! Przyjdź do siebie, droga, złota, jedyna!

Przebiegło mu już przez myśl zawołać o pomoc, gdy omdlała otworzyła znów oczy, patrząc w twarz jego z uroczą wstydliwością dziewictwa, ale już i z jakimś zwolna błogim, na wargach zjawiającym się uśmiechem.

Lękał się teraz przemówić cokolwiek, nie śmiał dotknąć jéj ręki; tonął tylko oczyma w jéj źrenicach.

Trwało to długą chwilę.

— Ach — szepnął wreszcie, widząc, że dziewczę zupełnie przychodzi do siebie. — Jakżeś ty mnie zastraszyła, brzydka, niedobra!... Przeceniłem twoje siły!... Ale bo to, coś uczyniła — mówił daléj, mając na myśli ów pocałunek, jaki na jego ręce złożyła — było okrutném. Ja teraz będę musiał tę rękę swoją chyba w ramki oprawić, jak poświęcaną... Ach, Józka, Józka!

Uśmiechniona, uszczęśliwiona, wzięła go za obie ręce i poczęła dźwigać z klęczek.

— Siądź tu, obok mnie! — prosiła.

Usiadł posłusznie, ona zaś, czując się osłabioną, oparła głowę na jego piersiach.

Teraz na nią przyszła kolej zwierzeń. Chciała mówić i prosiła, aby jéj mówić pozwolił.

— Pan Bóg jest dla mnie za dobry! — zaczęła zwolna, szeptem, jakby spowiadała się sama przed sobą. — Ja nawet nie prosiłam Go nigdy o to szczęście, jakie dziś mię spotyka, bo ono wydawało mi się niepodobném do uproszenia. Modliłam się tylko o szczęście dla ciebie. Ale żebym ja... ja sama... mogła choć odrobinę szczęścia ci przysporzyć, o tém nie śmiałam marzyć... Nie, nie! to musi być sen tylko!

Krótki, suchy kaszel, odbijający się bolesném echem w jego sercu, przerywał jéj mowę od czasu do czasu; mimo to, ani myślała usłuchać jego perswazyj.

Trzeba, żeby raz nareszcie dowiedział się o wszystkiem. Bo i ona walczyła długo sama z sobą, i ona odpychała od siebie te myśli o nim. Ale on, jakby się uwziął, był coraz lepszym i dla niéj i dla Wiktora. Gdyby nie ta jego dobroć, może by już dziś nie żyła... Zawsze bowiem, gdy go brakło, siły opuszczały ją zupełnie. I ostatnim razem, gdy wyjeżdżał tego lata, choć pożegnał ją tak ser-

decznie... tak przyjaźnie... przecież zwątpiła już o wszystkiem. Mieli się nie widzieć całe trzy miesiące, a to było nad jéj siły. Zaraz téż zachorowała mocniéj i wtedy to zdawało jéj się, że musi umrzeć, że powinna nawet usunąć mu się z drogi, cicho, niepostrzeżenie.

— Ale i w grobie byłabym cię jeszcze kochała!— dodała, kończąc swoje zwierzenia.

W przyległym saloniku dały się słyszeć czyjeś kroki. To pani Dalecka wracała z teatru.

— Powiedzieć jéj o wszystkiem? — spytała Józia, mając na myśli swoją dobrodziejkę. — Ją to ucieszy! Matką mi jest prawie!

— Powiedz, powiedz! — odparł Konrad, całując raz jeszcze obie rączki ukochanéj. — Ja sam rozgadam to jutro całemu światu!

Drzwi od pokoiku uchyliły się cichutko. Józia podbiegła na spotkanie wchodzącéj.

— Nie śpisz jeszcze? — zapytała troskliwie poczciwa kobieta.

Dziewczę, zarumienione, wskazało wzrokiem Konrada.

— Ach! witam pana! — szepnęła pani Dalecka, spostrzegając gościa. — Teraz już rozumiem, dlaczego Józi nie mogłam na wyjście z domu namówić.

I pogroziła im obojgu z uśmiechem.

— Ale, kiedym pana jeszcze zastała — mówiła

dalej — to proszę na herbatę. Jest gotowa. Proszę!

Przeniesiono się do saloniku, gdzie służąca wniosła mały stoliczek. Rozmowa jednak nie kleiła się jakoś i pani Dalecka musiała mówić za troje.

Dopiero też przyjrzawszy się baczniéj obojgu milczącym, domyśliła się, że tu coś zajść musiało.

Przypuszczała jednak jakąś sprzeczkę i dopiero po chwili spostrzegła, iż była w błędzie.

Panowała tu widocznie najprzykładniejsza zgoda. Młoda para była w najlepszéj komitywie i pomimo uporczywego milczenia, porozumiewała się wybornie wzrokiem i przelotnemi uśmiechami, które od czasu do czasu zjawiały się mimowolnie na rozpromienionych twarzach.

Dostrzegłszy to, poczciwa kobiecina teraz dopiero zrozumiała, iż czeka ją jakaś nowina. I on i ona mieli jéj widocznie coś do powiedzenia i czekali tylko sposobnéj chwili.

— Muszę się doktorowi poskarżyć — rzekła, zwracając się do Konrada. — Bo Józia znowu źle mi się sprawuje. Kaszle nanowo!

— Zauważyłem to także — odparł pan Konrad. — Myślę też sam zająć się kuracyą panny Józefy. Tylko, że przytém będę musiał i ją ztąd zabrać...

— Zabrać? Jak? Gdzie?

— Trzeba!

— Może znów do szpitala? O! na tobym już nie pozwoliła! Wtedy... przed dwoma miesiącami... to co innego. I ja sama byłam wtedy niezdrowa i pana tu nie było. A pan Wiktor mówił, że odda ją tam pod opiekę samych profesorów... Przekonywał, namawiał, ot i namówił... Ale teraz...

— Nie pójdzie do szpitala — zaczął pan Konrad, urwał jednak na tém, widząc błagalny wzrok Józi, która snać nie chciała jeszcze wypowiedzieć ostatniego słowa, rozkoszując się tą lubą tajemnicą.

Zdradził ją atoli uśmiech i rumieniec.

Widząc téż, że niema już wyjścia, sięgnęła nagle do ręki opiekunki i przytuliła do niéj swe usta.

— Ach, pani! pani! — szepnęła.

Na twarzy pani Daleckiéj odbiło się zdziwienie. Pytający swój wzrok przeniosła z Józi na Konrada i dostrzegła, że i on sięga po jéj dłoń, jakby ją pragnął uścisnąć i wyrazić jéj przez to swą wdzięczność, któréj w słowa narazie ubrać nie był wstanie.

Myśl jakaś przebiegła jéj przez głowę i wzrok nagle się rozjaśnił.

— Ach, tak! — zawołała, dorozumiewając się nareszcie wszystkiego.

Konrad potwierdził ten domysł skinieniem głowy i nowym uściskiem jéj ręki.

Nastała uroczysta cisza.

Poczciwa kobieta pod wpływem wzruszenia długo nie mogła słowa przemówić i tylko ściskała tulącą się do niéj dziewczynę.

Zwróciła się wreszcie do Konrada:

— Bóg to panu nagrodzi! — szepnęła ze łzami w oczach.

X.

Nazajutrz, około południa, przyjechali Schwartz i Marczewski. Wracali rozbawieni, rzeźwi, pełni nowéj jakiéjś ochoty do życia, ale zarazem i stęsknieni za Konradem. Nie wiedzieli wcale, co się z nim dzieje, na trzy listy bowiem nie otrzymali ani słówka odpowiedzi.

W drodze téż nawet umawiali się, że nie puszczą mu tego bezkarnie i muszą dać mu poznać swoją urazę.

— Wiesz, Antek? — mówił Marczewski. — Ja do niego pierwszy nie pójdę!

Schwartz z początku chciał Konrada usprawiedliwiać.

— Bo to — mówił — niewiadomo, co on tu mógł mieć do roboty... Śmierć stryja. . interesa. .

Ale Kaziek nie chciał słuchać żadnych perswazyj.

— Niewiadomo! — przerwał, przedrzeźniając.— Tém gorzéj! Byłoby wiadomo, gdyby „panu doktorowi" chciało się było odpisać... Nie pójdę! Niech on mię teraz poszuka!

Antek zgodził się ostatecznie na zdanie kolegi.

12*

— Niech nas poszuka!

Ale ciekawość i tęsknota przemogły, zwyciężając wszelkie postanowienia.

W parę godzin po przybyciu, rozszedłszy się pod pozorem interesów, spotkali się obaj na schodach u drzwi nowego mieszkania przyjaciela.

Chcieli udawać, że się nie widzą lub nie poznają, ale na to sień była zawidna.

— Mówiłeś, że idziesz do babki na Włodzimierską? — zaczął pierwszy Schwartz, zbliżając się do dzwoniącego zapamiętale kolegi.

— A i tyś mówił, że idziesz do krawca?

Antek machnął ręką.

— Ja! Cóż tam ja! — rzekł. — Łgałem, bom wiedział, że nie wytrzymam!

— No, i ja! Trudno! — odparł Marczewski i zadzwonił raz jeszcze gwałtownie, mszcząc się na niewinnym dzwonku.

Nic to jednak nie pomogło.

— Widocznie niema go w domu — szepnął.

— Ale służący być musi — zauważył Schwartz.

— O, o! A na cóż jemu teraz służącego? Przecie pacyentów jeszcze nie przyjmuje... Nie znasz go to zresztą... Przywykł sam sobie wystarczać!

— Ale gdzie jest o téj godzinie?

Marczewski wydobył zegarek.

— Prawda! Gdzie?... Piąta!

Nie było żadnéj rady i trzeba się było cofnąć od

drzwi przyjaciela. Postanowili jednak zajrzéć tu jeszcze za godzinę, ale już wspólnie, bez wybiegów.

Schodząc ze schodów, zaczął pierwszy Schwartz:

— No, ale gdzieś ty się, Kazik, dowiedział o jego nowém mieszkaniu?

— W biurze adresowém. Akurat był już wciągnięty.

— A wiesz, jak ja się dowiedziałem?

— No?

— Spotkałem Zawadzkiego.

Marczewski skrzywił się, jak zawsze, ilekroć była mowa o czémś, czego nie znosił.

— E! powiadam ci, inny człowiek!—ciągnął daléj Schwartz, dostrzegłszy niechęć przyjaciela. — Najprzód ubrany bardzo dobrze, prosto z igły. Potem wesoły, szczęśliwy, rozbawiony, a przytem, mówię ci, szełma taka dowcipna, kostyczna! Urodzony satyryk!

— I cóż? — spytał Marczewski, udając, że go to mało interesuje.

— A no, gdym go spotkał, pomyślałem zaraz, że od niego dowiem się napewno, gdzie Konrad mieszka. Zaczepiłem go téż obcesowo. Zmierzył mię z początku, o Jezus!... Ale gdy się dowiedział, że to o Konrada idzie i że ja zaliczam się do jego przyjaciół, zmienił ton odrazu. „Chodź pan — rzekł. — Ja wprawdzie nie idę do niego, ale jest mi po drodze. Zaprowadzę pana..." Poszliśmy. Gadał przez drogę, ho, ho, usta mu się nie zamykały. Co on mi nie nagadał przez te pięć minut! Strach! wszystkiego się czepiał! I teatru, i polityki i mło-

dzieży... Co to za głowa!... Aż wkońcu zatrzymał się przed tamtą kamienicą, mówiąc: „Drugie piętro. Frontowe schody. Do widzenia.” I popędził naprzód!.. Ciekawy facet!

— No, no! Kupił cię już, jak widzę!

— Kupił! kupił! — żachnął się Schwartz. — Chcesz, wierz, a ja ci powtórzę, że dawno już nikt mnie tak nie zainteresował... Nie napróżno Konrad widzi w nim coś także i dotąd żyje z nim ciągle...

Marczewski już nic na to nie odpowiedział, a i Antek milczał, czując widocznie urazę. Szli przez pewien czas wprost przed siebie, w milczeniu, poczém, nie umawiając się wcale, skręcili z powrotem od rogu ulicy.

Dopiéro jednak kwadrans upływał, nie było więc nadziei, aby Konrad mógł już był wrócić. Mimo to, gdy mijali kamienicę, w któréj przyjaciel zamieszkał, Schwartz wyrwał się, wołając:

— Idź przodem! Zobaczę jeszcze raz! Jeślibym cię natychmiast nie dopędził, wracaj, bo to będzie znaczyło, iż Konrad w domu.

I pobiegł, nie słuchając perswazyi.

Marczewski posuwał się po asfalcie zwolna, myśląc: czemu właściwie tego Zawadzkiego nie lubi, gdy przecie nie zna go prawie wcale?

Zanim jednak mógł obmyśléć odpowiedź na to pytanie, Antek dopędził go, mówiąc:

— Niema! Ale stróż mi mówił, że przed ósmą

będzie w domu z pewnością. Kazał to nawet powiedzieć, gdyby kto pytał się o niego...

Marczewski w odpowiedzi na te słowa, przywołał stojącą opodal dorożkę.

— Siadaj! — rzekł do przyjaciela.—Mamy czas! Przejedźmy się po Alejach. Śliczny dzień! Zobaczymy znajomych...

Dorożkarz, zmierzywszy oczyma eleganckich młodzików, popędził ochoczo. W parę chwil mijali już skwer na placu Trzech Krzyżów.

Pogoda była istotnie wspaniała.

Jesień, jakby pragnęła pozbyć się odrazu wszystkich swoich zapasów światła i ciepła, wysiliła się na uroczy wieczór, rozścielając nad miastem błękit bez chmurki.

Chylące się ku zachodowi słońce rumieniło szczyty wynioślejszych gmachów i drzew, przesycając powietrze jaskrawém światłem, które jednak nie mogło przeniknąć w głąb ulic, między wysokie mury, pozostawiając tam łagodny półmrok, ożywiony jędrnem tchnieniem jakiejś jakby wiosennéj świeżości. Pogodny ten wieczór raczéj téż czuć się dawał, niż widzieć, a ta jego tajemniczość, właściwa naszéj jesieni, miała niedościgniony urok.

Marczewski nie mylił się, przypuszczając, że spotkać tu dziś może wielu znajomych. Aleje roiły się od tłumów, korzystających z ostatnich uśmiechów jesiennéj pogody. Cały świat elegancki naznaczył sobie tu dzisiaj spotkanie, cała Warszawa

zebrała się, jakby na jakiś wykwinty raut, którego gospodarzem był tym razem pogodny Październik.

Setki powozów i dorożek wymijało się wzajemnie, sprawiając wrażenie żwawego, choć bezcelowego ruchu. Na „Patelni" nie można było znaleźć jednego wolnego krzesła, a zarówno tam, jak z powozów, wreszcie na obu chodnikach Alei, znajomi witali się cokrok, jakby po długiem niewidzeniu.

Tłum wrzał, szumiał i huczał, niby fale wezbranéj rzeki; zbiegowisko bezładne, a jednak ujęte w jakieś zwyczajowe karby, wypełniało całą przestrzeń obszernéj ulicy; tu i owdzie zatrzymywały się pojedyncze gromadki, wymieniając ukłony i uściśnienia rąk, a zpośród tego chaosu przebijały się niekiedy wyraźniejsze zapytania i odpowiedzi:

— Wróciliście zatém państwo z Ostendy?.. Jak, kiedy?.. Otwock był w tym roku przepełniony... Jakże radcy posłużył Maryenbad? Chcieliśmy zawadzić o Soboty, wracając z Kołobrzegu, nie wróżono nam już jednak pogody... Szkoda! Pogoda dotrwała do końca... A i dziś, co za dzień! Co za wieczór!.. Będziemy mieli nareszcie piękną polską jesień...

Marczewski, wodząc dokoła ciekawym wzrokiem, rozpierał się téż w dorożce z rozkoszą, upojony i porwany tym ruchem i gwarem, a i Antek zapomniał narazie zupełnie o Konradzie i nieudanych poszukiwaniach, chłonąc w siebie ożywcze powietrze.

— Istotnie! — wyszeptał. — Co za tłumy! Dobrą miałeś myśl z tą przejażdżką!

Marczewski, w miejsce odpowiedzi, trącił zlekka kolegę ramieniem.

— Patrz! To ta pani... Pani Trzcińska... z córką! — rzekł, podnosząc rękę do ukłonu.

Pędząca jednak szybko dorożka wyminęła już wskazane wzrokiem przez Marczewskiego miejsce i ukłon okazał się zbytecznym.

Pani Kamilla, w otoczeniu dość licznego grona znajomych, szła wraz z Manią lewym chodnikiem, zajęta żywą rozmową.

Bladość ślicznéj panienki uderzyła uważnego Kazka. Zdawało mu się, że mimo uprzejmego uśmiechu, zwróconego do jednego z towarzyszących matce młodych ludzi, dostrzegł na twarzy Maniusi jakąś powagę i surowość, graniczące ze znudzeniem lub melancholią.

— Przecie ona bardzo ładna! — szepnął do Schwartza, który wychylał się napróżno z dorożki, nie mogąc dostrzedz wskazanych osób.

— Trzeba nam wrócić — szepnął.

— Wrócimy. Dojedźmy jednak już do końca Alei, potém wysiądziemy i zbliżymy się do tych pań. Kto wié, czy Konrada nie było tam przy nich?...

— Eh, nie! Byłbym go przeczuł!—odparł Antoś.

Pani Trzcińska podążała również w stronę Łazienek, nie było więc obawy, aby mogli się minąć.

Dojechali téż pod sam Belweder i tam dopiéro oddaliwszy dorożkę, poczęli pieszo wracać lewą stroną Alei.

Zaczepił ich zaraz jeden z kolegów, wołając:

— Jak się macie? Dopieroście przyjechali? A wykłady już w biegu...

— To nic! Zdążymy! — odparł Marczewski, mając widocznie myśl czém innem zajętą i rozglądając się z uwagą wśród gęstych szeregów przechodniów.

Zaledwie téż uszli kilkadziesiąt kroków, gdy przed nimi ukazały się obie panie, w towarzystwie jakiegoś młodzieńca i sędziwéj pary małżeńskiéj.

— Idą! Widzisz? — szepnął Schwartz.

— Widzę!

Tłum właśnie przerzedził się cokolwiek w tém miejscu, więc gdy, zbliżywszy się na trzy kroki, podnieśli ręce do czapek, ukłon ich nie mógł ujść uwagi pani Trzcińskiéj.

Chwilę tylko jeszcze wahała się, jakby chciała przypomniéć sobie ich twarze, poczem, poznając ich widocznie, skinęła im głową z uprzejmym uśmiechem.

Mania poznała ich także, prędzéj nawet od matki, ale oddając im ukłon, powiodła mimowoli wzrokiem dokoła, jakby szukała obok nich jeszcze kogoś więcéj. Niestety, ten trzeci, towarzyszący im student, nie był tym, kogo upatrywała.

Marczewski miał ochotę zbliżyć się dla zamiany słów paru, czuł jednak, że nie ma dotąd do tego ani prawa, ani najmniejszego pretekstu.

Na szczęście, poza matką i siostrą wlókł się Zdziś, zamyślony i jakby znudzony, starsi bowiem nie zwracali nań wcale uwagi, a matka właśnie skarciła go przed chwilą, gdy ze zwykłą sobie czupurnością począł mieszać się do ogólnéj rozmowy.

— Dzień dobry! — zawołał Marczewski, mijając chłopca i budząc go z zadumy.

Zdziś stanął zrazu, jak wryty, a potém, czepiając się obu młodzieńców, począł ich serdecznie witać.

— Ach, to panowie! — wołał. — Jezus, Marya! Jak to dobrze! Codzień o panach myślałem od tego pogrzebu! Codzień!

Teraz już pretekst się znalazł. Można było wrócić z uradowanym chłopcem za całém towarzystwem. Marczewski uśmiechnął się téż z zadowoleniem i skinął na Schwartza.

— Wróćmy!

Towarzyszący im dotąd kolega, widząc, że nie zwracają nań uwagi, pożegnał ich w tem miejscu, a czwartoklasista, dumny ze swéj znajomości, ciągnąc za sobą obu młodzieńców, począł im opowiadać, że widział wczoraj pana Konrada i pytał go o nich.

— Eh! ja nawet w uniwersytecie dowiadywałem się już, czyście nie przyjechali! — dodał.

— Więc pan Dąbrowski był wczoraj u mamy?— spytał Marczewski.

— U nas? Był! Na herbacie!... O! już także i przedtem był raz, ale wtedy go nie widziałem ..

Po chwili od rozmownego chłopca dowiedzieli się i tego, kto towarzyszy dziś pani Trzcińskiéj na spacerze. Jest-to pan radca Łopatkiewicz, z żoną i z synem. Był wtedy na pogrzebie. Mieszkają w tym samym domu, ale Zdziś tego młodego Łopatkiewicza nie lubi. Dumny jest i pyszni się, choć szkół porządnie nie skończył, i tylko przez protekcyą ojca uczepił się w jakimś banku. Mama i Maniuta także go nie lubią, choć szanują jego rodziców, bo to dawna znajomość.

Najwięcéj jednak zainteresowała ich wiadomość o spadku, bo i tego przedmiotu Zdziś dotknął.

— Jaki spadek? Czyżby po tym nieboszczyku stryju? — spytał Kaziek.

— Po nim. A jakże! To już pewne... Słyszałem, jak mama o tém mówiła... Część pieniędzy to nawet jest na naszym domu i mama podnosiła dziś jakąś summę z banku. Właśnie to pan Łopatkiewicz mamie załatwiał... Ja wiem wszystko!...

Zbliżyli się tymczasem do idącego przodem towarzystwa i pani Kamilla, dosłyszawszy głos syna,

odwróciła się z uśmiechem do młodych studentów, witając ich ponownie.

— Przylgnął ogromnie do panów—rzekła, wskazując oczyma Zdzisia. — Od czasu tego pogrzebu nie schodzicie panowie z ust jego.

Marczewski odparł na to, że i on, o ile sobie przypomina, zawsze lgnął do starszych, co znów pani Trzcińskiéj nasunęło uwagę, że jednak objaw ten u Zdzisia niepokoi ją nieco.

Zawiązała się dyskusya, do któréj wtrącił się i Schwartz, odpowiadając uprzejmie wprost pani Trzcińskiéj. Skorzystał z tego natychmiast Marczewski i podbiegając krok naprzód, przysunął się do Mani.

Dziewczyna wiedziała już o przyłączeniu się do ich grona kolegów pana Konrada i czekała prawie tego zbliżenia, rada, że to ją uwolni choć na chwilę od niemiłego towarzystwa młodego Łopatkiewicza, który właśnie zanudzał ją opowiadaniem o swoich czynnościach biurowych.

To téż, gdy Marczewski, zbliżywszy się, spytał z ugrzecznieniem, czy raczy ich sobie przypomnieć, odparła odrazu z figlarnym uśmiechem, podając mu rączkę:

— Nic a nic! Zapytam jednak—dodała zaraz,— czemu to panowie dziś bez pana Konrada? Taka nierozłączna podobno przyjaźń...

Zwrot ten musiał naturalnie nadać ich rozmowie

cechę zupełnéj swobody. Marczewskiemu jednak trzeba oddać sprawiedliwość, że nie przypisał sobie tego wyróżnienia, i jednym rzutem oka w stronę młodego pracownika banku odgadł powód téj łaskawości. To, co Zdziś przed chwilą mówił, iż jegomość ten nie cieszy się zbytecznémi względami u matki i siostry, dopomogło mu ostatecznie do zoryentowania się w sytuacyi.

Skorzystał téż z tego skwapliwie i przyśpieszając umyślnie kroku, tak, aby mogli wysunąć się oboje w pierwszą parę, począł opowiadać, iż dziś dopiero z towarzyszem swym wrócił, a choć zaraz pobiegli do Konrada, nie zdołali go jednak w domu schwytać.

— Ale u państwa — dodał — nie zaniedbał wizyty, jak się o tém dowiedzieliśmy od braciszka pani.

Mania westchnęła.

— Ach ten Zdziś! Czegoby on nie wygadał!

Po chwili rozmawiał już tak swobodnie, jakby się znali oddawna, a Marczewski, wspominając od czasu do czasu o Konradzie z uwielbieniem, nie domyślał się nawet, jak dalece ta rozmowa interesuje jego towarzyszkę.

Przysunął się niebawem do nich młody Łopatkiewicz, namówiony do tego przez swoją matkę, ale Marczewski poprzestał na przedstawieniu się mu, nie starał się zaś wcale wciągnąć go w rozmowę.

Począł więc tylko towarzyszyć im nieodstępnie w milczeniu, Marczewski zaś gadał za troje, przeskakując swoim zwyczajem z przedmiotu na przedmiot, jakby chciał umyślnie zamknąć towarzyszowi drogę do wtrącenia swojego słówka. Bawiło go to widocznie, a niebawem poczęło bawić i Maniutkę, która odgadła tę dyplomacyę, a nie chciała okazać żadnéj litości nad nudnym towarzyszem dzisiejszéj przechadzki.

Konrad nie schodził z ust Marczewskiego. Dostrzegłszy bowiem, że dziewczyna rada słucha tego przedmiotu, począł opowiadać dzieje wspólnéj wycieczki letniéj.

— Ja go tak lubię — dodał, — że tam, w téj naszéj Teterówce... czy pani uwierzy?... miałem nawet na niego pewne zamiary względem jednéj lub drugiéj z sióstr moich...

— Pan ma siostry? — spytała Mania, blednąc.

— Dwie, i niebrzydkie, chociaż...

Spojrzał przytém na towarzyszkę z uwielbieniem i zachwytem, a Mania, jakby domyślając się, że mogłaby tu usłyszéć niewczesny kompliment, przerwała szybko:

— I cóż?

— Eh, wszystko na nic się nie zdało! Dziewczęta przepadały za nim, zwłaszcza starsza, Helenka; ja też dopomagałem im delikatnie w tych zabiegach, myśląc, że przecież coś z tego będzie, ale

wszystko napróżno. Konrad okazał się tak opancerzonym, żem musiał stracić odrazu wszelką nadzieję związania się z nim kiedyś ściślejszemi w tym kierunku węzłami. Tak się nawet złożyło, że wyjechał, nie pożegnawszy się z Helenką wcale, czego mu ona, jak to widzę z jéj listów, darować dotąd nie może...

Lał jéj balsam w piersi tą swoją szczerą paplaniną, nie wiedząc o tém wcale.

Czekała jednak tak niecierpliwie ostatniéj tych zwierzeń konkluzyi, że to aż zaparło jéj oddech w piersiach.

Potrzebowała ochłonąć.

— Siostry pana bawią często w Warszawie? — spytała, aby coś powiedziéć i ukryć wzruszenie.

— Raz dotąd były podczas karnawału. Ale i téj zimy przyjadą.

Zbliżyli się tymczasem do ogrodu Botanicznego i Mania chciała skręcić wprost w bramę. Nie miał téż przeciw temu nic i Marczewski, sądząc, że spacer taki został już zgóry postanowiony. Okazało się jednak, że Mania tu prowadziła, a ponieważ znacznie wyprzedzili resztę towarzystwa, a nawet zupełnie stracili ją z oczu, należało im więc zatrzymać się u wejścia.

Wtedy też młody biuralista odezwał się sarkastycznie:

— A może mama pani nie życzy sobie pójść do ogrodu?

Panienka zmierzyła go pogardliwém okiem i uśmiechnęła się złośliwie.

— Mama zawsze sobie życzy tego, czego ja pragnę — odparła ucinkowo.

— Taka pani despotka? — podchwycił z uśmiechem Kaziek.

— Nie spodziewał się pan tego po mnie?

— Owszem, doznałbym zawodu, gdyby było inaczéj.

— Taki z pana fizyognomista? — spytała, używając umyślnie jego zwrotu.

— Broń Boże! Mówiłem jednak pani, że mam dwie siostry, które...

Zawahał się na chwilę.

— Które?

— Które także z góry zgadują, czego mama nasza sobie życzy.

Mania roześmiała się szczerze.

— Te same, wobec których pan Dąbrowski okazał się tak... tak... jak to pan się wyraził?

— Opancerzonym — podpowiedział Marczewski.

— Niech będzie „opancerzonym”...

— Niestety, te same! — odparł z komiczną powagą, załamując tragicznie ręce.

W miejsce odpowiedzi panienka wychyliła się na boczną ścieżkę około sztachet i, niedługo szukając

wzrokiem, dostrzegła zbliżające się towarzystwo. I pani Trzcińska zobaczyła córkę, a na giest jéj, wskazujący zlekka wejście do ogrodu, odpowiedziała zdala uśmiechem i skinieniem głowy.

Uzyskawszy to nieme przyzwolenie, ruszyli znów naprzód, tym razem w milczeniu, cisnący się bowiem u wejścia tłum rozdzielił ich na chwilę.

W ogrodzie, pełnym rozlicznych krętych ścieżek, trudniéj téż już było liczyć na spotkanie z pozostałą w tyle kompanią. Mania więc, wszedłszy w pierwszą aleję, zaproponowała, aby zaczekać na wszystkich.

— Zaczekajmy! — zgodził się Marczewski.

Stanęli około basenu z roślinami wodnemi i znaleźli się tu mimowoli na oczach tych wszystkich, którzy zajmowali dokoła rozstawione ławki.

Ktoś nawet, z poza nich, zrobił jakąś pochlebną uwagę o piękności Mani, a choć wymówił to szeptem, przecież tak niedyskretnie, iż szept ów musiał dojść do uszu dziewczęcia.

— Słyszała pani? — spytał Marczewski. — Jesteśmy na cenzurowanem. Szczęściem, że pani dobrze na tém wychodzi.

Uśmiechnęła się, chcąc coś odpowiedzieć, tymczasem jednak nadeszła reszta towarzystwa.

— Co za dzień! Wiosna, istna wiosna! — zagadnął stary Łopatkiewicz, zbliżając się do syna.

Wybrał się jednak z tym zachwytem nie w porę.

Jeśli bowiem tam, w alejach, mało znać było jesień, to tu poczyniła już ona swoje spustoszenia. Wszystkie delikatniejsze krzewy, których nie brak w téj części ogrodu, były już to zupełnie nagie, już też raziły zżółkłą swoją barwą. Chodniki, ścieżki i trawniki zaścielały całe warstwy opadłych liści, których tu umyślnie nie uprzątano.

Pani Trzcińska uczuła się znużoną i nie taiła tego.

— Siądźmy gdzie na chwilę — zaproponowała.

Ale o wolną ławkę nie było dziś łatwo przy takiem zbiegowisku. Napróżno Zdziś ze Schwartzem ruszyli przodem na poszukiwania, wszędzie były tłumy, a nikt nie myślał zajętego miejsca opuszczać, rozkoszując się ślicznym wieczorem.

Przeszli więc jeszcze parę ścieżek, gdy naraz Mania, spojrzawszy przed siebie, pobladła i zatrzymała się mimowolnie. Parasolka przytém wysunęła się z jéj rąk i upadła pod nogi.

Schylił się po nią Marczewski i Łopatkiewicz, tym razem jednak udało się ją pochwycić młodemu urzędnikowi banku; Marczewski natomiast, prostując się, pogonił zaraz wzrokiem w stronę, w którą zmieszane dziewczę dotąd jeszcze patrzyło z wyrazem jakiegoś zakłopotania.

O parę kroków od zbliżającéj się gromadki, na bocznéj ławce, pod rozłożystym, choć już w połowie odartym z liści, kasztanem siedziały cztery osoby:

dwie kobiety, młodsza i starsza, oraz dwóch mężczyzn. Jednym z tych ostatnich był właśnie pan Konrad. Obok niego, otulona w ciepły płaszczyk jesienny, który nie licował nawet z letniemi prawie strojami innych spacerujących, siedziała Józia, wraz z bratem i swoją opiekunką.

Wszyscy tak byli zajęci jakąś żywą dyskusyą, iż wcale nie zważali na przechodzących. Zdziś ze Schwartzem minęli ich téż, nie zwróciwszy na zajętą ławkę uwagi, dostrzegli bowiem jednę z dalszych zupełnie wolną i rozsiedli się na niéj po brzegach, rozkładając pośrodku swoje czapki, które miały odstraszyć wszelkich innych natrętów i zajmować zdobyte miejsce dla postępującéj w tyle kompanii.

— Otóż *lupus in fabula*, o którym tyle mówiliśmy przed chwilą — szepnął Marczewski, zanim jeszcze miano czas zrównać się z zajętą ławką.

Mania, czując potrzebę panowania nad swém wzruszeniem, podziękowała naprzód skinieniem głowy młodemu biuraliście za podanie parasolika, poczém dopiero, zwróciwszy się do Marczewskiego, szepnęła:

— Istotnie, to pan Dąbrowski...

Siliła się przytém na obojętność, a jednak głos jéj drżał, gdy wymawiała to nazwisko.

Na ławce tymczasem wrzała dyskusya. Wiktor dowodził właśnie czegoś, giestykulując swoim zwyczajem, a obie panie i Konrad słuchali go z zaję-

ciem. Można było rzucić im dziesięć pozdrowień, nie byliby zauważyli. Nie spodziewali się tu widocznie spotkać nikogo, więc ogród cały, mimo spacerujących tłumów, wydawał im się pustynią.

Mimo to, gdy Marczewski, mijając ową ławkę, uchylił kapelusza, Konrad dostrzegł ten giest odrazu. W pierwszéj chwili zrobił nawet ruch, jakby chciał powstać i podejść ku przyjacielowi. Dopiero widok idącéj obok Marczewskiego Mani powstrzymał go od tego.

Ukłonił się więc tylko dwukrotnie, jéj i jemu, poczém zwrócił wzrok poza nich, jakby był pewien, że jeszcze ktoś musi im towarzyszyć. Nie omylił się téż wcale i po chwili podobnym ukłonem pozdrowił panią Kamillę.

Marczewski tymczasem, idąc daléj obok Mani, milczał, zły, jak zawsze, gdy go coś niespodzianego zaskoczyło.

Mania sama zaczęła nanowo rozmowę.

— Wie pan, ten drugi, co siedział obok pana Dąbrowskiego, to mój nauczyciel z pensyi.

— On? pan Zawadzki?

— Tak, dawał u nas matematyki. Śmiałyśmy się z niego, bo czasami był śmieszny, aleśmy go lubiły i słuchały. Znakomicie wykładał!

— To wielki Konrada przyjaciel.

— Nie wiedziałam.

— Nie poznał dzisiaj pani?

— Cóż pan chce! Dwa lata... Zmieniłam się... Zresztą widział pan sam, jak zajęty rozmową. Dysputował, jakby na wykładzie.

— Prawda!

— A te panie? Nie zna ich pan?

Marczewski, choć wiedział, iż to nie wypada, pragnąc jednak przysłużyć się panience, odwrócił się raz jeszcze i zmierzył zdala siedzące panie, które właśnie także, jakby już poinformowane o przechodzących osobach, patrzyły na nie z zaciekawieniem.

— Nie, nie znam! — odparł, idąc dalej obok dziewczęcia — zdaje mi się jednak, że ta jedna, młodsza, taka podobna do pana Zawadzkiego...

— Może jego siostra...

Dalszą rozmowę przerwał Zdziś, podbiegając:

— Chodźcie, chodźcie! — wołał. — Mamy ławkę i jaką! Pyszna!

Nie usiedli jednak, póki nie nadeszła reszta kompanii.

— Widzieliście państwo pana Dąbrowskiego? — spytała, zbliżając się, pani Kamilla.

— Widzieliśmy! — odparł Marczewski, Mania bowiem, unikając wzroku matki, zwróciła się z czémś do młodego Łopatkiewicza, z czego on był uszczęśliwiony.

Antek i Zdziś spojrzeli po sobie.

— Konrad?... Gdzie? — wybiegło z ust ich prawie jednocześnie.

— Tu obok, na trzeciéj ławce.

— Chodźmy!

— Chodźmy!

I pobiegli czémprędzéj.

Zanim jednak zdołali dobiedz do owéj ławki, siedzące na niéj towarzystwo wstało już i zabierało się do wyjścia z ogrodu.

Można więc było tylko zamienić uściśnienie dłoni i parę wyrazów; Schwartz jednak skorzystał i z tego, aby umówić się z Konradem o miejsce spotkania.

— Cały ranek siedzę w domu. Przyjdźcie!

Po chwili Schwartz ze Zdzisiem wracali do opuszczonego towarzystwa, a Mania, stojąc umyślnie na ścieżce z młodym Łopatkiewiczem, widziała jak pan Konrad otulał troskliwie młodą panienkę i podał jéj ramię.

To samo uczynił Zawadzki względem starszéj towarzyszki, poczém obie pary zniknęły niebawem w sąsiedniéj alei, wiodącéj ku wyjściu.

Zmierzch zwolna zapadał i ogród począł się wyludniać. Pani Kamilla, odpocząwszy téż chwilę, zaproponowała odwrót.

Marczewski znalazł się znów obok Mani, napróżno już jednak wysilał się na rozmowę.

Śliczna panienka szła jak lunatyczka, nie słysząc prawie nic z tego, co do niéj mówiono. Oczy jéj, wpatrzone w przestrzeń, szukały czegoś uparcie, a z piersi wyrywało się od czasu do czasu stłumione westchnienie, ginąc w rozhoworze wieczornym ludnego miasta.

XI.

Mania nie mogła téj nocy zasnąć. To przypadkowe, nieoczekiwane zgoła spotkanie i ten widok pana Konrada, otulającego płaszczem młodą kobietę, nie schodziły jéj z pamięci.

Tysiączne domysły poczęły ją dręczyć.

Byłaż ta jego troskliwość, tak widoczna, tak bijąca w oczy, zwykłą grzecznością towarzyską, grzecznością zwróconą ku siostrze przyjaciela? Bo, że ta panienka była siostrą dawnego jéj profesora z pensyi, to dla Mani nie ulegało już prawie żadnéj wątpliwości. Marczewski miał słuszność: podobieństwo było rażące. Te same czarne, błyszczące oczy, te same rysy, ta sama szczupła figura. Tylko twarz młodéj Zawadzkiéj, jak zwykle twarz kobieca, miała w sobie coś delikatniejszego, drobniejszego, niewieściego; poza tém nic ich nie różniło i nietylko Marczewski, lecz każdy, musiałby był to podobieństwo pochwycić.

Ach, tak! Zanim Marczewski wyraził słowami to swoje przypuszczenie, ona już sama wpadła na ten domysł.

A może była to zwykła gorliwość młodego lekarza; lekarze, wiadomo przecie, wszyscy w początkach karyery swojéj po większéj części w tym względzie przesadzają. Wieczór właśnie zapadał i zrobiło się chłodno, a ta młoda osoba widocznie przebyła jakąś cięższą chorobę. Może pan Konrad ją leczył i ztąd poczuwał się jeszcze do opieki nad nią?

Ale wszystkie te uspakajające myśli nie mogły jéj zadowolnić. W głębi serca czuła jakiś ból i troskę, które wzrastały w miarę tych wszystkich przypuszczeń. Złe jakieś przeczucie, którego wytłómaczyć sobie nie umiała, ściskało jéj serce i nie dało długo zasnąć, a nawet i podczas snu, spowodowanego znużeniem, jeszcze owe myśli ją nawiedzały.

Nie mogąc ranka doczekać, zbudziła się nazajutrz wcześniéj, niż zwykle, blada, bez sił i woli. Zegar wskazywał dopiero parę minut po szóstéj. Cały dom pogrążony był jeszcze w spoczynku, służba tylko krzątała się zcicha, wstając widocznie dopiero. Wróciła więc znowu do łóżka, zmuszając się do snu — napróżno. Gdyby mogła, radaby była przeleżéć dzień cały z zamkniętemi oczyma, nie chcąc widzieć niczego i niewidziana przez nikogo. Dopiero myśl o matce, która już wczoraj, za powrotem do domu, dostrzegła u niéj pomieszanie, do-

dala jéj sił nieco, nakazując opanować gnębiący ją rozstrój.

Udało jéj się to tak dalece, że podczas śniadania była zupełnie spokojna; śmiała się, żartowała i zdołała tą swobodą swoją olśnić nawet bystre oczy matki, która nie domyślała się wcale, jak drogo to wszystko zostało okupione.

Miały tego dnia parę wizyt do oddania, i Mania, występująca zawsze z jakąś opozycyą przeciw tym towarzyskim obowiązkom, nie wzbraniała się od nich tym razem wcale, zgóry zgadzając się na wszystko.

— Dobrze, pójdźmy! — odparła, gdy matka przypomniała jéj o tém.

Byłaby przystała na wszystko, byle tylko rozerwać zbiedzone myśli, byle uciec przed niemi choć na chwilę.

Trzymała się tak dzień cały, łudząc wszystkich swoją wesołością i śmiechem, i dopiero pod wieczór wysiłek ten zemścił się na niéj. Ledwie na nogach mogła się utrzymać.

I wtedy jednak jeszcze, nie chcąc zdradzić się przed matką, upozorowała to swoje osłabienie znużeniem i bólem głowy, mówiąc, iż z przyjemnością przedrzemałaby się trochę.

Ale, gdy uzyskawszy łatwo pozwolenie, znalazła się sama w swoim pokoiku, długo powstrzymywany żal wybuchnął teraz całą siłą.

Blada, jakby cała krew uciekła jéj z twarzy do serca, rzuciła się na kanapkę, łamiąc ręce bezwiednie, miotana wewnętrznym bólem.

— Ha, ha, ha! — zaszlochała głośno.

Zaraz jednak, jakby w obawie, iż mógłby ją kto posłyszeć, otarła szybkim ruchem załzawione oczy i przybrała bladą twarzyczkę w przymuszony uśmiech.

Nikt atoli nie wchodził. Matka, zadowolona z przebiegu dzisiejszego dnia, poszła właśnie ciszyć służbę, mówiąc, że panienka śpi, i nakazując nie budzić jéj pod żadnym pozorem.

Ona tymczasem, widząc się osamotnioną, załamała znów rączki i puściła wodze swoim rozpaczliwym myślom.

Pół roku temu jakże była szczęśliwa, wolna, swobodna! a dziś co? Dziś już musiała kłamać uśmiech dzień cały, kłamała go i przed chwilą, a zapewne nabrała w tém niemałéj wprawy, jeźli nikt, nawet matka, nie spostrzegł tego kłamstwa, nie krzyknął: „Na Boga, Maniutko, co tobie?"

Co jéj jest? Jest oto nędzarką, żebrzącą jednego słowa, jednego spojrzenia, a to słowo i to spojrzenie odwracają się od niéj, uciekają daleko, daleko, do... tamtéj!...

O! tamta, wczoraj, musiała niejedno takie spojrzenie widziéć, niejedno słowo z ust jego usłyszeć...

musiała... musiała... była tak blizko... szli pod rękę... razem, razem!

To przecie można oszaleć!

A ona? ona? co dotąd zyskała?

O! nie tak wyobrażała sobie kochanie w swoich marzeniach. Miał to być sen jakiś rozkoszny, pełen kwiatów, gwiazd, blasków, woni i tajemniczych szeptów. Sen ten miał spłynąć na nią zwolna, spokojnie, z jéj wiedzą i wolą, a jednak prawie bez jéj udziału, i trwać już odtąd wieczność całą, niezamącony niczém.

Jakże marzenia te dalekiemi były od rzeczywistości! Bo oto, od paru miesięcy, od chwili owego pierwszego, przypadkowego spotkania, nie zaznała nic z owych rozkoszy, nic, prócz niepokoju, który dręczył ją dniem i nocą. On, ten wybrany, jedyny, zjawił się bez owego otoczenia gwiazd, blasków i woni wtedy, gdy wcale o kochaniu nie myślała, przybywał nawet nie do niéj i nie jéj szukał, spojrzał raz jeden i zabrał jéj wszystkie myśli, jak swoją własność.

Daremnie oburzała się na to bezprawie, próżno wyśmiewała sama przed sobą te sny o nim, jakie ją odtąd poczęły nawiedzać. Uparte—wracały! Przez całe trzy miesiące upatrywała go w każdym młodym człowieku, który się przed jéj oczyma przewinął. Zjawił się znów nareszcie i wtedy-to przeko-

nała się, że w téj grabieży jéj myśli nie było bezprawia. Tak być musiało.

Z jakiémże drżeniem czekała jego zbliżenia się wówczas, na cmentarzu! Zdawało jéj się wtedy, że lata już całe go zna i nie znać dotąd nie mogła, bo nie mogłaby była przecie żyć, istnieć bez téj znajomości. Odwiedzając ich poźniéj, mógł był śmiało skorzystać z chwili, gdy byli sami, i powiedziéć jéj: „Kocham!” Mógł był to powiedziéć, bo ona, choćby chciała się z nim podrożyć, musiałaby była odpowiedziéć mu na to: „I ja kocham, oddawna...”

Nic z tego się nie stało i to był jéj pierwszy zawód. Dziś widzi, że stać się to wówczas nie mogło. Byłoby zawcześnie, ona sama by z radością była tę chwilę starała się odwlec, o tak! odwlokłaby z pewnością. Bo i w tém czekaniu, w téj nadziei, było tyle rozkoszy!... O! był i ból, zawód, niepokój, ale była i rozkosz jakaś wielka, pociągająca swoją tajemniczością.

I to wszystko zburzył dopiero dzień wczorajszy. Jemu nie pilno było do niéj. Musiał otulać tamtę panienkę, musiał tamtéj towarzyszyć na spacerze... Powiedziała sobie to już raz i powtarza jeszcze, że może w tém nie należy upatrywać nic złego, może to zwykła znajomość. A jednak czuje, iż łzy cisną się jéj do oczu, i dławią ją i duszą, odbierając nawet tę kruszynę szczęścia, jaka wczoraj jeszcze wypełniała jéj serce.

Natrętne łzy! Ale nie pozwoli im popłynąć. Zdusi je, stłumi i będzie czekała cierpliwie... Czego? Jakiéjś wieści, złéj lub dobréj,—wszystko jedno, ale ta wieść musi jéj przynieść wyjaśnienie tych wątpliwości, musi jéj niepokój zażegnać, rozproszyć.

I czekała cierpliwie jeszcze całe dwa dni, siląc się na spokój i swobodę, z uporem, który ją zresztą zawsze cechował.

Pani Kamilla domyślała się, iż walka jakaś wewnętrzna stacza się teraz w sercu jéj córki; milczała jednak, wiedząc, że wszelkie rady lub wnioski byłyby jeszcze zawczesne. Od czasu, jak Mania zdradziła się ze swem uczuciem i odkryła przed nią swe serce, stanął między niemi rodzaj niemego układu, mocą którego pani Kamilla uznawała niejako zamysły córki, nie chcąc kłaść im żadnéj tamy. Nie miała nic przeciwko panu Konradowi, który i na niéj zrobił jaknajlepsze wrażenie; nie widziała więc w tém wzrastającém uczuciu nic niepokojącego.

Mówiła sobie, że jeżeli to nie jest zwykła, przelotna mrzonka młodego serduszka, jeźli to uczucie okaże się trwałém, prawdziwém i rozwinie się w miłość, ona pierwsza bardzo się z tego ucieszy. Sama, przeszedłszy w zaraniu życia tak wiele i znalazłszy późniéj szczęście prawdziwe tam, gdzie go się wcale znaleźć nie spodziewała, pragnęła pozostawić i Mani zupełną w wyborze swobodę. Nie myślała wprawdzie, aby wybór już tak prędko nastąpił, ale gdy

się tak stało, należało teraz pozostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi. Niestety, ten wybrany córki mógł już nie być wolnym i nie rozporządzać swém sercem,—ale to nawet przez myśl pani Kamilli nie przeszło.

Uspokojona sama, starała się i na Manię oddziaływać tym swoim spokojem, a ponieważ pan Konrad od trzech dni nie dawał o sobie znaku życia, znalazła i w tym względzie dla niego wymówkę.

— Ach, to ta drażliwa sprawa tego spadku wstrzymuje go od odwiedzin u nas — mówiła, gdy się coś o tém zgadało. — Widzisz, obawia się, abyśmy go nie posądziły, iż pilno mu do tych pieniędzy. Odetchnę téż sama, gdy to się załatwi, a musi się już teraz w paru dniach załatwić...

Tymczasem i dni następnych Konrad się nie pokazywał, a na nowy liścik pani Kamilli, w którym donosiła, iż postępowanie spadkowe musi się jeszcze przewlec, natomiast zaś pieniądze z rewersu znajdują się już u niéj i mogą być każdéj chwili podniesione, odpowiedział również listownie, iż dziękuje za jéj trudy najserdeczniéj, musi jednak, z powodu innych, ważniejszych, interesów, zaniedbać jeszcze na jakiś czas dalszych starań około téj sprawy. Obiecywał wkońcu usprawiedliwić się z tego osobiście, za widzeniem, nie naznaczał jednak żadnego terminu swoich odwiedzin.

List był grzeczny, uniżony, ale kreślony w wido-

cznym pośpiechu, wydał się też pani Kamilli tak suchym i lakonicznym, że nie chciała go Mani pokazać i wcale nie wspomniała przed nią o téj korespondencyi.

— Powinien był sam przyjść po moim liście, a nie odpisywać! — szepnęła do siebie, mnąc z gniewem tę odpowiedź.

I znowu dwa dni minęły bez żadnéj wieści.

Zjawienie się Marczewskiego, który właśnie w tym czasie przybiegł z wizytą, musiało być wobec tego bardzo pożądanem. Pani Kamilla przyjęła go uprzejmie, spodziewając się dowiedzieć nareszcie czegośkolwiek o panu Konradzie, a i Mania ożywiła się na widok miłego towarzysza niedawnéj przechadzki.

Marczewski jednak ani myślał spełnić życzenia pani Kamilli. Dowcipkował, opowiadając, jak szli tu razem ze Schwartzem i jak ten utknął w drodze, spotkawszy się najniespodziewaniéj z własnym ojcem, który przybył za interesami. Przeszedł następnie na najświeższe plotki towarzyskie, starając się bawić niemi obie panie, a trzeba przyznać, że tę rolę dorosłego salonowca odgrywał bez zbytecznéj przesady, z taktem i wdziękiem, które świadczyły, iż istotnie dużo się już obracał po świecie.

Dopiero pod koniec wizyty pani Kamilla zaczepiła sama o pana Konrada.

— Cóż to za sprawy trzymają go tak na uwięzi, zdala od ludzi, od znajomych? — spytała.

— Doprawdy, sam nie wiem! — odparł Kaziek ze zwykłą sobie otwartością.

Poczem jął opowiadać, iż od czasu przyjazdu spotyka go prawie codzień, zawsze jednak na krótko, jakby w przelocie. Zaledwie mają czas zamienić po parę wyrazów, a dwukrotnie już umawiali się o spotkanie, które jednak, z winy Konrada, nie doszło do skutku. Tyle pewnego, że Konrad w ostatnich czasach gorączkowo pracował nad rozprawą, skończył ją już nawet, zakreślając jéj mniejsze niż zamierzał poprzednio granice, a to wszystko w celu jak najśpieszniejszego pozyskania stopnia. Widocznie bardzo mu na têm zależy, pośpiech ten bowiem nie leżał dawniéj w jego planach i zadziwił kolegów.

A powiedziawszy to wszystko prawie jednym tchem, przeszedł czemprędzéj na inny przedmiot rozmowy, jakby wstydziło go to, iż tak mało może powiedziéć o przyjacielu, którego niedawno pod niebiosa wynosił, a raczéj jakby sam czuł o to do niego urazę.

— Ach, prawda! — rzekł znowu, przerywając sobie i zwracając się już wprost do Mani. — Ta panienka, którąśmy tam na spacerze widzieli, to istotnie siostra dawnego nauczyciela pani...

— Dobrześmy się więc domyślali — odparła Mania, siląc się na obojętność.

— To pani była tak przenikliwą...

— Pan jednak poddał mi tę myśl, zwracając uwagę na ich podobieństwo.

— Prawda! Dowiedziałem się nadto od Schwartza, bo on, mimo wszystko, umie zawsze Konrada wyszukać i zaprzyjaźnił się przytém z panem Zawadzkim, że ta panienka bardzo jest chora. Tam muszą być suchoty, bo i Zawadzki, zdaje mi się, tylko wysiłkiem się trzyma.

— Biedacy! — szepnęła Mania szczerze, czując napływające do oczu łzy.

— Tak, tak — mówił daléj Marczewski — teraz mię to dopiero uderza. Bodaj, że i ta choroba jest jednym z powodów tego gorączkowego zajęcia się Konrada. Wczoraj spotkałem go w dorożce, z jednym z profesorów i z innym jeszcze lekarzem, pomyślałem jednak w pierwszéj chwili, że to może owa ukończona już rozprawa spotkanie to spowodowała. Tak, teraz widzę, że on musiał wieźć ich do téj choréj.

Zapanowało chwilowe milczenie, które Marczewski wziął za znak do zakończenia téj pierwszéj wizyty i powstał czémprędzéj.

Spostrzegł zaraz, że panie nie myślały pozbywać się go jeszcze, pani Kamilla bowiem poczęła go z zajęciem wypytywać o tę nieszczęśliwą, nie chciał

już jednak przeciągać wizyty, zwłaszcza, że nie umiał dać żadnych więcéj objaśnień.

— Pojmuje pan — mówiła przy pożegnaniu pani Kamilla — że obchodzi nas to zarówno ze względu na pana Dąbrowskiego, jak i na to, że to siostra nauczyciela Mani.

— Ach, Boże! pojmuję zupełnie! — zapewnił Marczewski.

Teraz jednak dopiero poznał, że w tém zainteresowaniu się tkwi jakaś osobista troska obu tych pań. Jedno bystrzejsze spojrzenie na bladą twarzyczkę Mani utwierdziło go do reszty w tych domysłach. Panienka była blizką łez i siliła się tylko na spokój i obojętność. Konrad — może nawet mimowolnie — musiał tu być winowajcą, to już dla Kaźka nie ulegało teraz żadnéj wątpliwości.

Żal jakiś ścisnął mu serce, ale tylko na chwilę. Przemogła litość nad tém biedném dziewczęciem, które nie wiedziało w téj chwili, co z sobą począć, i po raz trzeci już podawało mu rączkę, jakby chciało go i pożegnać czémprędzéj i zatrzymać zarazem.

Nie chciał dłużéj przeciągać téj przykréj sytuacyi. Pragnął teraz tylko być przyjacielem téj ślicznéj panienki, przyjacielem szczerym, serdecznym, oddanym, i niczém więcéj.

Zwracając się do pani Kamilli, oświadczył, że

w każdym razie znajdzie sposób, aby się o wszystkiem najdokładniéj poinformować.

— Pozwolą więc panie, że wpadnę tu znów, gdy dowiem się czegoś pewniejszego? — spytał przy pożegnaniu.

Otrzymawszy zaś z ust pani Kamilli szczerą zachętę do nowych odwiedzin, wybiegł rozgorączkowany, myśląc o odkrytéj przypadkiem tajemnicy ślicznego dziewczęcia.

Wiedział już teraz, że się nie myli. Żadne słowa nie mogłyby być wymowniejszémi od tego niepokoju, jaki dostrzegł na twarzy Mani, gdy była mowa o Konradzie.

— Ach! ten Konrad! ten Konrad! Czy on się domyśla chociaż tego szczęścia, za które ja tak wielebym oddał! — szeptał, zbiegając ze schodów.

Postanowił téż zrzucić pychę z serca, zapomnieć o wszystkiem i rozmówić się z Konradem otwarcie.

Los usłużył mu w tém nadspodziewanie, pobiegłszy bowiem wprost do mieszkania Konrada, zastał go właśnie w domu.

Drzwi były uchylone i klucz od zatrzasku tkwił jeszcze w zamku, a Konrad, który widocznie przed chwilą dopiero tu przybył, o czém świadczyły porzucone na krześle jakieś paczki, paltot i kapelusz, chodził po pokoju wielkiemi krokami, nie widząc wcale wchodzącego.

Marczewski musiał podejść i zatamować mu drogę, dopiero Konrad go spostrzegł.

— Ach, to ty! Jak się masz? — zawołał, jakby zbudzony z myśli.

— Ja! I nawet nie zgadniesz, zkąd i z czém przychodzę? — mówił Marczewski, ściskając dłoń przyjaciela.

Konrad, jakby nie dosłyszał tego frazesu, rzekł tylko:

— Siadaj!

I wskazał przybyłemu krzesło przed biurkiem.

Sam jednak nie przerywał swojéj przechadzki, jakby myśli nie dały mu usiedziéć.

Marczewski teraz dopiero poznał, że łatwiéj coś postanowić, niż wykonać. Uczuł pewne skrupuły. Czyż bowiem miał prawo mieszać się do téj sprawy, nieproszony o to przez nikogo? Był jednak przekonanym, że przychodzi z dobrą nowiną, a myśl o biednéj Mani dodała mu odwagi.

Usiadłszy, zaczął opowiadać o wizycie swojéj u pani Trzcińskiéj.

— Wiem, żeście się do nich zbliżyli. Widziałem was przecie na spacerze! — przerwał Konrad.

— A! nie o tém mówię. Byłem u tych pań dziś... Oczekują tam i ciebie... tęsknią za tobą...

— Wiem. Miałem list. To w sprawie tego spadku...

Marczewski, widząc to roztargnienie przyjaciela,

który chodził wciąż po pokoju z rękami, założonemi na głowę, zawahał się na chwilę, postanowił jednak brnąć daléj.

— Nie zdaje mi się, aby tu o spadek chodziło — począł. — Tyś tam z innych względów pożądany.

Teraz dopiero Konrad zatrzymał się przed Marczewskim, uderzony ostatniemi jego słowami.

— Jakto? — spytał.

— Przepraszam cię — mówił daléj Kaziek — że się w to mieszam, ale doprawdy, muszę. Zauważyłem to już podczas owego spaceru, gdyśmy ciebie spotkali, dziś zaś utwierdziłem się w tém ostatecznie...

— W czém? O czém ty mówisz?

Marczewski raz jeszcze się zawahał.

— Eh! — rzekł wreszcie, widząc, że cofnąć się już trudno. — Musiałeś przecie i sam spostrzedz, że ta biedna Mania ogromnie tobą zajęta!

Konrad zbliżył się zwolna ku przyjacielowi i ujął go za obie dłonie.

— Kaziek! Kaziek! Zbierz zmysły! Zkąd ci to przyszło?

— Zkąd!.. Oczy mam!... Widzę!... Możesz gniewać się na mnie, że się mieszam w te sprawy, bo zresztą i ja sam czuję już teraz, że to dzieciństwo z méj strony, i wyrzucam to sobie... Ale trudno! Tak mi jéj żal było, żem ci to musiał powiedzieć.

Tyle było szczerego przekonania w słowach Marczewskiego, że Konrad zamyślił się i usiadł zgnębiony na krześle.

— Rzeczywiście — rzekł, załamując ręce — że tylko przyjaźń może usprawiedliwić taką interwencyę!

Potem, jakby czuł potrzebę jakiejś spowiedzi począł:

— Słuchajże więc, bo muszę ci teraz wszystko powiedzieć. . Ja mam już narzeczoną... Znamy się prawie od dzieci i kochamy oddawna. . Domyśl się: siostra Wiktora... Wieczór, w którym spotkaliście nas na spacerze, był właśnie naszym wieczorem zaręczynowym... Kocham i jestem kochany, dzieli nas tylko nieszczęście... ona chora.

Marczewski zakrył oczy dłonią, jakby przed nagłym blaskiem, jaki z tych słów padał na jego umysł.

— Właśnie nazajutrz po tym spacerze — mówił daléj Konrad — ciężko zasłabła. Biedę umiała znosić, szczęście wyczerpało jéj siły. Co prawda, wysila się w ostatnich czasach, aby stan swego zdrowia zataić przed nami. Oszukała i mnie i Wiktora. Ztąd wszystko złe!

— Czemum ja o tém wcześniéj nie wiedział, czému? — szepnął Kaziek.

Konrad, jakby nie słyszał tego westchnienia, począł znów po małéj chwili:

— Powiem ci nawet więcéj. Bo widzisz, ja wiem, że to moje szczęście nie będzie długo trwało. Ona ma suchoty. Idzie już teraz tylko o przedłużenie jéj życia. Wszystkie starania moje temu celowi poświęcę. Każda chwila życia, którą uda mi się wykraść dla niéj, będzie moim rajem. Sam nie myślałem nigdy, abym tak mógł kochać! Oh, Kaźku!

Powstał i przeszedł się po pokoju.

— A ty mnie pytasz — mówił daléj po chwili — czym ja *tam* czego nie dostrzegł? Ha, może i widziałem coś w oczach téj panienki, co powinnoby mię było zadziwić. Ale, wierz mi, brałem to tylko za życzliwość. Nie chciałem i nie chcę wiedzieć o niczem. Wszystkie myśli moje należały już wówczas do siostry Wiktora... Sumienie nic mi nie wyrzuca. Nie dałem żadnego powodu... Zresztą, to dziecko jeszcze. Gdyby nawet tak było, jak mówisz, wyleczy się jeszcze z tego. Miłość, któréj wszystko wzbronione, umiera z pragnienia. Tak tu być powinno. Sam się o to postaram. Pójdę, bo i tak dla interesu spadkowego pójść tam muszę, i przyznam się otwarcie do tego, że już mam narzeczoną.

Marczewski porwał się z krzesła.

— Ach, tylko nie to, nie to! — zawołał, łamiąc ręce.

— Dziecko z ciebie, Kaźku! To byłoby najlepsze lekarstwo. Gorzkie, ale skuteczne!

— Ach, nie, nie! Zlituj się! Trzeba obmyślić coś innego! To byłoby okrutne!

Na schodach dały się słyszeć szybkie kroki, których odgłos przez uchylone jeszcze ciągle drzwi, żywo do pokoju wpadał.

— Teraz sza! — rzekł Konrad. — To on!

— Kto?

— Zawadzki... Nie lubisz go podobno?

— Teraz... teraz już lubię. Takie głupie we mnie serce, że każde nieszczęście zawsze je rozbraja... A on także nieszczęśliwy!

Dąbrowski uśmiechnął się smutno i uścisnął dłoń Każka.

— Zacne serce! Wiedziałem o tém! — rzekł.

W progu, w kapeluszu na głowie, obładowany także jakiemiś paczkami, zjawił się Wiktor.

— Jestem! Mam wszystko! Idźmy! — zawołał, ledwie dysząc ze zmęczenia.

Marczewski podsunął się ku niemu z wyciągniętą dłonią.

— Witam pana! — rzekł.

Wiktor, zdziwiony cokolwiek, gdyż nie spodziewał się tu nikogo, zdjął naprzód kapelusz, a następnie uścisnął podaną dłoń.

Konrad przez ten czas pozbierał swoje paczki i przywdział paltot.

— Do niéj! — szepnął na ucho Każkowi.

Obaj przyjaciele mieli ręce zajęte, więc Kaziek

pomógł im zamknąć drzwi i kluczyk wsunął do kieszeni Konrada.

Na ulicy rozeszli się i Marczewski, jak zbity, powlókł się zwolna do domu.

Zastał Schwartza, który właśnie przed chwilą pożegnał się z ojcem.

— Nie przyszedłeś na obiad, według obietnicy... I Konrad nie był i ani słówka nie odpisał... Stary mój ma do was obu pretensyą! Powiedział, żeście oba ladaco!

Mówił jednak to wszystko bez gniewu, owszem, jakby żartem, i teraz dopiero spostrzegł zmienioną twarz towarzysza, który milczał uparcie.

— No, cóżeś ty taki? — spytał. — Co ci jest?

Kaziek długo nie odpowiadał.

— Daj mi pokój — rzekł wreszcie, siadając przy oknie i zasłaniając się od wzroku przyjaciela. — Co? co?... Ot, wyłbym, gdybym... mógł!

I rozpłakał się istotnie.

XII.

Konrad miał słuszność, mówiąc, że Józia taiła przed nim stan swego zdrowia i że to właśnie spowodowało jéj ostatnie ciężkie zasłabnięcie. Już w ów pamiętny wieczór oświadczyn czuła się bardzo osłabioną, a wzruszenie i szczęście odebrały jéj siły do reszty. Gdy Konzad, około pierwszéj w nocy, pożegnał ostatecznie ją i panią Dalecką, padła na łóżko jak martwa, oczu do rana zmrużyć nie mogąc.

Sama przyznała się późniéj, iż dałaby była „Bóg wie co" za to, żeby mogła wówczas dzień następny przeleżeć i nie ruszać się z łóżka. Ale jakże tu było przyznać się do tego pragnienia? Coby Konrad był pomyślał? Nie, nigdy, nigdy.

To też, gdy Wiktor, powiadomiony o wszystkiem przez Konrada, przybiegł nazajutrz uszczęśliwiony i postanowił obchodzić owe zaręczyny z „ogromnym hukiem," uśmiechnięta, dobywając ostatka sił, zgo-

dziła się na wszystko zgóry. Nigdy jeszcze w życiu brat nie wycałował jéj tak i nie wyściskał, jak wówczas. Mówił, że najgorętsze a zazdrośnie tajone marzenia jego miały się spełnić, Konrada zaś nazywał pół-bogiem. Jak tu wobec tego można było powiedzéć: „Ja dziś nie mogę się z wami cieszyć; dajcie mi wytchnąć choć jeden dzień...”

„Ogromny huk,” dzięki interwencyi Konrada, ograniczył się wprawdzie tylko na owym spacerze, a późniéj na wspólnych odwiedzinach teatru „Rozmaitości,” ale i to było już nad siły słabego dziewczęcia. Chłodna noc, przy powrocie, dokonała reszty i nazajutrz powtórzył się paroksyzm kaszlu, gorączki i osłabienia, taki sam, jaki już raz w lecie przykuł ją do łóżka i zapędził do szpitala.

Tym razem jednak troskliwa opieka najpierwszych lekarzy, oraz dozór brata i narzeczonego, szybciéj i skuteczniéj zażegnały wszelkie niebezpieczeństwo. Konrad trzy noce przepędził bezsennie przy jéj łóżku, baczny na każde skinienie, samą już obecnością swoją nowe wlewając w nią siły. A i Wiktor nie lenił się w posługach. Bywało, że spojrzy tylko i domyśli się, czego potrzeba, zanim Konrad lub Józia mają czas usta otworzyć.

— Dobrze! Wiem! Lecę! — i leciał.

A ona, błogo uśmiechnięta, mało nawet zmieniona, jedynie tylko bez sił, ale zato spokojna i cierpliwa nad wszelkie pojęcie, wprowadzała w zdumie-

nie wytrawnych lekarzy, którzy, ściągnięci tu przez Konrada, sądzili w pierwszéj chwili, że mają do czynienia z ostatnim błyskiem dopalającéj się lampy.

Nie wiedzieli o jedném, że serce choréj wypełniało bezgraniczne szczęście, że ona sama starała się teraz o to, aby przyjść jaknajprzędzéj do zdrowia i w tym celu spełniała ściśle wszełkie zalecenia. Gdy Konrad, stosując się do rad jednego z profesorów, zabronił jéj mówić przez całe dwie doby, a potem sam, w zapomnieniu, spytał jéj o coś, uśmiechnęła się tylko i wskazała ręką na gardło Wierzyła mu i tym, których on przyprowadził. O ile tam, w szpitalu, podczas lata, opuszczona przez wszystkich, pragnęła umrzeć i poddawała się chorobie, o tyle teraz chciała żyć jeszcze długo, chciała wyzdrowieć jaknajśpieszniéj. Pilno jéj było do szczęścia.

Dlatego to właśnie podziw zebranych u jéj łoża lekarzy nie miał prawie granic.

— Doprawdy, kolego — mówił do Konrada jeden z profesorów — że to jakaś rogata dusza. Może nie znacie téj baśni mazurskiéj? Ot, widzicie, niby to, że ta dusza nie jest gładka, ale ma rogi, które nie tak łatwo pozwolą jéj wyjść z ciała... Będzie się zaczepiała to jednym, to drugim, ot, i nie ucieknie, póki tych rogów nie straci... Widzicie, próżnobym was łudził. Trzeba sobie powiedzieć, że tu są już suchoty... Są, są, nie przeczę,

kochany Dąbrowski, niema gadania... A jednak... Jednak cuda się dzieją... Bo to, widzicie, Bóg wie zkąd, zjawia się naraz i puls lepszy i ten wygląd róży na wiosnę... powiedzcie sami, czy nie tak?... i kaszel chwilami zupełnie zanika... i siły jakieś zkądś się biorą... Powiadam wam, że ja wobec takich fenomenów mam tylko to jedno objaśnienie—rogata dusza!... Tak też i tutaj.. Suchoty są... no, trudno... na nasz rozum są niewątpliwie... Ale co do wyników... rozumiecie?.!. Bóg to wie!

Mówiąc to, zacny profesor nie domyślał się nawet, jaką otuchą napawa swego słuchacza. Zajmował go przedewszystkiem ciekawy „egzemplarz" w osobie téj młodéj pacyentki, co zaś do Konrada, miał go dotąd tylko za przyjaciela Zawadzkiego i temu przypisywał jego w téj sprawie zainteresowanie.

Konrad, pragnąc naradę tę wyzyskać wszechstronnie, wspomniał o kuracyi klimatycznéj.

— Otóż to! — brzmiała odpowiedź. — Włochy wogóle, wreszcie Nizza i Mentona lub coś podobnego byłoby tu bardzo pożądane. Zima ta będzie bądźcobądź decydującą o losie choréj, gdyby więc to, o czém mówicie, przyszło z pomocą, ha, wtedy... kto wie... mogłyby być wprost cudowne jakieś rezultaty...

Było to więc zupełnem uznaniem dawniejszych projektów Konrada i ta myśl szczególniéj utkwiła

w jego głowie. Postanowił teraz uczepić się znów dawnych swoich zamysłów z tem większą siłą.

— A cóż? Środki byłyby na to?—spytał jeszcze sędziwy lekarz, zajęty myślą owéj klimatycznéj kuracyi.

— Znalazłyby się! — odparł Konrad, rumieniąc się mimowolnie.

— A to niema się co namyślać! Tam pożyje!

Konrad uścisnął w podzięce dłoń starca i na tem się rozmowa skończyła.

Wyjazd, oto co teraz wydawało mu się najpilniejszém, niezbędném, nieuniknioném. Myśl ta nie opuszczała go już odtąd ani na chwilę. Pochlebiało mu to i cieszyło go, że sam już przedtém postanowił to, co ten doświadczony człowiek teraz tak usilnie zalecał.

Na pomoc jego zamysłom przychodził szybki powrót do sił biednéj Józi.

Nie wstawała jeszcze, pomna, iż zalecono jéj nadzwyczajną ostrożność w pierwszych nowych krokach, a Październik właśnie, po ślicznym wstępie, wysilał się na okazanie swojéj mocy, bijąc gwałtownym deszczem o szyby okna. Ale, co prawda, nie wstawała i dlatego, że, jak sama mówiła, bała się, aby zbyt nagle nie urwały się te wygody i to szczęście, jakiego teraz doznawała.

Pewnego wieczora, trzymając dłoń swoję w dłoni pochylonego nad poduszką Konrada, a patrząc na

Wiktora, który siedział u nóg jéj, na łóżku, rozcinał zawzięcie jakąś nową książkę i przebiegał szybko oczyma jéj karty, mówiła z dziecięcym grymasem, ślicznie na jéj twarzyczce odbijającym:

— Otóż na złość będę jeszcze leżała... będę, będę!.. Bo jakbym wstała, to wy uciekniecie obaj i będę musiała prosić, abyście przyszli i wyglądać tego przyjścia. Ach, jeszcze was nigdy nie miałam tak długo dla siebie, dla siebie saméj wyłącznie... A zepsuliście mię już przez ten czas, i jak zepsuli!... Znosicie codzień tyle, że, wiecie, wczoraj, gdy was nie było, pasłam dzieci stróża winogronami i cukierkami... Zbytki robię?... prawda?... Ale taką przytém miałam z temi dziećmi uciechę...

I zachichotała wesoło do tych wspomnień.

— To téż dobrze mi z tém... i nie myślę prędko wstać, nie myślę! — dodała z uśmiechem.

— Zgoda! — szepnął Konrad, całując jéj rękę. Równocześnie nachylił swe usta do jéj warg, których musiał odmawiać sobie wciągu całych dni dziesięciu, tych dni, jakie ubiegły od owego wieczora zaręczyn.

Naraz jednak rozległ się głos Wiktora.

— Paradne! Wyśmienite! — wołał młody entuzyasta, doczytawszy do rozdziału.

Zmieszali się oboje i dopiero po chwili, widząc, że Wiktor ani spojrzał na nich i zabrał się znów do

rozcinania kilku świeżych kartek, zrozumieli, że to książka była powodem tego wykrzyknika.

Konrad ochłonął pierwszy.

— Nie słyszy, zaczytany! — szepnął, nie podnosząc oczu do twarzy narzeczonéj.

— I to tobie zawdzięczam! — odparła Józia. — Tyś mi go odmienił... Dawniéj nie pokazywał się tu całemi dniami... Teraz, patrz, każdą wolną chwilę tu spędza... Tylko — dodała ze smutkiem — jak to on!... Albo siedzi i kreśli coś przy stoliku, albo czyta, jak teraz, o Bożym świecie nie wiedząc... Czasem tylko powie: „Jóźka, ty teraz musisz być zdrowa... Jóźka, dwie istoty cię teraz kochają! Konrad i ja!" Wczoraj to powiedział i znów potem nie odezwał się do mnie, pókiś ty nie przyszedł... O! ty nietylko mnie życie przedłużasz, ale i jemu, jemu!

— Cóż tam ja! — odparł Konrad. — To ty go tak trzymasz przy sobie. Przez ciebie on inny!

— Nie, nie! Już ty mnie wierz!

Poczęli się sprzeczać i Konrad, aby zamknąć ten spór, nachylił się do ust dziewczęcia, wpijając się w blade wargi.

Józia zarumieniła się, jak wiśnia, ale ust nie broniła.

— O, tak! — szepnęła tylko.—Psuj mię jeszcze więcéj, psuj, a będę lata całe tak sobie leżała...

Mimo to, gdy nazajutrz Konrad, wraz z młodym asystentem profesora, przybyli około południa z wi-

zytą lekarską, zastali ją już ubraną i nawet kokieteryjnie wyświeżoną.

Zgrabniutki szlafroczek ranny, z jasnéj, gustownéj satynki w liliowe kwiatki, opinał jéj kibić. Baczniejsze oko mogło było dostrzedz, że szlafroczek ten był ledwie pospinany, nie zaś wykończony subtelnie, gdyż panienki z magazynu na jedno skinienie choréj uszyły go w dwie niespełna godziny i dopiero po południu miały go skończyć, obszywając koronkami i wzmacniając słabsze szwy tymczasowe.

Mimo to ślicznie w nim Józi było.

Siedziała pod ścianą, na małéj kanapce, którą poczciwa pani Dalecka kazała przenieść z saloniku na czas choroby swojéj pupilki.

Konrad, widząc ją ubraną, uśmiechnioną, inną niemal, niż ta, którą przywykł widywać codzień, z główką, spartą bezwładnie na białéj poduszce, nie mógł przez długą chwilę słowa przemówić i stał przy drzwiach zadziwiony, a jednak i uszczęśliwiony zarazem.

Towarzysz wyręczył go w przemówieniu pierwszych wyrazów.

— Co widzę! — zawołał. — Więc już tak szybko awansujemy? Ślicznie!

Józia przyjęła ten okrzyk z uśmiechem, dostrzegła bowiem, że młody lekarz, zabrawszy się do zbadania pulsu i oddechu, mienił nieco wyraz swéj twarzy.

— No, jeszcze trochę starań — rzekł wreszcie— ale jesteśmy na najlepszéj drodze! W każdym razie ja tu już jestem po raz ostatni!

To samo powtórzył Konradowi na uboczu, dodając, że stary profesor, zainteresowany chorą, ucieszy się bardzo z tak pomyślnego raportu.

Konrad nie dowierzał jeszcze téj poprawie, ale każdy nowy dzień rozwiewał teraz wszelkie jego wątpliwości. Próżno czekał na jakieś nowe niepokojące oznaki, siły choréj bowiem wracały dość szybko, oczy nabrały znów blasku, a w ruchach przebijała się dawna żywość i energia.

Zauważyła to nawet sama.

— Boże, Boże!—zawołała pewnego razu wobec Konrada i brata — wiecie, że ja naprawdę już teraz wyzdrowieję. Czuję to sama! Widzę!

Uśmiechnęli się na to obaj, uszczęśliwieni.

Mniéj już teraz przy niéj przesiadywali, ale nie zaniedbywali jéj wcale, jak się tego obawiała. Każdy wpadał po parę razy na dzień; zauważyła przytém, że prowadzą obaj jakieś konszachty.

— Co wy tak ciągle szachrujecie? — zapytała.

A kiedy Konrad w odpowiedzi przyznał otwarcie, że czynią przygotowania do zamierzonego wyjazdu, zapytała ze smutkiem: czy to konieczne?

— Możebyśmy mogli tu zostać? — mówiła. — Jabym się tak strzegła, tak pilnowała, zobaczylibyście, nie zasłabłabym już teraz ani razu...

Przyznawała przytém, że nie umie nawet wyobrazić sobie tego życia, jakie ją tam czeka, zdala od kraju. Tu, w Warszawie, jakżeby była szczęśliwą! Samaby rządziła całym domem, zajmowała się wszystkiem, gospodarowała zawzięcie; miałaby tu raj prawdziwy.

Ale na wszystko to Konrad miał jednę tylko odpowiedź:

— Będzie i na to czas!

Idzie mu o to, aby szczęście, jakie ich czeka, było jaknajtrwalszém. Tam ona nabierze sił, przyjdzie zupełnie do zdrowia. Nie będą tam przecie wieków całych siedzieć. Doczekają wiosny i wrócą.

Wiktor wzdychał ciężko, ale popierał projekta przyszłego szwagra.

— Tak, tak! — mówił. — Ja na tém najwięcéj stracę, najwięcéj ucierpię! Sierotą będę tu bez was! Ale, sam widzę, to konieczne!

Nazajutrz po téj rozmowie Konrad miał już patent doktorski. Obrona rozprawy poszła jaknajgładziéj. Marczewski, Schwartz i paru innych kolegów przybiegli pierwsi z powinszowaniami.

Widok Każka nasunął dopiero Konradowi na myśl panią Trzcińską i jéj córkę.

— Ach! — pomyślał — tom się spisał!

Dwa tygodnie właśnie upływało od ostatniego listu i on, wciągu tego czasu, wypełnionego najpierw grozą i smutkiem, potém zaś radosnym szczę-

biotem uszczęśliwionéj Józi, na chwilę nawet nie pomyślał, ani o nieboszczyku stryju, ani o oczekujących go pieniądzach, ani o tych obu kobietach, od których, bądźcobądź, doznał tyłu dowodów gorącéj życzliwości. Ani razu!

Jak te dni minęły, jak mogły minąć bez jednéj choćby z tych myśli, próżno teraz o to zapytywał swéj pamięci.

— No, no! — szepnął jeszcze, trąc czoło.

Marczewski tymczasem powtarzał swoje powinszowania.

— Nie uwierzysz, jak mnie to cieszy! — mówił. — Chociaż — dodał zaraz — chociaż już dla nas tém prędzéj teraz przepadniesz! Skończyły się złote czasy naszéj przyjaźni!...

Łzy miał przytém w oczach, on, co się zawsze z łez Antka wyśmiewał, nazywając go w podobnych okazyach płaksą, bębnem, „trzyletnim Tosiem.”

A Schwartz teraz właśnie nie płakał, owszem, śmiał się serdecznie, sławiąc wśród obecnych kolegów zalety Konrada. Ale bo téż nie wiedział o niczém. Marczewski, mimowolnie dopuszczony do tajemnicy, milczał uparcie i ani słówkiem nie zdradził nic przed towarzyszem. Cieszyło go to, że on tylko cierpi, on, i ktoś jeszcze, nikt więcéj. Nie byłby téż tajemnicy jéj swojéj wyjawił za żadne skarby.

Konrad wyczytał troskę z jego twarzy i domyślił się jéj powodu.

— Słuchaj-no, Kaźku — rzekł, odciągając go na bok. — Cóż *tam* słychać... u tych pań?... Widzisz, ja tam jeszcze nie byłem od ostatniego naszego spotkania... Czasu mi brakło...

— Wiem, żeś nie był...

— Cóż więc tam się dzieje?

— Tam?... Tam smutek...

Konrad zniecierpliwił się. Powściągliwość Marczewskiego w tych odpowiedziach wydawała mu się zwykłą tylko prozą.

— Smutek?... Cóż u licha! — zawołał. — Rozprosz-że go więc swemi konceptami! Wygnaj za dziesiątą granicę!... Potrafisz przecie, wiem! Jedynyś do tego!

Marczewskiemu płomień przeleciał przez twarz i odbił się, jak w zwierciadle, w źrenicach.

— Ach, gdybym to dziś jeszcze potrafił, Konradzie! Gdybym potrafił...

Tyle było w tym wykrzykniku goryczy i nadziei zarazem, że Konrad innem zupełnie okiem spojrzał na młodego przyjaciela.

— Cóż znowu? Potrafisz, chciej tylko! — rzekł, siląc się na swobodę, podczas gdy w głębi serca uczuwał pewien niepokój.

Postanowił też za jakąbądź cenę dowiedzieć się o wszystkiem, więc znów po chwili spytał:

— Czekają mię jeszcze te panie?... Wspominają?

Widząc zaś, że Marczewski i teraz jeszcze zwleka z odpowiedzią, jakby słów do niéj dobierał, schwycił go za rękę i ściskając ją gorąco, dodał:

— Słuchaj, Kaźku! Jesteś jedynym człowiekiem, z którym nie umiałbym mówić ogródkami. Próbowałem tego w téj chwili, napróżno... Domyślam się, że masz żal jakiś do mnie. Widzę nawet, że żal to szczery, głębszy, i że to, co ja z twéj strony brałem za mrzonkę i zabawkę, nabiera istotnéj prawdy... Masz żal, przyznaj?

Marczewski chwilę jeszcze milczał, wreszcie wybuchnął:

— Szczerość za szczerość. Mam! Wiem i czuję, że nie było w tém cienia nawet winy z twéj strony, ale widzę, że można czasem zawinić nawet bezwiednie i mimowoli. Tak ty zrobiłeś... Podeptałeś bezlitośnie szczęście, za które ja byłbym tak wiele oddał!

Konrad odetchnął ciężko.

— Więc o to ci idzie? Więc ty pannę Trzcińską kochasz, a upierając się przy swoich domysłach, cierpisz na tém, biedaku?

I uradowany, chciał nawet roześmiać się głośno, ale śmiech ten na czas jeszcze powstrzymały dalsze słowa młodego chłopca:

— Domysłach? Ależ ja mam już pewność, pewność zupełną! Z tém tu przyszedłem, szukając umyślnie spotkania z tobą... Słuchaj, ja nie prze-

sadzam, mówiąc, że tam smutek i żałoba w całym domu od wczoraj...

Na czoło Konrada wystąpiła ponownie chmura.

— Przezemnie?... Wiedzą już, że się żenię? — szepnął.

Kaziek skinął głową.

— Tak — rzekł. — Żenisz się... wyszła już jedna zapowiedź... ślub wasz za dni dziesięć... 4 go Listopada... Wszystko to już tam wiedzą... Ale nie ja byłem krukiem, co tę wieść tam przyniósł. Owszem, ja do końca kłamałem, jak mogłem, składając wszystko na tę dzisiejszą twoję promocyą... na... na tysiączne przyczyny, które cię przez ten czas zdala od nich trzymały... Nie miałem sił prawdy oznajmić. Ja wiedziałem, że to musi ból wielki jéj sprawić... domyślałem się tego, choć tyś mię prawie wyśmiał w pierwszéj chwili... Czy ja ją kocham?—nie wiem, ale zdaje mi się, że tylko kochając, można tak wszystko przeczuć... przewidzieć... jak ja przewidziałem...

— Cóż się stało? Mów! — szepnął Konrad, blednąc.

Marczewskiemu dolna warga poczęła drgać, jakby od płaczu.

— Chciała się... wczoraj... otruć! — wyjąkał.

Konrad zachwiał się na nogach i załamał ręce.

— Na Boga! Ale com ja temu winien? Com winien? Boże, Boże!

Marczewski, któremu łzy więziły głos w gardle, wyciągnął tylko rękę do uścisku, jakby dla upewnienia, że sam uznaje słuszność tego zapytania.

— Uratowano ją — mówił dalej po chwili. — Niema już nawet podobno żadnego niebezpieczeństwa. Miałem ci o tém nie mówić... Chciałem zataić ten wypadek przed tobą, choćby tylko przez dzień dzisiejszy... Ale żądałeś prawdy... Zresztą...

Urwał, widząc, iż długa konferencya jego na uboczu z Konradem zwróciła powszechną uwagę. Cała grupa kolegów, ze Schwartzem na czele, ruszyła z miejsca i poczęła się ku nim zbliżać.

— Wyjdźmy! — szepnął Konrad — nie mógłbym teraz dwóch słów do nikogo przemówić.

Wysunęli się na korytarz i, niepostrzeżeni przez nikogo, weszli do jednego z laboratoryów, pustego właśnie o téj porze.

Kaziek rzucił się zgnębiony na krzesło, Dąbrowski oparł się o stół. Pytania rwały mu się na usta, musiał jednak przez chwilę czekać, póki zajęty sprzątaniem woźny nie wysunął się do drugiego pokoju.

— Jakżeś się o tém dowiedział? — zapytał wreszcie. — Zlituj się, powiedz! Chcę wszystko wiedzieć...

— I musisz — przerwał Marczewski — bo to i ciebie dotyczy...

Poczém, jakby chciał pozbyć się jakiegoś ciężaru,

począł szybko opowiadać, że poszedł tam i wczoraj, aby obie panie wyciągnąć gdzie na spacer. Miał właśnie dla Konrada wymówkę w owéj dzisiejszéj uroczystości, szedł więc śmiało, zadowolony, uszczęśliwiony... Już z miny starego służącego poznał, że tam coś zajść musiało. Otworzywszy mu drzwi szybko, służący ten cofnął cię, jakby nie jego się spodziewał... „Panienka nam nagle zasłabła" — tém go przywitał. Zauważył téż, że w pokojach, których drzwi stały otworem, odbywała się jakaś bieganina. Cały dom był widocznie na nogach. Co było robić? Musiał się cofnąć.

— Ale co mię to kosztowało! — mówił daléj po chwili. — Od bramy nie miałem téż sił odejść. I dobrzem zrobił... Zebrana w sieni służba wiedziała już o wypadku i komentowała go na swój sposób, zwłaszcza, gdy niebawem zjawił się stróż, wracający z apteki z jakiemś lekarstwem... Jaka to była dla mnie męka!... Po kwadransie wybiegł i lekarz, którym był nasz wspólny znajomy, Mielecki, mieszkający, wiesz, w sąsiedniéj kamienicy. Sprowadzono, widocznie, najbliższego...

Odetchnął, jakby mu to jeszcze teraz mękę sprawiało. Wzrok Konrada wisiał na jego wargach.

— Przystąpiłem wprost do niego, pytając o chorą — mówił daléj Kaziek. — Zdziwił się, że go tak obcesowo zaczepiam, ale widząc, że znam te panie, bo mię kilkakroć z niemi spotykał, odparł: „To otru-

cie... Otrucie morfiną... podobno przez pomyłkę... chociaż..." Nie chciał nic więcéj powiedzieć, ale i to mi wystarczyło... Dodał tylko: „Nie bójcie się... odchoruje, ale będzie żyła..." Z tém mię pożegnał.

— Może to istotnie była pomyłka? — szepnął Konrad.

Marczewski uśmiechnął się boleśnie.

— Tak i ja sobie mówiłem — rzekł — ale dziś właśnie, rankiem, dostałem ten oto bilecik, który do reszty wszystko rozjaśnia.

Konrad wyciągnął rękę po małą kopertę, Kaziek atoli rzekł jeszcze przedtem:

— Nie będzie dla ciebie miły, ale...

Bilecik, który teraz Konrad szybko począł przebiegać oczyma, adresowany do Marczewskiego, był téj treści:

„Szanowny panie!

Córka mi trochę słaba, myślę więc wyjechać z nią na czas jakiś do krewnych. Ponieważ zaś wiem, że i pan Dąbrowski ma za dni kilka opuścić Warszawę i może mu już nie starczy czasu na pożegnanie z nami, a ja dłużéj nie mogłabym trzymać u siebie jego depozytu, prosiłabym więc pana, abyś zajął się łaskawie pośrednictwem w tym względzie. Wydam to za prostym kwitem w pańskie ręce. Proszę w tym celu przyjść do mnie dzisiaj. Będę o 12-éj czekała. Liczę na to.

Życzliwa

Kamilla T."

Konrad spuścił głowę na piersi, zgnębiony. Nie chciano tam już więcéj jego odwiedzin — to było widoczném z tego bileciku.

— I byłeś? — spytał.

Marczewski w odpowiedzi wyciągnął z bocznéj kieszeni owiniętą w ceratę sporą paczkę banknotów.

— Masz kwit napisać. Nic więcéj. Przelicz! — rzekł, posuwając paczkę po stole.

Konrad odwrócił od niéj wzrok z niechęcią i począł chodzić w milczeniu po obszernéj sali laboratoryum.

Widoczném było, że toczy z sobą jakąś walkę, która odbijała się też na jego twarzy.

Marczewski nie przerywał ani jedném słowem. Bawił się właśnie ruchomem kółkiem od jednéj z podręcznych machin naukowych.

— Więc to prawda, prawda! — wybiegło z ust Konrada.

I znów przez chwilę słychać było tylko jego kroki i turkot obracanego przez Kazka kółka.

— Biedna, szalona głowa! — westchnął znów Konrad po niejakim czasie.

Służący laboratoryum wracał i zatrzymując się na środku, zapytał:

— Panowie nie będą pracowali?

— Nie!—pośpieszył z odpowiedzią Marczewski.— Ale zostaniemy tu jeszcze czas jakiś. Nie mówcie nikomu, że tu jesteśmy, choćby nas koledzy szukali.

— Dobrze — odparł służący i poprosił ich tylko, aby, odchodząc, drzwi zamknęli i klucz mu odnieśli.

Po jego odejściu, Konrad, jakby przezwyciężył ostatnie skrupuły, szepnął jeszcze:

— No, niech mnie Bóg skarze i sądzi, jeślim tu zawinił!

Potem, podchodząc do przyjaciela, spytał słabym głosem:

— Czy matka bardzo to wszystko odczuła? Opowiedz mi co o téj swojéj wizycie dzisiejszéj. Nie każ się badać i ciągnąć słowa po słowie, bo to tortury!

Marczewskiemu żal się zrobiło biedaka, począł więc, chodząc obok niego po sali, opowiadać, że ta wizyta utwierdziła go tylko w jego hypotezach. Pani Kamilla, przyjmując go, była już zupełnie spokojna. Naturalnie, mówiła także tylko o pomyłce z flaszeczkami. Pokazywała mu je nawet. Mania musi leżeć i pewnie dłużéj poleży, powiedziała mu jednak przez drzwi: „Dzień dobry.”

Uśmiechnął się jeszcze teraz, jakby samo wspomnienie tego pozdrowienia napawało go radością.

— Najmniéj mówiliśmy o tobie—ciągnął daléj — ale jakby umyślnie, choć delikatnie, dano mi do poznania, że wiedzą wszystko, nawet datę i godzinę ślubu. Pani Kamilla wymieniła mi nawet źródło owéj fatalnéj wieści, a tém — zgadnij! — jest Zdziś, który dowiedział się o wszystkiem od Antka, zaprzyjaźnionego teraz, jak wiesz, z Zawadzkim.

— Antek! I to Antek! — rzekł Konrad.

— Cóż chcesz, on nie wiedział o niczem. Myślał, że ich to bardzo ucieszy... Domyślam się, jak wiadomość ta musiała zastać biedną dziewczynę, nieprzygotowaną, w czém znów moja wina, bo ja ją ciągle łudziłem co do ciebie... Jaką to burzę żalu musiało wywołać w jéj sercu! Boże!

Konrad, uspokojony już cokolwiek, zbliżył się do stolika w celu napisania kwitu.

— Tak mię te pieniądze cieszyły — rzekł — a dziś?.. Ha! ja już każdą chwilę szczęścia muszę czemś zawsze okupić... Trudno!

Machnął ręką.

— Naprzód do celu — szepnął znów, jakby do siebie — to było zawsze mojem hasłem... Ale nie chciałbym iść po trumnach, nie!

Rozwinął paczkę, przyjrzał się banknotom, nie licząc, i potrząsnął w powietrzu trzema sporemi zwitkami.

— To zdrowie i życie mojéj biednéj żony! — rzekł z mocą.

Kaziek przed wyjściem rzucił mu się na szyję ze łzami w oczach.

Długa chwila upłynęła im w tym uścisku, który ich znowu godził i wiązał nanowo.

. . . .

W tydzień późniéj, wczesnym, chłodnym rankiem listopadowym, przed jeden z mniejszych zacisznych kościołków zajechały dwie karety. Z jednéj wyskoczył Konrad, podając rękę pani Daleckiéj oraz rozpromienionéj szczęściem, choć bladéj i zmizerowanéj Józi, w drugiéj znaleźli się Wiktor, Schwartz i Marczewski. Oni też, wraz z małem gronem modlących się właśnie w kościele osób, byli jedynymi świadkami ślubu młodéj pary.

Gdy po wysłuchaniu mszy i dopełnionym obrzędzie wychodzono ze świątyni, począł prószyć pierwszy śnieg, obsypując wszystko dokoła wielkiemi, choć szybko jeszcze topniejącemi płatkami.

— Ot, zima! Ona nas ztąd wygania! — szepnął Konrad, spoglądając z uwielbieniem na młodą swoją żonę, w któréj oczach świeciły jeszcze łzy szczęścia.

— Tak, tak! Pora wam uciekać! — potwierdził Wiktor.

Ranek zbiegł na wspólnem śniadaniu, które własnym kosztem wyprawiła dumna ze swéj wychowanki pani Dalecka, popołudnie wypełniły ostatnie przygotowania do wyjazdu, wieczorem zaś całe to grono znalazło się znów na dworcu kolei.

— Do widzenia! Do wiosny! — mówił Konrad, żegnając się serdecznie z młodymi przyjaciółmi.

— Do wiosny! — odkrzyknięto.

— Wróćcie wraz ze słońcem i jaskółkami! — dodał Schwartz.

— A nie zapominajcie o nas! Piszcie jaknajczęściéj! — zawołał Marczewski.

Ostatni uścisk Konrada dostał się Wiktorowi.

— Trzymaj-że się tu! — szepnął mu na ucho, uśmiechając się wesoło.

— Nie bój się, wstydu ci już nie przyniosę! — odparł Zawadzki. — Ale... ale zdechnę, jeśli nie wrócicie rychło.

Jeszcze kilka słów i uśmiechów z okien wagonu, i pociąg ruszył...

Prawie w tym samym czasie pani Kamilla, siedząc na ulubionéj kozetce wraz z przychodzącą do zdrowia córką i trzymając jéj główkę na swych piersiach, wiodła z nią cichą, długą rozmowę. W salonie było ciemno, śnieg topniał na szybach okien, zdala zaś, z sąsiedniego pokoju, dochodził monotonny głos uczącego się lekcyi Zdzisia.

Na chwilę właśnie chłopiec przerwał swoję naukę i wtedy wyraźniéj zabrzmiał głos Mani.

— O! nie pytaj mię o to, mamusiu — prosiło dziewczę — nie pytaj! Jeszcze nie czas! Jeszcze o tém spokojnie mówić-bym nie mogła... Ja sama może kiedyś będę się dziwiła temu, com uczyniła, ale dziś, mamusiu, ja ci nie umiem powiedzieć, jak się to stało... To było szaleństwo, wiem, ale ja się temu oprzeć nie mogłam... Prawda, żem powinna była na to być przygotowaną, powinnam była domyślić się wszystkiego... Ach, i domyślałam się

nawet... czekałam tylko z dnia na dzień, z godziny na godzinę, na potwierdzenie swych przeczuć... A jednak, gdy przyszło mi to usłyszeć, gdy Zdziś tę okrutną wiadomość przyniósł... mamo, mamo!... wówczas straciłam władzę nad sobą.... To było okrutne, bezlitośne!... Zdawało mi się, że ty, mamo, i Zdziś, jesteście w zmowie, że szydzicie ze mnie... Usłyszałam jakiś piekielny hałas dokoła siebie, jakby świat cały począł się ze mnie wyśmiewać i natrząsać się nad moim bólem. Wiem też tylko, że zaćmiło mi się w oczach, żem wstała od stołu, żem wybiegła tam, do tego pokoiku, ale jak i kiedy pochwyciłam tę nieszczęsną flaszeczkę, która przecież od tylu tygodni stała mi na oczach, nie zwracając na siebie mojéj uwagi i nie nasuwając mi téj rozpaczliwéj myśli o śmierci, tego już nie wiem, nie pamiętam... Umrzeć... umrzeć koniecznie... jaknajprędzéj, to było jedyne moje pragnienie...

Pani Kamilla złożyła pocałunek na płonącem czole córki.

— Zapomniałaś o mnie! — szepnęła z łagodnym wyrzutem. — Nie przyszło ci na myśl, jakim ciosem byłaby dla mnie śmierć twoja, i to jeszcze śmierć taka! O! Maniu, Maniu!

Mania przytknęła usta do ręki matki.

— Istotnie! — odparła zcicha. — Wybacz, matuchno złota!... nie myślałam wówczas o niczém...

wiedziałam tylko, że mi źle na świecie i że dłużéj już cierpieć nie potrafię...

Nastała chwilowa cisza.

Służący wszedł z lampą, odprawiono go jednak, prosząc, aby postawił ją w buduarku i tylko drzwi doń uchylił dla wpuszczenia łagodnego strumienia światła. I matka i córka, nie umawiając się zresztą o to wcale, nie byłyby teraz za żadną cenę spojrzały sobie w oczy. Wolały przy téj spowiedzi siedzieć w półmroku, który pozwalał na większą szczerość w wynurzeniach.

— Teraz jednak chcę żyć znowu — mówiła daléj Mania, tłumiąc łzy, cisnące się jéj do oczu — teraz nie sprowadzę już nawet cienia smutku na twoje czoło, mamusiu... Będę cicha, spokojna... Lata miną, a nie usłyszysz żadnéj skargi z ust moich i nie będziesz miała powodu skarżyć się na mnie... Tak będzie... wierz mi, mamusiu!... Ale o jedno proszę: zostaw mi, mamo, wolność... nie broń mi czasem o nim pomyśleć... Ja się z tego wyleczę, zapomnę, zduszę ten ból, który dziś jeszcze serce mi rozrywa, ale nie mogę tego teraz już uczynić, nie mogę przestać myśleć o nim, bo przestałabym wówczas i żyć...

— Ach, nieszczęście, nieszczęście — westchnęła pani Kamilla. — Biedactwo ty moje! I pomyśleć, że ja temu winnam, ja sama! Zamiast bowiem odrazu wyśmiać tę twoję miłość, która była przecie

czystem dzieciństwem, ja sama mimowoli podsycałam twoje nadzieje, żyjąc wraz z tobą myślami o nim... o tym...

Nie mogła dokończyć, Maniusia bowiem, obawiając się jakiego złego słowa, zamknęła jéj usta swemi wargami.

— Ach, tu nikt nie winien — rzekła szybko — nikt, nawet on! Tak, to było nieszczęście...

I poczęła daléj cichutko mówić, iż wierzy w to, że takie nieszczęście sam Bóg zsyła... Zobaczyć i pokochać — to okrutne, ale tak bywa czasem. Niejedna z jéj rówieśniczek może tak kocha lub kochała, tylko miłość tę kryje, umie ją zwalczać, tłumić, dusić...

— Ja tego dotąd nie potrafię — zawołała po chwili gwałtowniéj. — Kocham!... On ma się żenić z inną, wiem... i od tygodnia powtarzam sobie ciągle, żem powinna go nienawidzić teraz, że powinien mi obrzydnąć... a jednak ja jeszcze go kocham. On sam może śmieje się ze mnie w téj chwili... śmieje wraz z tamtą... a ja go kocham!... To może być zabawne, może być śmieszne i warte śmiechu, ale jak to boli, mamusiu, jak boli!...

Nie mogąc dłużéj usiedzieć na miejscu, wyrwała się przy tych słowach z objęć matki, powstała z kozetki i poczęła się zwolna przechadzać po ciemnym salonie.

— A jednak teraz już zapomnieć trzeba, bo do czego to doprowadzi, do czego? — szepnęła strwożona pani Kamilla.

Mania zatrzymała się przy oknie, patrząc na fruwające płatki śniegu, które wiatr miotał na szyby, a światło ulicznéj latarni oświetlało jaskrawo.

Łzy poczęły płynąć zwolna po jéj licach.

Po chwili otarła je ukradkiem i, przysuwając się znów do matki, szepnęła:

— Niech już o tém Bóg za mnie myśli... Mnie dziś i z tym bólem moim dobrze... Ach, mamusiu złota! Rodząc się nanowo, chciałabym znów mieć ciebie przy sobie... i raz jeszcze go spotkać... pokochać... i znowu cierpieć to samo!

I swobodna już zupełnie, przymilając się matce i wdzięcząc się do niéj po dawnemu, dodała:

— No, matuchno! Uśmiechnijże się do mnie! Widzisz, jakam spokojna, jaka szczęśliwa... No, uśmiechnij się i ucałuj upartą Maniutkę...

Pani Kamilla zaszlochała głośno.

— Dziecko moje najdroższe! — zawołała, zalewając się łzami.

XIII.

Konrad i Józia dotrzymali obietnicy: pisywali bardzo często. Marczewski i Wiktor miewali od nich po dwa listy na tydzień, a komunikując je sobie wzajemnie, wiedzieli o każdym niemal kroku młodego małżeństwa.

Po dwóch dniach wypoczynku w Wiedniu udała się młoda para wprost do Florencyi i Rzymu, po tygodniu wreszcie dotarła do Sycylii, osiedlając się w okolicy Palermo. Mieli tam całą zimę przepędzić, Konrad więc najął małą willę, a Józia zajęła się gospodarstwem, o czém donosiła uszczęśliwiona w liście do brata, opisując szczegółowo swoje codzienne zajęcia, troski i kłopoty, jakie sprawiała jéj szczególniéj trudność porozumienia się z sąsiadami i dostawcami żywności.

Nadzieje i rachuby co do wpływu południowego klimatu na jéj zdrowie nie zawodziły dotąd wcale. Była swobodna, wesoła, rozbawiona, wszystko ją

zajmowało, wywołując jéj szczere, dziecięce niemal zachwyty, siły przytém wracały, a wszelkie ślady zabójczéj choroby zniknęły, zdawało się, nazawsze.

Marczewski, który pomimo wszystkiego nie zaniedbywał swych wizyt u pani Trzcińskiéj i zawsze bywał tam serdecznie witany, wspomniał w rozmowie z Manią o jednym takim liście.

Było to już w końcu Grudnia. Panienka wydawała się zupełnie spokojną i, korzystając z chwilowéj nieobecności matki, sama rozpoczęła rozmowę o tym przedmiocie.

— Mógłby mi pan ten list pokazać? — spytała.

Kaziek zawahał się na chwilę i miał już na ustach odpowiedź, iż właśnie ostatni list w domu zostawił.

Mania jednak odgadła widocznie ten jego zamiar, gdyż dodała natychmiast:

— Niech pan się nie dziwi méj ciekawości. Od tegom kobietą... Proszę! — wyciągnęła rączkę.

List, pisany ręką Konrada, pełen był szczęścia, nadziei, upojeń, musiał więc być dla niéj trucizną. Kaziek dobrze o tém wiedział, dlatego się wahał.

Ale z nią nie było rady.

— Proszę! — powtórzyła natarczywie.

Tyle zaś było w jéj słowach spokoju, a w prośbie jakiegoś stanowczego rozkazu, że Marczewski, nie namyślając się już dłużéj, podał jéj złożony we czworo arkusik papieru.

Wzięła go i odczytała do końca, zatrzymując się tylko dłużéj na niektórych wierszach lub wyrazach. Udawała przytém bardzo zręcznie, że nie może niektórych słów odczytać, powtarzała je bowiem głośno, dodając: „Ach, tak!... rozumiem!...”

Pod koniec dopiero, kiedy Konrad raz jeszcze zapewniał, iż szczęście jego nie ma teraz granic, zadrżała zlekka i list wysunął się jej z ręki.

Podniosła go jednak, zanim Kaziek mógł to uczynić, i składając spokojnie, szepnęła:

— Ładny kraj! Muszą tam być szczęśliwi!

Poczém, zmieniając nagle przedmiot rozmowy, rzekła:

— Wspominał pan coś, że oczekuje pan na siostry? Czy może już przyjechały?

— Onegdaj.

— Na karnawał? Dla zabawy?

Kaziek, nie spuszczając z niéj wzroku, potwierdził to zapytanie skinieniem głowy.

— Ach, to wybornie, doskonale! — dodała szybko. — Bo i ja chciałabym się bawić w tym karnawale... Wie pan co, panie Kazimierzu, trzebaby tak jakoś zrobić, żebym się ja zapoznała z pańskiemi siostrami... Miałby pan co przeciwko temu?

— Ja? Cóż znowu?! Już panią znają z moich listów i opowiadań... Od trzech dni... odkąd przyjechały... ciągle o pani mówimy.

— Ale jak to urządzić?... Bo to z tą etykietą!.. Boże, jak ja nie cierpię wszelkiéj etykiety!

Poczęli się naradzać i postanowili, że pierwsze spotkanie nastąpi na jednym z publicznych balów. Reszta zrobi się sama.

— Wybornie, wybornie! — wołała Mania, klaszcząc w ręce.

Pani Kamilla, uszczęśliwiona ożywieniem córki, przystała z ochotą na wszelkie projekta i wszystko poszło, jak z płatka.

Zarówno panienki, jak i obie matki, polubiły się wzajemnie i szczerze zaprzyjaźniły. Po drugiém spotkaniu na „neutralnym" gruncie, nastąpiły wzajemne wizyty, ułatwiające dalsze stosunki, a młodzież karnawałowa, widując zawsze razem te śliczne panienki, nazwała je „trzema gracyami." Na każdym z balów bywały w oblężeniu.

Kaziek na widok téj zmiany w usposobieniu Mani nie posiadał się z radości. Wróciwszy téż z jednego z wieczorów prywatnych, na którym ciągle jéj asystował, przyznał się do wszystkiego przed matką i siostrami.

— Kocham ją, kocham! — zawołał.

Matka i młodsza z sióstr, Laura, uściskiem i pocałunkami zaakceptowały jego zamysły. Tylko starsza, Helenka, która sama nosiła w sercu żal do Konrada, a znała dobrze z ust brata historyę Mani,

szukała z nim spotkania na osobności i z właściwą sobie stanowczością zagadnęła bez ogródek:

— Słuchaj, Kaźku! Zdaje mi się, że ty się łudzisz. Czy ty nie widzisz, że ta jéj wesołość jest sztuczną? Mojém zdaniem, ona szaleje tylko... szaleje, pragnąc się zagłuszyć... zapomnieć... Ale... ale nie zapomniała jeszcze... nie jest uleczona... wierz mi!

Kaziek wyśmiał te jéj przestrogi.

Ona, Mania, tańczyła z nim wczoraj tak ochoczo! Niewiele brakło, a byliby już wczoraj powiedzieli sobie, że się kochają... Ot, tę czerwoną kamelię odpięła od gorsu, gdy jéj podawał okrywkę przy wyjściu i wcisnęła mu ją w rękę na schodach... Mimo to będzie jeszcze cierpliwym... będzie czekał... Nie chce teraz decyzyi ostatecznéj... Pragnie sam, aby była uleczona zupełnie... A to musi nastąpić... i nastąpi... lada dzień... lada chwila...

— Zresztą — dodał — dobrze mi z tém! Dlaczego chcesz mi moje szczęście zatruwać?

Siostra więc milczała, a on, biedak, ani się spodziewał, jak prędko przyjdzie mu przekonać się o prawdzie jéj domysłów.

Karnawał, nader długi i huczny w tym roku, dobiegał właśnie do końca. Dwie jeszcze tylko zabawy były projektowane, gdy naraz Mania, usprawiedliwiając się słabością, odmówiła w nich swego udziału.

Panny Marczewskie, przybiegłszy na wiadomość tę w odwiedziny, zastały ją we łzach, których przyczyny wyjawić jednak nie chciała.

Mówiła, że sama nie wie, co się z nią dzieje; jakiś żal, smutek opanowały ją nagle; napróżno starałaby się z tém walczyć. Na samą myśl, że tak wiele bawiła się w ubiegającym karnawale, doznaje teraz takiego wrażenia, jakby po spełnieniu jakiego świętokradztwa.

— Nie, nie! — prosiła. — Nie pójdę już nigdzie... wybaczcie!

Nie pomogły żadne perswazye, nie skutkowały nawet prośby matki, która obawiała się, że ta odmowa może nastręczyć ludziom jakie złośliwe uwagi. Mania zakończyła ten tak hucznie zaczęty karnawał w zupełném odosobnieniu.

W tym czasie poczęła też stronić od nieodstępnego dotąd ciągle Kaźka. Toczyła z sobą jakąś walkę — to było widocznem. Dostrzegła niewątpliwie jego zabiegi, widziała miłość w jego oczach, odczuwała ją w każdém jego, choćby najobojętniejszém, słowie — i to ją gniewało, drażniło.

Stała się dla niego nielitościwą. Łagodna dawniéj, była dziś ostrą w wyrażeniach, sarkastyczną i starała się dokuczać mu na każdym kroku. Daremnie wysilał się, aby ją zabawić, rozweselić, spędzić chmury z jéj czoła — tém więcéj bowiem ją niecierpliwił.

Pewnego dnia, po długiéj chwili widocznéj walki wewnętrznéj, powiedziała mu też otwarcie:

— Wie pan już zawiele, abym z panem miała być nieszczerą... Pragnęłam zapomnieć... starałam się pana pokochać... napróżno!

I zapłakała, kryjąc twarz w dłonie.

Zrozumiał teraz wszystko. Ona nie była jeszcze uleczona. Urocze nadzieje jego poczęły się rozwiewać, jak mgły.

Zrozpaczony, pełen żalu, cofnął się wówczas na czas pewien; ale po paru tygodniach wrócił.

— Bądźmy choć przyjaciółmi! — szepnął przy pierwszych wyrazach powitania, wyciągając do niéj rękę.

Namyślała się przez chwilę, ale wkońcu pochwyciła podaną dłoń z widoczną ochotą.

— Chcę być dla pani bratem, niczém więcéj — mówił daléj, nie dając jéj przyjść do słowa. — Niech mi pani nie broni czasem spojrzeć tylko na siebie... Niczego więcéj nie zapragnę, niczego nigdy nie zażądam .. Nie obrażę pani żadném słowem, nawet myślą żadną... Ale jeśli mi pani tego odmówi, nie będę mógł żyć... nie będę mógł istnieć...

Zmieszana, zarumieniona, milczała długą chwilę. Upór znowu począł w niéj brać górę.

— Co panu z tego przyjdzie? — spytała. — Ja nikomu już nie przyniosę szczęścia... Postanowiłam

sobie, że nie wyjdę nigdy za mąż, i dotrzymam tego... Ja już nie mogę pokochać nikogo...

Poczęła znowu oczy z łez ocierać.

Nie starał się już zaprzeczać, owszem, potakiwał nawet, mówiąc, że wie, co to ból i zawód. Nie spodziewa się téż niczego i na nic liczyć nie będzie.

Dzięki téj jego taktyce i cierpliwości, układ stanął i Mania była znów odtąd dlań lepszą, a kiedy wyjeżdżał na lato do rodziców i przyszedł z pożegnaniem, szepnęła:

— Źle mi pewnie będzie bez pana...

Słowa te napełniły go szczęściem i rozkoszą, ale nie okazał tego po sobie. Znał ją już i wiedział, że jedno gorętsze, nierozważne słowo z jego strony, obudzi znów jéj czujność, drażniąc niezagojoną dotąd ranę serdeczną.

Nie dał też znaku życia o sobie przez całe dwa miesiące, a nawet umyślnie opóźnił swój powrót do Warszawy.

Przybywszy, zastał Konrada, który wrócił wraz z żoną. O zupełnem odzyskaniu zdrowia Józi, jak zwykle w suchotach, nie mogło być mowy, jednakowcż klimat południowy, wygody, staranna opieka i szczęście prawdziwe, jakie chora znalazła przy boku swego ukochanego, wzmogły znacznie jéj siły. Miała jeszcze kilka lat życia przed sobą — na to zgadzali się teraz wszyscy lekarze.

Konrad nie wiedział jeszcze, czy się osiedli

w Warszawie, czy też na zimę znów wypadnie im szukać przytułku pod łaskawszém niebem. Wiktor gardłował za pozostaniem, znajdując u Józi gorące poparcie dla swoich dowodzeń.

— Zostańmy — prosiła — będę się ochraniała, szanowała, a czuję, że tu jeszcze prędzéj przyjdę do zdrowia, niż tam...

Marczewski, nacieszywszy się z Konradem, wybrał się do willi pani Trzcińskiéj, gdzie, korzystając z pięknéj pogody, zamierzały obie panie pozostać choćby do połowy Października, i tylko Zdzisia, dla którego wakacye już się skończyły, wyprawiły do Warszawy.

Mania ucieszyła się z jego przybycia.

— Nareszcie! — rzekła na powitanie.

O powrocie państwa Dąbrowskich już wiedziała i sama o ten przedmiot zaczepiła.

— Odwiedzałyśmy w zeszłym tygodniu Zdzisia w Warszawie — mówiła — i spotkałyśmy pana Dąbrowskiego... wraz z żoną... na ulicy...

Te wyrazy: „wraz z żoną” były wymówione ciszéj, z pewném wahaniem, ale już w samém poruszeniu tego tematu tkwił niezbity dowód, iż zapomnienie zwolna przychodziło. Mówiła to umyślnie, jakby chciała pochwalić się przed Kazkiem swoim spokojem.

— Ukłonił nam się — dodała, widząc, że Marczewski milczy zachmurzony — zamienił nawet

kilka wyrazów... Ona blada... mizerna... ale zawsze ładna...

Uczucie, jakiego Kaziek przy tych jéj słowach doświadczył, było dlań zupełną niespodzianką. Sam pragnął dla niéj tego spokoju i zapomnienia, a jednak dziś, gdy się to dokonywało, doznawał wrażenia, jakby na odgłos zgrzytu żelaza po szkle.

Widział i czuł dobrze, że jest tu już teraz pożądanym, że ma już własny kącik w tém zranionéin serduszku — i teraz dopiero zaczął być zazdrosnym o owe wspomnienia, jakie miłość dla Konrada musiała pozostawić w umyśle Mani.

Zmienił téż czemprędzej przedmiot rozmowy i nie mógł przezwyciężyć tego niemiłego uczucia przez cały wieczór.

Mimo przyrzeczenia, nie pokazał się więcéj w owéj willi i przybył z nowemi odwiedzinami dopiero po powrocie obu pań do Warszawy.

— Czemu pan nie chce już nadal być moim przyjacielem, panie Kazimierzu? — zapytała go Mania na wstępie.

Łagodny wyrzut, jaki brzmiał w tych słowach, rozbroił go zupełnie. Uczuł znów, że ją kocha, że gotów puścić wszystko w niepamięć i wszystko wybaczyć.

— Ja? — zapytał, odpowiadając na jéj słowa — chyba pani sama nie wierzy w to, co mówi..

Zrobiła ruch zniecierpliwienia.

— Ach, bo ja już sama nie wiem w co wierzyć... Wszystko się zmienia... wszystko przemija...

I poczęła zalewać się łzami.

Żal mu się jéj zrobiło.

Niewiele brakło, a byłby upadł przed nią na kolana, z gorącém wyznaniem, które mu się na usta cisnęło.

Powstrzymał się jednak i tym razem. Musiał wprzód mieć jakiś dowód, że jest kochany. Nie rozumował, ale czuł instynktownie, że tę hardą duszę trzeba wprzód ugiąć, upokorzyć, jeśli szczęście ich wspólne ma być trwałém i prawdziwém.

Tygodnie mijały odtąd szybko, nie przynosząc zmian żadnych. Marczewski ciągle powtarzał swoje wizyty, ale trzymał na wodzy swoje uczucia. Unikał nawet czasami wzroku Mani, gdy spojrzenie takie mogłoby zdradzić jego miłość.

Pewnego dnia, w zimie, przyszedłszy jak zwykle, był czegoś więcéj ożywiony i uradowany.

— Aż dwie nowiny przynoszę! — rzekł po przywitaniu.

— Cóż takiego? — zapytały obie panie.

— Siostra moja wychodzi za mąż.

— Helenka?

— Tak. Za tydzień zaręczyny, a ślub jeszcze w tym karnawale.

I Mania i pani Kamilla ucieszyły się bardzo tą wiadomością. Długo też na ten temat rozprawiano.

— A druga nowina? — spytała wreszcie Mania, topiąc w Kaziu pełne jakiéjś obawy spojrzenie.

— Druga nowina równie pomyślna — ciągnął Marczewski. — Państwo Dąbrowscy mają syna... Zawadzki uszczęśliwiony... Całe dnie przesiaduje przy kołysce malca. Widziałem go przy tém zajęciu... wcale mu z tém do twarzy... Zabawny jest, gdy utrzymuje, że malec nie jest podobny ani do matki, ani do ojca, tylko do niego, do wujaszka.

Nastała chwilowa cisza.

Mania sama zwróciła znów rozmowę na zaręczyny Helenki.

— Musi jej pani drużbować, panno Maryo! — mówił daléj Kaziek. — Uparła się co do tego. Właśnie wybierają się tu z narzeczonym, aby panią o to prosić.

Mania odparła, iż cieszyłoby ją to bardzo, ale nie wie, czy będzie mogła podjąć się téj usługi.

Opanował ją téż jakiś niepokój i aby go ukryć, posunęła się ku fortepianowi, poczynając zlekka grać jakąś etiudę.

— Czy Helenka wyjedzie po ślubie za granicę? — spytała, nie odrywając rąk od klawiszów.

— Taki jest projekt — odparł Kaziek, przysuwając się z krzesłem bliżéj. — I z tém właśnie wiąże się trzecia nowina.

— Obiecywał pan dwie tylko.

— Trzecia bowiem dotyczy tylko mnie samego i nikogo zapewne nie zainteresuje...

Dziewczyna uderzyła silniej w klawisze i dokończywszy ustępu, spytała:

— A nasza przyjaźń?

— Prawda! — rzekł Kaziek, spostrzegając dopiero teraz, że pani Kamilla wysunęła się z pokoju, pozostawiając ich samych. — Trzecia więc nowina taka, że myślę skorzystać z okazyi i pobujać gdzie po świecie. Wiem, że w miodowym miesiącu nie będę dla nich pożądanym towarzyszem, ale i to wiem, że inaczéj nie wybrałbym się może, a trzeba mi ztąd uciekać... trzeba koniecznie...

Znowu kilka mocniejszych akordów.

— Przed czém? — dosłyszéć było można drżące zapytanie.

— Przed sobą samym...

Mania poczęła teraz grać dłuższą chwilę, z oczyma spuszczonemi na klawisze.

— Może pani zagra mi jakiego marsza do drogi? — spytał Kaziek.

Rączki panienki poczęły drżéć, a na bladą twarz wystąpiły rumieńce.

— Nie! — rzekła — marsza nie zagram, ale zaśpiewam jakie pożegnanie.

— Proszę, slucham..

Spoczęła wzrokiem na przeciwległéj ścianie, namyślając się widocznie.

— Zna pan walca Arditi: „*Parla?* — spytała, biorąc już odpowiedni akompaniament.

— Śpiewa go moja siostra, Zosia... ale śpiewa po włosku... słów więc wcale nie znam...

— Ja go panu zaśpiewam w przekładzie...

Rozpoczęła przegrywkę, wnet jednak przerwała, mówiąc:

— Nie, nie mogłabym dziś śpiewać...

I wstając od fortepianu, zdjęła z pulpitu rozłożone już nuty, starając się je ukryć w stosie innych.

Kaziek jednak odebrał je zręcznie, choć przemocą, z jéj rączek i począł oczyma przebiegać wyrazy pod nutami:

„Spójrz mi w oczy i mów po dawnemu,
„Że wciąż jestem twéj duszy marzeniem,
„A te słowa potwierdzaj spojrzeniem,
„Ulgę niosąc sercu zranionemu..."

— Pani, pani! — zawołał wzruszony, chwytając Manię za rękę.

Wyrwała mu ją jednak i spłoniona wybiegła, jak wietrzyk, z salonu.

Druga zwrotka brzmiała:

„Niech wątpliwość w mém sercu nie gości:
„Zniszcz ją jednym serdecznym wyrazem;
„Teraźniejszość niech będzie obrazem
„Snów i marzeń uroczych przeszłości..."

Litery poczęły mu migotać przed oczyma. Uczuł w nich łzy i otarł je szybko.

Poskoczył ku drzwiom od buduarku, za któremi zniknęło było dziewczę.

Stała tam z głową opartą o ścianę, zalana łzami.

Ujął ją znów za rękę, której mu już teraz nie broniła.

— Maniu! — zawołał, tuląc ją do piersi.

. . . .

Harda, rogata dusza ugięła się nareszcie.

KONIEC.